PO UDERZENIU W POLSKĘ

Ziemkiewicz odpowiada ministrowi spraw zagranicznych Izraela

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 34/439 23–29 SIERPNIA 2021

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

Jak będzie urządzony Afganistan talibów

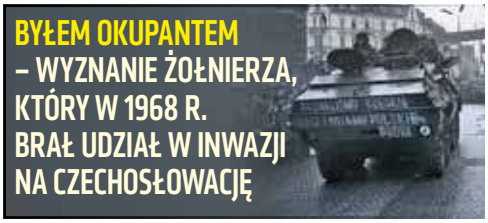

BYŁEM OKUPANTEM – WYZNANIE ŻOŁNIERZA, KTÓRY W 1968 R. BRAŁ UDZIAŁ W INWAZJI NA CZECHOSŁOWACJĘ

Być jak Andrzej Lepper, czyli kim jest Michał Kołodziejczak

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829 Nakład: 55,6 tys. egzemplarzy

Zielony zamach na Polskę

Ursula von der Leyen

Frans Timmermans

BRUKSELA SKAZUJE NAS NA GOSPODARCZĄ RUINĘ

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

VI EDYCJA NAGRODY

JUŻ W GRUDNIU

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS:

Enea

eprasa.pl 81396aa6f1

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Lincz na Pawle Kukizie

O tym, że wściekle atakując Pawła Kukiza, poniżając go i opluwając, opozycja wepchnęła go jedynie w ręce Prawa i Sprawiedliwości, trafnie napisał już przed tygodniem Rafał A. Ziemkiewicz. Natomiast cała historia histerii antykukizowej ma jeszcze drugie dno: pokazuje ona doskonale, jak głęboka jest nienawiść wielu przedstawicieli elit opozycyjnych do wszystkiego, co się im kojarzy z rządzącymi. Widać wyraźnie, czego można oczekiwać w przyszłości, gdyby ci ludzie przejęli władzę. To już nie tylko groźby i pohukiwania, lecz także zapiekła, stłumiona, przelewająca się wrogość. Żyją oni, najwyraźniej, w stanie emocjonalnego, niekontrolowanego pobudzenia. Każdy, kto nie jest przeciw PiS, musi być w ich oczach łajdakiem i niegodziwcem. Tu nie ma szarości. Tu nie ma możliwości innego spojrzenia. Kto wie, czy za pewien czas kontrolowane przez opozycję samorządy nie zrezygnują z wywieszania biało-czerwonych flag lub obchodzenia świąt państwowych tylko dlatego, żeby zaprotestować przeciw PiS? Coraz wyraźniej widać, że w tym szaleństwie nie ma granic.

Nic nie powinno usprawiedliwiać chamstwa, brutalności i pogardy, z jaką spotkał się znany muzyk

Niezależnie od tego, że różnie można oceniać posunięcia polityczne Kukiza – sam widzę w nich raczej dość kapryśne wygibasy – nic nie powinno usprawiedliwiać chamstwa, brutalności i pogardy, z jaką spotkał się znany muzyk po głosowaniu za przygotowanym przez rząd projektem medialnym. Obrzucanie go wulgarnymi wyzwiskami (określenie „szmata" należało do najłagodniejszych), opluwanie, wezwania do bojkotu, groźby, szantaże – to zachowania, które nie mieszczą się w obrębie cywilizowanej, nawet najostrzejszej, debaty demokratycznej. Kukiz miał prawo zagłosować tak, jak to zrobił. Czy został, jak to od razu przeczytałem, „kupiony"? Nie wiem. Może mu coś obiecano – np. zmiany w ustawie albo wprowadzenie przygotowanych przez niego rozwiązań. Ale czy gdyby zagłosował zgodnie z oczekiwaniem opozycji, też oznaczałoby to, że został „kupiony", tyle że przez tych „dobrych"? Czym różni się „kupowanie" przez PiS od „kupowania" przez opozycję? Tym, że jedni rozdają stanowiska w spółkach Skarbu Państwa, a inni w spółkach miejskich i samorządowych?

Co ciekawe, wszystkie te ataki nie spotkały się praktycznie z żadnym wyraźnym potępieniem ze strony liderów opozycji. Nie słyszałem ani Donalda Tuska, ani Szymona Hołowni, ani Borysa Budki, ani innych. Milczeli znani publicyści i aktorzy, reżyserzy, pisarze czy piosenkarze też nabrali wody w usta. Chociaż na ich oczach, publicznie przez kilka dni dokonywał się prawdziwy lincz na Kukizie, reakcji nie było. Być może dlatego, że nienawiść do PiS pozwala im usprawiedliwiać każde świństwo. Oczywiście napaść na Kukiza to niejedyny przykład zbydlęcenia – przypomnę wciąż obecne przecież w przestrzeni publicznej hasła strajku kobiet. Za każdym razem można dostrzec to samo: powolne, ale wyraźne przesuwanie się granic tego, co jest dopuszczalne w przestrzeni publicznej.

Być może najbardziej szokującym przykładem tego manicheizmu – PiS to zło wcielone i wobec tych, którzy z nim kolaborują, wolno pozwolić sobie na bardzo, bardzo dużo – było zachowanie wdowy po Pawle Adamowiczu. Tuż po tym, kiedy wylała się na niego cała rzeka pomyj i gróźb, Kukiz powiedział, nawiązując do zabójstwa prezydenta Gdańska sprzed 2,5 roku, że hejt od „piewców miłości i tolerancji" ma większy niż Paweł Adamowicz. Cóż, to porównanie chybione – krytyka prezydenta Gdańska wiązała się z poważnymi zarzutami korupcyjnymi. Jednak nawet w takiej wersji słowa muzyka wywołały wściekłość: „Panie Kukiz, niech pan nie wyciera sobie gęby moim mężem, bo stoi pan teraz tam, gdzie stali i stoją inspiratorzy jego morderstwa" – napisała wdowa po prezydencie Gdańska, Magdalena Adamowicz. I co? I nic. Okazuje się, jeśli dobrze rozumiem, że większość opozycyjnych liderów naprawdę uważa, że władza PiS „inspirowała morderstwo" Pawła Adamowicza. A więc Kukiz nie głosował, ale stanął po stronie zbrodniarzy i jeśli został podeptany, to i tak należy mu się jeszcze więcej. W normalnym kraju „inspiratorów morderstwa" wsadza się do więzienia, nieprawdaż? Rozumiem, że o to chodziło w tym wpisie – jakby nie było – europosłanki Platformy, a więc przecież osoby publicznej. I znowu tym, co musi uderzać, jest całkowity brak reakcji. Nie mogę dostrzec żadnego śladu zdystansowania się, odcięcia. Gdzie są u licha te wszystkie opozycyjne autorytety?

Cóż, w sensie politycznym takie reakcje mogą jedynie przyczynić się do wzrostu poparcia dla PiS – nawet zdemobilizowany elektorat rządzących dostrzega, że przegrana władzy będzie pociągać za sobą zemstę, porachunki, niekończącą się spiralę odpłaty. W sensie moralnym – tolerowanie nienawiści komentuje się samo. ©℗

eprasa.pl 81396aa6f1

TEMAT TYGODNIA

14 ŁUKASZ WARZECHA
ZIELONY KOMUNIZM KONTRA POLSKA
Bruksela skazuje naszą gospodarkę na ruinę

18 JAN BOGATKO
KONIEC ŚWIATA

KRAJ

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WOJNA W TRÓJKĄCIE
Warszawa-Jerozolima-Waszyngton

23 ROZMOWA Z ŁUKASZEM SCHREIBEREM
POLSKA NIE JEST NICZYJĄ KOLONIĄ

26 KAMILA BARANOWSKA
BYĆ JAK LEPPER

28 KAROL GAC
TSUNAMI HEJTU

30 KRYSTIAN KRATIUK
BISKUP POŚRODKU NAGONKI

32 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI"
BLIŹNIACY W OBLĘŻONEJ STOCZNI

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
GOTOWI NA WSZYSTKO

KULTURA

36 WIESŁAW CHEŁMINIAK
POLSKA GWIAZDA POLARNA
Obrazy Anny Bilińskiej

38 PIOTR GOCIEK
LATO ZBRODNI

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 WOJCIECH GOLONKA
SIŁA PFIZERA
Jakie umowy podpisały państwa

50 MARIAN PIŁKA
WSPÓLNE KONTO EMERYTALNE MĘŻA I ŻONY

HISTORIA

52 PAWEŁ SZUSZCZYŃSKI
BYŁEM OKUPANTEM
Wspomnienia z operacji „Dunaj"

54 ŁUKASZ CZARNECKI
JAK ŻYĆ, CEZARZE?

ŚWIAT

58 WITOLD REPETOWICZ
EMIRAT TALIBÓW
Początek nowej ery w Afganistanie

62 PIOTR WŁOCZYK
HUNTER POLUJE NA DOLARY

EKONOMIA

66 JAKUB WOZINSKI
SZWAJCARIA NA CELOWNIKU
Gospodarcze rozgrywki

SPORT

70 ŁUKASZ ZBORALSKI
OPASANI SPORTEM
Gadżety czy motywatory?

O ZDROWIU

72 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM KOPCIEM
POTRZEBUJEMY LEKÓW PRODUKOWANYCH W POLSCE
Bezpieczeństwo lekowe

„DO RZECZY" NA WAKACJE

76 JACEK KOMUDA
POTĘGA I UPADEK JANOWCA
10 najwspanialszych zamków Polski

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (56), PRZYBYLSKI (64), GABRYEL, WARZECHA (68), KARWELIS (79), ZALEWSKI, WOŁCZYK (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 81396aa6f1

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Shutterstock/East News, C. Koall/Getty Images, E. Wołoszczuk/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829
Nakład 55,6 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za Wasze listy i e-maile. Przypominamy, aby korespondencję elektroniczną do redakcji kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Dwugłos „Do Rzeczy", Łukasz Warzecha, Łukasz Zboralski

Szanowna Redakcjo,
Drodzy Panowie Łukaszowie,
już nadtytuły wskazują, jaki tok rozumowania przyjął każdy z polemistów. Podczas gdy red. Zboralski pisze o „kroku w stronę bezpieczniejszych dróg", red. Warzecha o „karach zamiast infrastruktury". Zboralski pisze dalej o Polakach, którzy w obawie przed wysokimi mandatami jeżdżą zgodnie z przepisami za granicą. Warzecha woli narzekać na opresyjność naszych przepisów – zbyt rygorystyczne przepisy w kwestii alkoholu, zbyt duże ograniczenia prędkości, a mandaty i inne kary postulowane w rządowym projekcie zbyt surowe.

W ten sposób red. Warzecha wpisuje się w sposób myślenia bodaj czy nie większości (niestety) kierowców, którzy wszelkie ograniczenia na drodze traktują jak zamach na ich złotą wolność szlachecką. Pamiętamy chyba jeszcze dyskusję toczoną na łamach i w eterze o fotoradarach. Wysuwane wtedy argumenty prawne i pseudoprawne sprowadzały się do jednego – obrony naszego słusznego prawa do jazdy niezgodnej z przepisami.

Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego wielu skądinąd porządnych i rozsądnych ludzi za kierownicą auta dostaje tzw. małpiego rozumu, zapominając, że homo sapiens nie oznacza człowieka sapiącego z gniewu na wszelkie nakładane nań ograniczenia. Gdyby nie ta przypadłość, Kodeks drogowy sprowadzałby się do jednego przepisu: jeździmy po prawej stronie, wyprzedzamy po lewej. Pozostałe, podobnie jak wszystkie elementy infrastruktury uspokajającej ruch, to niestety efekt tego małpiego rozumu właśnie.

Z tym można i trzeba walczyć wtedy, gdy rozum jest stosunkowo młody. Dlatego uważam, że policja powinna się teraz zająć egzekwowaniem przepisów dotyczących rowerów i hulajnóg. Jeżeli ich użytkownicy nie nauczą się respektować dotyczących ich przepisów, to dlaczego miałoby się to zmienić, gdy przesiądą się do samochodów?

A co do mandatów – czy nie można by zastosować rozwiązania funkcjonującego w Finlandii czy Szwajcarii, gdzie ich wysokość zależy od dochodów delikwenta?

Z poważaniem
Wojciech Krzyżanowski, Sopot

Od autorów

Wydaje mi się, że Czytelnik opacznie zrozumiał moją argumentację. Moja krytyka dotyczy proponowanych rozwiązań, ich nadmiernej opresyjności, braku logicznej spójności oraz oderwania od drogowej rzeczywistości. Nie ma to nic wspólnego z lekceważeniem bezpieczeństwa na drogach.

Kary proporcjonalne do wynagrodzeń są z powodów prawnych nie do wprowadzenia. Oznaczałoby to m.in. naruszenie fundamentalnej zasady proporcjonalności kary do czynu.

Łukasz Warzecha

Szanowny Panie Wojciechu,
ma Pan rację, pisząc o tym, że zasad poruszania się na drogach powinniśmy uczyć od małego – i również egzekwować ich przestrzeganie. Zauważę jednak, że z edukacją od przedszkola w Polsce nie mamy problemów, jest to – wbrew obiegowym opiniom – dość dobrze zaprojektowane. Problem pojawia się, gdy ci ludzie dorastają i otrzymują prawo jazdy. Zdają egzamin, więc dobrze muszą sobie zdawać sprawę z reguł i je znać. Dlaczego je łamią? Bo takie było do tej spory systemowe, ale i społeczne przyzwolenie. To się w Polsce właśnie zmieniło.

A co do wysokości mandatów – bo Skandynawowie czy Szwajcarzy wiążący kary z dochodami to jednak wyjątek – doświadczenia większości krajów UE wskazują, że taki ruch jak w Polsce wystarczy nam, by mocno wpłynąć na zachowania kierowców. O ile oczywiście polska policja będzie chciała należycie pracować i o ile rozwiniemy dobre automatyczne systemy nadzoru.

Łukasz Zboralski

eprasa.pl 81396aa6f1

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

PSL razem z Kościołem

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956":

Jesienią 1946 r. do prymasa Augusta Hlonda zaczęli zgłaszać się przedstawiciele różnych katolickich środowisk politycznych z propozycją stworzenia osobnej katolickiej listy wyborczej. Z jednej strony byli to zwolennicy Stronnictwa Pracy skupieni wokół Karola Popiela, a z drugiej strony emisariusze środowiska „Dziś i Jutro", reprezentujący Bolesława Piaseckiego. Do takiej koalicji wyborczej gotowi byli wejść też byli politycy byłego Stronnictwa Narodowego z Jerzym Redke na czele i działacze stowarzyszeń katolickich reprezentowani przez Tadeusza Przeciszewskiego. Szybko się jednak okazało, że na jednej liście mieliby się znaleźć ludzie szczerze oddani Kościołowi razem z ludźmi, którzy tak jak Piasecki prowadzili niejasne gry z komunistami.

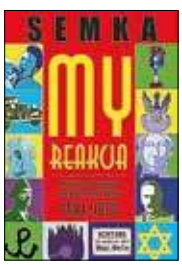

Bardzo zdecydowanie odradzał prymasowi Hlondowi popieranie takich pomysłów Stanisław Mikołajczyk, który słusznie wskazywał, że rozbiłoby to front opozycji.

Ostatecznie 22 października 1946 r. prymas Hlond oświadczył, że Komisja Główna Episkopatu Polski nie jest zainteresowana powstaniem partii katolickiej. Faktyczną i autentyczną siłą opozycyjną pozostawało Polskie Stronnictwo Ludowe. Bardzo szybko wywietrzały animozje między ludowcami a Kościołem, jeszcze przed wojną niezwykle silne. Wobec brutalnej determinacji PPR działacze Mikołajczyka szybko zrozumieli, że tylko teren wokół lokalnych kościołów jest bezpiecznym miejscem do wieców.

Władysław Bartoszewski wspominał: „Obchody odbywały się zawsze według pewnego schematu: zaczynały się od Mszy Świętej w danej miejscowości, przeważnie na wsi, a nie w miasteczku powiatowym, a po niej przychodził czas na przemówienie okolicznościowe. Podczas Mszy często święcono nowy sztandar Powiatowego Zarządu PSL albo »Wici«. Na zielonych sztandarach PSL-u umieszczano koniczynkę, prawie zawsze była też na nich Matka Boska. Stanowiła ona symbol nowego etapu w ruchu ludowym PSL-u – oznaczała bowiem sojusz ludu z Kościołem, który w tej postaci dwadzieścia–trzydzieści lat wcześniej nie byłby możliwy. Kościół po wojnie popierał PSL, ponieważ była to jedyna licząca się partia, w której program wpisane były hasła chrześcijańskie, łączyły nas podobne cele społeczne, moralne i wychowawcze".

Tu znów przychodzi na myśl sformułowana już przeze mnie wcześniej analogia między dwuletnią działalnością PSL-u a karnawałem Solidarności w latach 1980–1981 i potem okresu oporu stanu wojennego. Wówczas też pod wpływem powagi sytuacji na margines zeszły wszelkie emocje antyklerykalne. Trzeba znać historię ruchu ludowego i jego wadzenia się z Kościołem na przełomie XIX i XX w., aby zrozumieć psychologiczny przełom, jaki nastąpił wtedy. ©℗

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

PROBLEM NA GRANICY

Na pograniczu polsko-białoruskim koczuje grupa ok. 50 osób. Mają to być emigranci z Afganistanu. Białoruscy pogranicznicy próbowali przeprowadzić ich do Polski, a gdy polska Straż Graniczna nie pozwoliła na przejście, zabronili im powrotu. Ludzie utknęli na tzw. ziemi niczyjej. Polacy prywatnie niosą im tam pomoc, m.in. śpiwory, napoje, jedzenie. Polskie władze wzmocniły fragment granicy, przygotowując się na więcej tego typu prób ze strony białoruskiego reżimu. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl 81396aa6f1

Zmieniamy życie pacjentów dzięki nauce™

W czasie zagrożenia zdrowia, kiedy mamy wyzwania na skalę światową, dzięki współpracy z wieloma partnerami:

opracowujemy nowe leki
udoskonalamy sposób ich dystrybucji
nieprzerwanie dostarczamy leki pacjentom na całym świecie

Bristol Myers Squibb™

Dowiedz się więcej na **bms.com**

ONCPL2011661-01,12.2020

eprasa.pl 81396aa6f1

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Żądło salonów

Pamiętają państwo afrykańską bajkę o skorpionie i żabie? Przypomnę: zwierzęta uciekają przed pożarem lasu. Żeby się uratować, trzeba przepłynąć rzekę. Skorpion tego nie potrafi, ale zdołał ubłagać żabę (lub inne stworzenie – jak w każdej bajce, są warianty), by przewiozła go na swym grzbiecie. W środku przeprawy jednak skorpion wbija żabie swoje żądło. Ta, konając, pyta: Dlaczego to zrobiłeś, przecież teraz sam też umrzesz? A skorpion na to: Jestem skorpionem, to silniejsze ode mnie.

Tylko tą bajeczką można wytłumaczyć postępowanie lewicowo-liberalnej opozycji. Dlaczego w sytuacji, gdy elementarne zasady polityki nakazują pozyskać do współpracy Kukiza i Konfederację, wylewa ona na tego pierwszego kubły pomyj i co najmniej milcząco akceptuje uliczną napaść zdziczałego kodziarstwa na jednego z posłów tej drugiej? Dlaczego w kraju, gdzie wszyscy boją się najazdu dzikich hord ze wschodu, gdy również niecieszący się sympatią Łukaszenka wespół z przerzucającą rzekomych „uchodźców" mafią dostarcza na naszą granicę imigrantów, opozycja jednym głosem staje po jego stronie i próbuje wzniecić moralne oburzenie wobec rządu PiS, że nie chce otworzyć granicy dla „uchodźców z Afganistanu"? I jeszcze PO-wscy samorządowcy deklarują, że jeśli rząd tego nie zrobi, to oni sami sprowadzą „uchodźców" do swych miast?

Czy oni nie wiedzą, że to działania równie samobójcze, jak zabicie swego przewoźnika na środku rzeki, której się przepłynąć samemu nie ma szans?

Może wiedzą, ale inaczej nie potrafią. Dlatego że walka z PiS to nie żadna polityka, to nienawiść – nienawiść będąca podstawą politycznej tożsamości PO i jej przystawek. Fundamentalna emocja, nad którą nikt nawet nie próbuje wśród polityków i „autorytetów" liberalnej lewicy zapanować ani poddać jej rozumowaniu w kategoriach skuteczności. Cokolwiek się stanie, opozycyjne stado (pardon, ale to właśnie tak jest) podjudzone przez TVN, RASP, Agorę i pomniejsze szczujnie rzuca się na PiS bezmyślnie, jak byk na czerwoną płachtę w ręku toreadora.Tak samo anonimowi krzykacze z ulicy, jak i przywódcy – z Tuskiem na czele. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Zanim podniesie się fala

Polska ma podobną, choć krótszą od Litwy, granicę z Białorusią. Jeśli więc mała Litwa może ją umocnić, budując „mur" zasieków, to tym bardziej może to zrobić Polska. Może i musi. Oczywiście – jest problem, choć wyłącznie psychologiczny. Polska nie powinna odgradzać się od bliskiego nam i w dużym stopniu propolskiego społeczeństwa, tyle że umocnienie granicy nie oznacza jej zamknięcia! Nie wstrzymuje ruchu legalnego, tylko blokuje nielegalny. Zatrzymanie zaś narastającej fali nielegalnej imigracji jest absolutnie konieczne.

Imigracja stała się dziś bronią czasów pokoju. Dotyczy to nie tylko jednego z najważniejszych trendów geopolitycznych, spontanicznego naporu islamu na Europę i na południe od Sahary, lecz także imigracji stymulowanej przez rządy: rosyjski czy turecki. Nie chodzi więc o to, by się odgradzać od Białorusi, ale by zagrodzić drogę Putinowi. Trzeba to zrobić natychmiast, jeśli nie chcemy przeżyć katastrofy.

Oczywiście ogrodzenie granicy z Białorusią może być problemem dla rządu. Bardzo często, gdy opinia publiczna wskazuje na imperatywy interesu narodowego, słyszymy od władz: mając tyle otwartych frontów, nie możemy prowokować kolejnych ataków i krytyki. W tym wypadku – tworzyć fizycznej ilustracji „polskiego autorytaryzmu". Nie zamierzam lekceważyć tego zastrzeżenia, jeśli ci, którzy je podnoszą, zgodzą się, że dotyczy uniwersalnej reguły polityki. Kraj atakowany z zewnątrz ogranicza – a nie mnoży – wewnętrzne konflikty. Szuka poparcia dla swej polityki, a nie upaja się paromandatową i topniejącą większością parlamentarną. Liberalne media – jak mówił Nixon – zawsze będziemy mieć przeciw sobie. Ale nie musimy mieć inwazji imigracyjnej czy – opartego na konwencji stambulskiej – genderowego nadzoru nad szkolnictwem.
W polityce należy odróżniać rzeczy ważne od nieważnych, to, co można zmienić, od tego, z czym trzeba żyć, a przede wszystkim – pozory od czynów. ©℗

eprasa.pl 81396aa6f1

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O rasistowskiej matematyce

W stanie Oregon doszło do kopernikańskiej rewolucji. Postępowa gubernator Kate Brown zniosła wymóg umiejętności czytania, pisania i rachowania jako warunku otrzymania dyplomu ukończenia szkoły średniej. Chodziło o to, żeby nie dyskryminować słabszych uczniów, którzy mają kłopoty z rachunkami, stawianiem i składaniem liter.

Rzecznik pani Brown pytany o przyczyny kuriozalnej decyzji wyjaśnił, że skorzystają z tego uczniowie czarni, Latynosi, Azjaci, wywodzący się z ludności rdzennej i wysp Pacyfiku. Zapewne pani gubernator postanowiła zadbać o samopoczucie słabszych uczniów, potencjalnych ofiar rasizmu. Nie sposób pojąć, dlaczego nie zorganizowano dodatkowych lekcji i kursów uzupełniających dla tych, którzy nie nadążają. Być może uznano, że byłoby to formą stygmatyzacji.

Szukając dokumentu w Internecie, natknąłem się na wydany przez departament edukacji stanu Oregon w lutym okólnik skierowany do nauczycieli matematyki, który zachęca do udziału w kursie „Droga ku nauczaniu sprawiedliwej matematyki". Jak się okazało, chodzi o wyplenienie z nauczania matematyki rasizmu i toksycznej kultury supremacji białych.

Jak to zrobić? Proste. Trzeba przede wszystkim zakwestionować obiektywizm w matematyce, bo jest to ewidentny fałsz. Należy też zerwać z dzieleniem odpowiedzi uczniów na prawidłowe i nieprawidłowe. Naturalnie trzeba również skończyć z zadawaniem i ocenianiem prac domowych, bo wiąże się to z oceną, prowadząc nieuchronnie do merytokracji. Nie lepiej mają się sprawy z pomaganiem i wyjaśnianiem uczniom matematycznych zawiłości. Grozi grzechem paternalizmu.

I wreszcie perełka nad perełkami: „Często kładzie się nacisk na związek matematyki z realnym życiem. To jednak może prowadzić do używania matematyki jako narzędzia wspierającego kapitalistyczne, imperialistyczne i rasistowskie poglądy".

Pozostaje jedynie modlitwa i miłosierdzie Boże. Poleciłbym „Litanię o zbawienie od głupoty" Romana Brandstaettera („Idziemy urojoną drogą do urojonego celu"). ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Talibów sojusz z Facebookiem

Świat zwariował dawno. Może zresztą zawsze był zwariowany, może raczej zakłamany, a każda nowa odsłona zakłamania jednak jakoś nas dziwi, nie wiedzieć czemu. W kategorii zdziwienie z całą pewnością na podium ustawić należy rzecznika talibów, który pytany o wolność słowa w nowej odsłonie Afganistanu (pytany z rodzajem pretensji, że tej wolności teraz nie będzie) odpowiedział, powołując się niby na dziwny sojusz z Facebookiem, że ale o co chodzi, przecież Facebook cenzuruje na całym świecie treści, jak mu się podoba, i larum nie ma, więc oni chyba też mogą. Niezły ten rzecznik…

Exodus z Afganistanu – to był w minionym tygodniu temat numer jeden nie tylko na polskim Twitterze. Najpotężniejsza armia świata po 20 latach pobytu w tym kraju i próbach implementowania demokracji w pakiecie z radosnym LGBT zwiewała bez ładu i składu za to z paniką, która wprawiła planetę Ziemię w zdumienie. Razem z armią zwiewali ludzie, którzy przez 20 lat wierzyli Amerykanom i ich wartościom. Zwiano przed wojownikami, którzy generalnie przez 20 lat siedzieli sobie w górach. Trudno powiedzieć, kto był blitzkriegową wyprowadzką bardziej zaskoczony – świat czy sami talibowie. I tak oto przez zaskoczenie, jak mniemam, widzieliśmy na TT filmiki niekojarzące się wprost z brodatymi okrutnikami. Bo talibowie, wiadomo, ucinają głowy, biczują, strzelają do jeńców, niszczą pomniki cywilizacji etc. A tutaj jacyś faceci w turbanach i kieckach skaczą na zdobycznej czy też porzuconej trampolinie, mając z tego sztubacką radochę. A tutaj tak samo wyglądający i uzbrojeni faceci odkrywają, czym jest siłownia, i po raz pierwszy kręcą girami na orbitreku. Nieważne, że kręcą nie w tę stronę, ważne, że cieszy ich to bardziej niż ucięta głowa wroga zatknięta na płocie – przynajmniej takie można odnieść wrażenie.

Twitter zapełniał się w związku z Afganistanem naszymi sprawami. Po co życie oddało 43 naszych żołnierzy w tym kraju? Czy na pewno mamy dobrego sojusznika, tę US Army, skoro zwiewają w panice? I jeszcze to szeroko komentowane przemówienie Sleepy Joe, który powiedział, że nikt nie spodziewał się takiego obrotu sytuacji. Cóż, niezbyt dobrze świadczy to o analitykach i służbach wywiadowczych najpotężniejszego państwa na świecie. Patrząc na ten rodzaj przywództwa, który zdaje się być obciążony postarzałą percepcją prezydenta, zasadne jest zadanie pytania: Najpotężniejszego państwa na świecie? ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

eprasa.pl 81396aa6f1

FOT. PAWEŁ GROMADA

TALK-SHOW Z MISJĄ, A JAKŻE!

Aleksandra Kwaśniewska wraca do telewizji. Została właśnie nową prowadzącą kobiecego talk-show „Miasto kobiet" w TVN Style. O swojej ekscytacji nowym projektem opowiedziała w telewizji śniadaniowej. Okazuje się, że nową pracę traktuje jak misję. – Mam olbrzymią nadzieję być uczestniczącym świadkiem dopełnienia się emancypacji kobiet. Chciałabym, żebyśmy naprawdę mocno stanęły na dwóch nogach, zrozumiały, że naprawdę mamy te same prawa co mężczyźni i nie musimy wstydzić się tego, że chcemy więcej – powiedziała. Tak, kobiecy talk-show w telewizji dla kobiet, w której dominują programy o urodzie, makijażu, modzie, gotowaniu i urządzaniu mieszkań to idealne miejsce do walki o emancypację kobiet. Talk-show jak talk-show, po co dorabiać do tego ideologię?

MILCZENIE ZŁOTEM

Sandra Kubicka, modelka, która podobno zrobiła jakąś karierę na Zachodzie, ale u nas pozostaje wciąż aspirującą celebrytką, zagrała w filmie. Jej aktorską inspiracją stał się kolega z planu filmowego Tomasz Karolak. Sandra nie kryje też, że jest z siebie bardzo zadowolona. – Jestem dumna, film jest bardzo fajny. Dla mnie to było nowe doświadczenie. Zaprzyjaźniłam się z Tomkiem Karolakiem. Przez godzinę będziecie się śmiać, a potem da wam do myślenia – zachwala produkcję. – Recenzenci mnie pocisną, jestem tam bardzo kobieca. Nie mówię za dużo w tym filmie – dodaje. Bardzo możliwe, że w ten sposób uratowała ten film!

KABARETON

TVN, w ramach pomocy siostrzanej stacji TVN24 w walce o koncesję, postanowił oddać scenę swojego sztandarowego muzycznego festiwalu w Sopocie dziennikarzom i prezenterom stacji informacyjnej, którzy debiutowali w roli prowadzących. Wyszło, jak wyszło, bo każdy chciał być dowcipny i sypał tymi samymi politycznymi żartami. Choć były też i poważne manifesty, jak ten Diany Rudnik o sprzedaniu twarzy i honoru za pieniądze (to chyba o Kukizie, ale pewności nie mamy). Najlepszy był jednak duet Kraśko i Olejnik. – Może się zastanawiacie, dlaczego oni z Moniką znowu tutaj są, bo przecież powinna być kolejna, nowa para – powiedział do tłumu Kraśko po tym, jak ponownie z Olejnik wyszli na scenę. – Otóż w przerwie zasięgnęliśmy z Moniką opinii pięciu wybitnych prawników. – I wiecie, do czego mamy prawo! To jest reasumpcja naszego występu! – wykrzyczał. – Ta scena nam się należy – dorzuciła Olejnik. Rozumiemy, że nie każdy ma poczucie humoru, bywa. Ale żeby się od razu tym tak publicznie chwalić?

PROBLEMY PIERWSZEGO ŚWIATA

Aktorka serialowa Julia Rosnowska postanowiła wytłumaczyć światu, dlaczego pisze o swoim dziecku bezosobowo, nie podając jego imienia ani płci. Podkreśliła, że to wynika z poszanowania prywatności dziecka i nie oznacza wcale, że w życiu nie zwraca się do niego po imieniu. – Zależy mi po prostu na tym, żeby (w miarę możliwości) uniknąć sytuacji, gdy za parę lat, jak Bombelini podrośnie i wpisze w wyszukiwarce internetowej swoje imię i nazwisko, to znajdzie tam całą narrację o swoim życiu, na którą nie miało wpływu, bo matka szalała w Internetach. Chciałabym, żeby moje dziecko mogło samo

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

kształtować narrację o sobie, a ekspresja swojej płci i seksualności to jeden z elementów, na który chcę, żeby miało wpływ samo – podkreśliła. Potem było coraz ciekawiej. – Moje dziecko na razie faktycznie nie rozumie koncepcji płci. I gdy to się zmieni, być może zmieni się także moje nastawienie do używania jej publicznie. Na razie daję mojemu dziecku przestrzeń, którą może samo określić. Ale umówmy się – ta przestrzeń, którą ma w domu, i tak jest tylko kroplą w morzu, bo codziennie w parku spotyka się z komentarzami na temat swojego wyglądu, ubrań, płci. I jestem pewna, że któregoś dnia, pewnie już niedługo, wróci z przedszkola lub ze szkoły i ciśnie ulubioną rzecz (ciuch, dodatek, zabawkę...) w kąt, bo ktoś powiedział, że to dla chłopca/dziewczynki. A mi wtedy po cichu serce pęknie – wyznała. Wychodzi na to, że milionom matek codziennie powinny pękać serca, gdy ich synowie nie chcą nosić różowych spinek, a córki gardzą skarpetkami z koparką. Dramaty nasze codzienne. ©℗

eprasa.pl 81396aa6f1

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, osoba prezydencka Duda podpisała jakąś ustawę, która rozsierdziła Izrael, a skoro tak – to musimy mieć do czynienia ze skrajnie antysemicką i antyizraelską postawą władz tego kraju, za którą z góry jest nam wstyd.

Nie znamy szczegółów sprawy, ale wiecie, nie musimy się taplać w antysemickim bagnie lokalnej legislatury, iżby wiedzieć, że skoro ktoś z zagranicy się na nas oburza, to znaczy, że ma do tego ważny powód.

W ogóle nie można byłoby tak robić, iż wpiszemy do polskiego procesu ustawodawczego, iż nasze projekty będą jeszcze głosowane na wszelki wypadek w innych krajach? Wiecie, żeby potem wstydu nie było...

Trafiliśmy na wyniki badania, według którego 54 proc. Polaków podczas urlopu nie chce myśleć o swojej pracy i uważa, iż jest to czas tylko dla nich.

No cóż, dobre podejście dla typowego janusza, który na czas wakacji w Mielnie za „500+" i bon turystyczny mógł odstawić łopatę czy szpachlę do kleju do glazury i zająć się żłopaniem piwska na plaży za parawanem ustrojonym patriotycznym motywem.

Tymczasem dla nas, pracowników umysłowych zachodnich korporacji, nie jest to takie oczywiste. No bo przecież urlop urlopem, ale asap asapem. Taski się same nie rozwiążą, calle same się nie odbędą, a targety same nie zrealizują.

Dlatego dla nas wakacje to okres opcjonalnej dostępności do celów realizowania bieżących zadań o istotnym znaczeniu dla firmy. I powiemy szczerze, że nawet nas to cieszy, iż dzięki temu okazuje się, że jesteśmy niezbędni i ważni. W przyszłym roku to chyba nawet zrezygnujemy z urlopu, iżby podkreślić nasze przywiązanie do firmy i pokazać, iż nie wierzymy w przesądy typu work-life balance.

Widzieliśmy też inne wyniki badań, według których w czasie panidemii/herdemii Polacy w pierwszej kolejności ograniczali wydatki na przyjemności.

Sami więc widzicie, iż Polacy nie potrafią się cieszyć życiem. Wolą chodzić smutni, niż np. jadać w restauracjach tylko trzy dni w tygodniu, zaoszczędzić na jedzeniu na mieście i dzięki temu mieć za co się realizować.

Poza tym Polacy na przyjemności wydają pewnie mało, bo mają ich niewiele. Zrobić grilla, napić się alkoholu, donieść na sąsiada, chociaż w sumie to ostatnie to mają za darmo xD ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Taki numer tylko raz?

Czyli widzę, Ela, że z reasumpcją przeszło gładko.

No, nie wiem, Rysiu. Chyba nawet jakieś doniesienie do prokuratury poszło.

Ech, gdybym ja miał policzyć te wszystkie doniesienia i umorzenia w ciągu tych paru lat...
W każdym razie to będzie teraz nasz modus operandi. Jak coś nie przejdzie albo przejdzie coś, co nie miało przejść, to sobie zrobimy reasumpcję.
To znaczy ty zrobisz.

Chyba żartujesz. Ja taki numer to mogłam zrobić raz.
Nie będę ciągle karku nadstawiać, żeby ze mnie jakiegoś Mussoliniego zrobili. Jak chcesz tak działać, to zróbcie z powrotem marszałkiem Marka, on wam wszystko zaśpiewa.

Ale to jest życzenie samego Jarosława. Masz inny pomysł?

Mam. Jak coś ważnego pójdzie nie tak, to niech ktoś zadzwoni anonimowo, że jest bomba. Zrobi się zamieszanie, to będzie można głosowanie powtórzyć.

A jak wykryją, kto dzwonił?

A pamiętasz alarmy bombowe w czasie matur w 2019 r.? No właśnie. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Drutu kolczastego, którym ta władza powstrzymuje potrzebujących wsparcia i opieki biednych ludzi, używa też ona do zablokowania nielubianych przez nią wartości europejskich".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl 81396aa6f1

dwaj panowie g

FOT. ROBERT CARDZIŃSKI

Jedni mają wakacje, inni nie. Szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński będzie na urlopie niemal do końca sierpnia. A premier Mateusz jeździ po kraju jak w szczycie kampanii wyborczej: jednego dnia Kamieniec Ząbkowicki, następnego dnia Bydgoszcz. „GazWyb" się wściekł, bo przy okazji w Kamieńcu premier Mateusz odebrał tytuł honorowego obywatela miasta.

Irytacja „Wyborczej" była jednak niczym w porównaniu z reakcjami w samym PiS. I nie chodziło o premiera, tylko o fakt, że honorowym obywatelem został też szef kancelarii Michał Dworczyk. Dolnośląska europosłanka Anna Zalewska, niegdyś minister edukacji, wielka konkurentka Dworczyka w regionie, tak lubi szefa kancelarii, że łazi i opowiada oburzona: „A wiecie, kto był wcześniej obywatelem honorowym? Grzegorz Schetyna i Adolf Hitler!"

Tymczasem trwają mozolne prace nad poszerzeniem koalicji rządowej. Niektórzy są zdziwieni, że nie idą szybciej. Na przykład od dłuższego czasu, a konkretnie od dwóch miesięcy, nieprzejednany kukista Stanisław Tyszka wysyłał sygnały, że jest gotów do wspierania Zjednoczonej Prawicy. Oczywiście nie za darmo. Nikt jednak nie zadzwonił.

Wiemy nawet, dlaczego się tak stało. Otóż szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński ma alergię na Tyszkę. Mówił nawet kiedyś Pawłowi Kukizowi, kiedy omawiał możliwą współpracę: „No tak, ale ten Tyszka… Ten Tyszka…". Wiewiórki jednak dodają, że Tyszka postawił nieco zbyt wygórowane warunki współpracy. Nas to nie dziwi, każdy ma jakąś rodzinę i musi o nią zadbać.

Tymczasem sytuacja na naszej wschodniej granicy równocześnie martwi i cieszy obóz rządzący. Martwi, bo to kryzys humanitarny, z którym trzeba sobie poradzić. Z drugiej strony jeden z polityków obozu rządzącego mówi nam, że właściwie powinniśmy być wdzięczni Łukaszence. Nie za to, że przerzuca uchodźców, tylko za to, że udało mu się przy okazji sprowokować polityków polskiej Eine Totalopposition do tak idiotycznych zachowań. – Dzięki Szczerbie i Jońskiemu oczekujemy w przyszłym tygodniu znaczącej zwyżki notowań – mówi. My też.

Trzeba jednak przyznać, że politycy partii rządzącej potrafią być niezmiernie złośliwi wobec siebie. Kiedy dopytywaliśmy, jak zamierzamy zareagować na sytuację w Afganistanie, jeden z wpływowych ministrów odparł ze śmiertelną powagą: „Wyślemy Beatę Kempę, ona uwielbia pomagać na miejscu". Dopiero po chwili wybuchnął śmiechem.

Kryzys humanitarny nie przeszkodził ministrowi Dworczykowi w odwiedzeniu gali z okazji 10. rocznicy istnienia „Gazety Polskiej Codziennie", mimo że spał tego dnia ledwie godzinę. Jedna z wiewiórek wyjaśniła nam nawet, dlaczego. Otóż miał do rozwiązania pewien problem – na liście ewakuacji z Afganistanu od MSZ było początkowo 11 osób. A skończyło się na 1,5 tys. Zapewniamy was, że to dwa zupełnie różne wyzwania logistyczne.

Wracając do granic. Niemcy potrafią być mili, gdy czegoś potrzebują. Teraz potrzebują, by ktoś im przypilnował granicy z Polską, bo obawiają się, że szlak białoruski nie skończy się na Podlasiu, ale w Brandenburgii. Polacy więc w swojej łaskawości zaproponowali im wznowienie mieszanych patroli Bundespolizei i Straży Granicznej. Teraz oczekujemy wdzięczności.

À propos wdzięczności. Nie oczekujemy od polityków Eine Totalopposition wdzięczności wobec Matki Boskiej, ale jednak 15 sierpnia to także ważne święto państwowe. Tymczasem taki np. marszałkissimus Senatu Tomasz Grodzki zbojkotował i uroczystości, i podpisanie u prezydenta Andrzeja Sebastiana ustawy o odbudowie Pałacu Saskiego. Mocno nas to wszystko zdziwiło. Przecież skoro Peło nieustannie porównuje PiS do bolszewików, a 15 sierpnia to rocznica zwycięstwa nad bolszewikami, to marszałkissimus Grodzki powinien świętować na trybunie honorowej triumf nad PiS!

Uwaga, będzie nowy fundusz! Ma służyć odbudowie zniszczonych – nie tylko podczas wojny – zabytków. Pomysł pojawił się ostatnio w gabinetach na Nowogrodzkiej, kiedy rozmawiano o odbudowie Pałacu Saskiego. I wtedy błysnęła idea: A dlaczego tylko Saskiego? Funduszem najpewniej zawiadywać będzie resort kultury, dziedzictwa narodowego i sportu.

Skoro o sporcie: nowym szefem PZPN został Cezary Kulesza, król disco polo z Podlasia. W kołach rządowych ta zmiana wywołała optymizm. Poprzedni szef PZPN, Zbigniew Boniek, był bowiem radykalnie antypisowski, choć starał się maskować. Kulesza ma natomiast opinię pragmatycznego. Co więcej – słyszeliśmy nawet, że miał w kampanii dyskretne wsparcie ze strony odpowiedzialnych za sport departamentów w MKDNiS.

Najciekawsze jest niewidoczne dla oczu: po przegłosowaniu „lex TVN" i wywołanej tym faktem kolejnej fali hejtu na naczelnego kukistę Pawła Kukiza w środowisku medialnym pojawiła się plotka, że zemsta establiszmentów będzie sroga. I że największe komercyjne stacje radiowe nie będą już z zemsty na Kukizie grać żadnych piosenek, w które był uwikłany. Paweł nie umrze jednak z głodu, gdyż słyszeliśmy, że w odpowiedzi powstał nieformalny ruch wsparcia Kukiza. Ruch składa się z lokalnych rozgłośni radiowych, w tym wielu publicznych, które będą grały jego piosenki częściej. ©℗

eprasa.pl 81396aa6f1

MARKA GODNA ZAUFANIA

PGNiG to jedna z najcenniejszych polskich marek, wysoko oceniana w wielu prestiżowych rankingach.

Cieszymy się uznaniem naszych partnerów biznesowych, odbiorców indywidualnych i kontrahentów zagranicznych.

Zapewniamy bezpieczeństwo energetyczne Polski poprzez stałe, niezakłócone dostawy gazu ziemnego.

eprasa.pl 81396aa6f1

Zielony komunizm kontra Polska

Łukasz Warzecha

Banda ideologów cofnie nas w rozwoju o kilka dekad. Wszyscy będziemy ubożsi, zwłaszcza Polacy

Unia Europejska już wielokrotnie ogłaszała różnego rodzaju programy zmian w różnych dziedzinach. W ciągu ostatniej dekady duża część dotyczyła walki o klimat, który stał się unijnym fetyszem i walką, której zostało podporządkowane praktycznie wszystko w gospodarce oraz polityce. Jednak nawet na tym tle program Komisji Europejskiej „Fit for 55", którego twarzą stał się wiceprzewodniczący KE Holender Frans Timmermans, wyróżnia się zdecydowanie. Po raz pierwszy bowiem tak jasno i jednoznacznie powiedziano, że nie chodzi tutaj o jakieś dostosowanie, modernizację czy ujednolicenie, ale o zmianę sposobu życia wszystkich obywateli UE na wielką skalę. Te słowa wypowiedział sam Timmermans i tak należy patrzeć na „FF55": jako na program inżynierii społecznej.

Zwolennicy poświęcenia wszystkiego na rzecz walki o klimat sprzeciwiają się nazywaniu „FF55" programem zielonego komunizmu, a jednak jest to określenie ze wszech miar słuszne. Komunizm miał to do siebie, że podporządkowywał wszystkie dziedziny życia – od spraw osobistych do całej gospodarki – walce o zwycięstwo światowej rewolucji. Tu mamy to samo, tylko że sprawa się zmieniła – teraz jest to klimat. Cała reszta jest

eprasa.pl 81396aa6f1

Program „Fit for 55" nawet jako wyjściowa propozycja Komisji Europejskiej jest już przerażający

FOT. YVES HERMAN/REUTERS/FORUM

identyczna: agresywna, holistyczna ideologia, quasi-religijny do niej stosunek, są nawet podobnej natury fanatyczne środowiska. Komunizm miał np. słynny Związek Wojujących Bezbożników, klimatyzm ma Extinction Rebellion.

Skąd wziął się „FF55"? Jego źródłem – i to znów pojawiało się w oficjalnych wypowiedziach – jest przekonanie, że dotychczasowe sposoby walki z emisjami CO_2 okazały się za łagodne i nie przyniosły oczekiwanych rezultatów, trzeba zatem dokręcić śrubę, obejmując nowe dziedziny systemem zezwoleń na emisje CO_2 (EU ETS), w tym budownictwo, lotnictwo oraz transport drogowy.

WADLIWE ZAŁOŻENIE

Jednak dyskusja o „FF55" i całej unijnej polityce klimatycznej, nie tylko w Polsce, jest już w punkcie wyjścia wadliwa. Ogromna część komentatorów – o politykach nie mówiąc – zgodziła się na podstawowe założenie, na którym UE opiera swoją arcyambitną politykę klimatyczną, czyli na twierdzenie, że musimy radykalnie ograniczyć emisje CO_2, bo inaczej czeka nas rychła klimatyczna katastrofa. Tymczasem w ramach prawdziwie otwartej debaty samo to założenie może być zakwestionowane. Obecny stan rzeczy przypomina sytuację, w której zgodzilibyśmy się na mocno kontrowersyjne stwierdzenie, że istnieją latające świnie, i zamiast próbować je obalić, spieralibyśmy się już tylko o to, jakiego koloru mają skrzydła. Sprzyja temu coraz gwałtowniejszy opór środowisk klimatystycznych przeciwko dopuszczaniu w ogóle do dyskusji innych stanowisk. „Do Rzeczy" stało się tutaj szczególnie częstym celem klimatystycznych proroków.

O tym, na jak chwiejnych podstawach opierają się takie „naukowe" argumenty jak rzekomy powszechny konsensus co do antropogenicznej natury zmian klimatu, pisałem już w naszym tygodniku. Tym razem warto skupić się na tym, co klimatystycznym histerykom dało ostatnio nowe paliwo: na najnowszym raporcie Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu (IPCC). Powszechnie cytowany jest wyimek z konkluzji tego raportu, mówiący o tym, że ocieplenie o półtora stopnia jest już nieuniknione, a emisje trzeba radykalnie ściąć, aby uniknąć dalszego podgrzewania klimatu. Czyż nie brzmi to dramatycznie?

Tu jednak trzeba zrozumieć, jak działa IPCC. To grono, jak sama nazwa wskazuje, międzyrządowe. Oznacza to, że naukowców do panelu powołują rządy, trudno zatem mówić o grupie w pełni wolnej i obiektywnej. Działają w niej wszystkie mechanizmy rządzące polityką, a więc naukowcy z największych i najzamożniejszych państw – które w większości nawróciły się już na klimatyzm – mają do powiedzenia więcej niż ci z krajów mało znaczących. W IPCC biorą udział ci naukowcy, którzy w swoich krajach działają w głównym obiegu, otrzymują granty i stypendia.

Nie trzeba jednak daleko szukać, aby znaleźć wypowiedzi byłych już członków panelu, którzy w różnym stopniu dystansują się od tego, jak następnie politycznie obrabiane są rezultaty jego dociekań. Na przykład prof. Mike Hulme z Uniwersytetu Cambridge już kilka lat temu zwracał uwagę na to, że nadmierna presja na obywateli, aby wyrzekali się dotychczasowego stylu życia i korzyści, jakie z niego płyną, odrzuca ludzi od samej idei walki z globalnym ociepleniem. Jeszcze w 2007 r. powstał raport dla amerykańskiego Senatu, firmowany przez ponad 700 naukowców, w tym wielu pracujących uprzednio dla IPCC, odrzucający twierdzenie o przemożnym wpływie człowieka na zmiany klimatu. Z kolei w 2009 r. wyciekła korespondencja e-mailowa pomiędzy naukowcami z IPCC, którzy zastanawiali się, jak poradzić sobie z danymi niepasującymi do tezy o nieustannym wzroście temperatury. Najnowszy raport, liczący sobie ponad 3 tys. stron, przyznaje z kolei, że trzy do czterech razy przeszacowano uprzednio wpływ emisji metanu na zmiany klimatyczne w perspektywie 20-letniej. Przypomnijmy, że emisje metanu to jeden z podstawowych argumentów używanych do uzasadnienia konieczności ograniczenia hodowli bydła.

Założenie, na którym UE oparła swą politykę klimatyczną, w ramach prawdziwie otwartej debaty może być zakwestionowane

Nie chodzi o to, że IPCC fałszuje swoje wyliczenia – nic takiego nigdy nie stwierdzono. Wielokrotnie natomiast zarzucano panelowi dobieranie danych wyjściowych do tych wyliczeń pod tezę. Konkluzje, jakie przedstawia IPCC, są oparte na modelowaniu teoretycznym. Takie modelowanie opiera się na przyjętych w punkcie wyjścia założeniach. Wystarczy lekka zmiana tychże, aby osiągnąć bardzo różne rezultaty. Na dodatek czym innym są zawarte w raporcie – niezrozumiałym i nieweryfikowalnym przecież poza wąskim gronem specjalistów – wyliczenia, a czym innym skrótowe konkluzje, które mają już charakter politycznych zaleceń i na których kształt nie mają już wpływu

eprasa.pl 81396aa6f1

setki zaangażowanych naukowców, a jedynie grupa kierująca panelem. Czymś zaś jeszcze innym jest sposób, w jaki następnie te konkluzje są wykorzystywane przez rozhisteryzowane media, polityków czy aktywistów.

KLIMAT ZMIENIAŁ SIĘ ZAWSZE

Problem z debatą polega na tym, że strona klimatystyczna uznała, iż o punkcie wyjścia nie ma już co rozmawiać, bo został on dowiedziony ponad wszelką wątpliwość, co nie jest prawdą. To, co nie powinno budzić wątpliwości, to zmiana klimatu – po prostu dlatego, że klimat zmieniał się zawsze. Podobnie można się zgodzić, że człowiek ma na te zmiany jakiś wpływ. Nie ma natomiast zgody co do tego, jak duży jest ten wpływ, a już w szczególności co do tego, czy nawet najbardziej radykalne działania na poziomie UE, kosztujące biliony euro, w jakimkolwiek stopniu te zmiany zahamują. Zwłaszcza że UE jako całość emituje trochę ponad 9 proc. światowej ilości wypuszczanego do atmosfery CO_2. W tym Polska to ok. 0,8 proc. Tymczasem sama Rosja to 4,7 proc. ogólnych emisji, Stany Zjednoczone – ponad 13 proc., a Chiny – ok. 29 proc. (dane z 1997 r.). Innymi słowy – Unia Europejska wprowadziła i planuje dalsze nieprawdopodobnie wręcz kosztowne dla swoich obywateli działania, opierając się jedynie na hipotezach i niepewnych modelach, sama mając minimalny udział w światowych emisjach. Oznacza to, że kilkuprocentowa redukcja emisji w UE to w skali światowej już tylko dziesiąte części procenta.

Liderzy klimatystycznej krucjaty twierdzą, że Europa musi pokazać kierunek, a inni pójdą za nią. To bardzo wątpliwe. Największy pojedynczy emitent, czyli Chiny, wprowadził wprawdzie własny, raczkujący system zezwoleń na emisję, ale już okazało się, że dusi on wzrost gospodarczy, więc prawdopodobnie zostanie rozluźniony.

Co więcej, nie bierze się pod uwagę ani potencjalnych korzyści z ewentualnego ocieplenia klimatu (takie są możliwe choćby w rolnictwie lub w postaci oszczędności na ogrzewaniu), ani alternatywnej drogi w postaci położenia nacisku nie na ograniczanie emisji, ale na dostosowanie się do nowych warunków. To droga, o której w książce „False Alarm" pisał niedawno Duńczyk Bjørn Lomborg, nie kwestionując zresztą hipotezy o antropogenicznym charakterze zmian klimatu (o tym również pisałem w „Do Rzeczy").

„FF55" z tego punktu widzenia to pójście o wiele dalej niż jakikolwiek dotąd ogłoszony plan. Jest to co prawda na razie tylko propozycja Komisji Europejskiej, ale nawet gdyby uznać ją za punkt wyjściowy do negocjacji, to i tak jawi się przerażająco. Timmermans w swoich wypowiedziach – m.in. w wywiadzie, którego udzielił „Rzeczpospolitej" wkrótce po ogłoszeniu programu – wydaje się kompletnie nie uwzględniać czynnika społecznego, przechodząc do porządku dziennego nad niezliczonymi wątpliwościami i potencjalnym buntem, związanym z kosztami, jakie dla przeciętnego obywatela oznacza „FF55".

Dla Polaków może to mieć dwojaki skutek: albo okaże się wkróte, że zimą kaloryfery są zimne, albo rachunki poszybują w niebo

Oto próbka dotycząca zawartego w programie zakazu sprzedaży aut spalinowych od 2035 r.: „Przejście na samochody elektryczne dokona się szybciej, niż ktokolwiek prognozował, ale mamy obowiązek stworzyć zachęty. A zatem zadbać o infrastrukturę do ładowania, a także zaostrzyć normy emisyjne dla samochodów. Już teraz samochód elektryczny jest tańszy w użytkowaniu niż ten na paliwo. A według prognozy Bloomberga będzie też tańszy w zakupie już w 2027 r.".

Timmermans nie bierze pod uwagę ani ograniczeń infrastruktury, ani kosztów ładowania, które będą musiały wzrosnąć, aby zrekompensować rządom utratę przychodów z podatków w cenie paliw, ani tego, że ceny aut elektrycznych są kształtowane przez rządową politykę dotacji, a nie rynek. Nie wspomina też ani słowem o kwestii praktyczności pojazdów elektrycznych w porównaniu ze spalinowymi. To stwierdzenia przypominające deklaracje sowieckiego komisarza: ma być tak i tak i nic nas nie obchodzi, jak to zrobicie.

RACHUNKI W GÓRĘ

Jednak przy innych kwestiach, opisanych na 4 tys. stron drobiazgowych przepisów, sprawa zarżnięcia europejskiego przemysłu samochodowego wydaje się drobiazgiem. Najistotniejsze jest bowiem poszerzenie systemu handlu emisjami i objęcie nim budownictwa oraz transportu drogowego. System ETS już teraz widzimy w działaniu. Jego skutkiem są szybujące ceny prądu, ponieważ ceny uprawnień za emisję dwutlenku węgla stały się instrumentem spekulacji finansowych i ich ceny sięgają dzisiaj ponad 50 euro za tonę. W zamyśle ten system miał sprawiać, że podmioty, zniechęcane kosztami emitowania CO_2, miały inwestować w czystsze metody działania. Ten schemat był jednak od początku wadliwy. Pokazują to losy polskich ciepłowni lokalnych, które muszą dzisiaj wydawać ogromną część swoich budżetów na opłacanie bieżącego działania, a zatem nie tylko nie są w stanie sfinansować inwestycji w czystszą technologię – a są to inwestycje ogromnie kosztowne – lecz także często stoją na granicy bankructwa. Dla Polaków może to mieć dwojaki skutek: albo okaże się wkrótce, że zimą kaloryfery są zimne, albo rachunki poszybują w niebo.

Tak będzie z większością biznesów, przede wszystkim mniejszych. Koszty emisji, zwłaszcza gdyby systemem został objęty transport drogowy, po prostu te biznesy wykończą. Szczególnie że małe firmy – fryzjer, niewielki warsztat samochodowy, restauracja – nie mają wielkiego pola manewru i nie bardzo jak mają się przestawić na „czysty" sposób działalności. Ich nie czekają żadne korzyści – jedynie dramatycznie rosnące rachunki.

Zwolennicy unijnej polityki klimatycznej twierdzą, że oznacza ona rozwój gospodarczy, tyle że w innych sferach niż dotychczas, a inwestycje w „czystą energię" przyniosą wielkie korzyści. Tyle że to tak nie działa. Trzeba być skrajnie naiwnym, by twierdzić, że zamiast zamkniętej „nieekologicznej" firmy powstanie „ekologiczna" firma, która zatrudni nawet więcej osób. Korzyści będą ograniczone do stosunkowo wąskiego sektora. Pomoc dla firm czy obywateli nie weźmie się z powietrza – będzie musiała oznaczać wzrost fiskalizmu. Pieniądze z unijnego Funduszu Sprawiedliwej Transformacji przeznaczone dla Polski to ok. 3,5 mld euro, czyli ok. 15 mld zł – to grosze w porównaniu z tym, ile będzie nas kosztować dostosowanie się do unijnych wymogów, i to jeszcze tych w wersji sprzed „FF55". Według rządowego dokumentu, mówiącego o perspektywie 2040 r., reforma polskiej energetyki do

eprasa.pl 81396aa6f1

Emisje CO_2 ze spalania paliw kopalnych (mld ton rocznie)

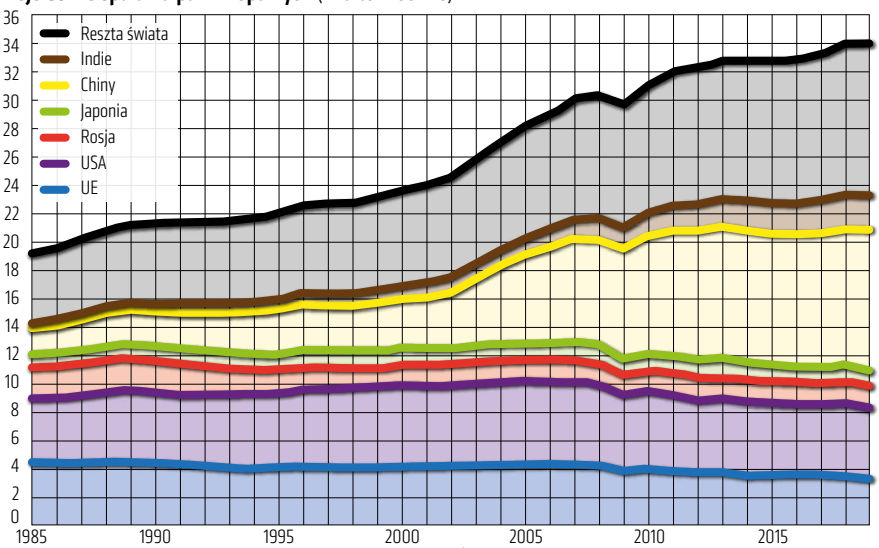

Źródło: Naukaoklimacie.pl/BP Statistical Review of World Energy 2020

RYS. PEGAZ

2040 r. może kosztować blisko bilion złotych. Nawet jeśli uwzględnić, że FST został na razie ustalony tylko na jedną perspektywę budżetową, trudno zakładać, żeby w kolejnych zawierał szczególnie większe sumy. Gdyby powtarzała się suma obecna, można założyć, że ogółem Polska otrzymałaby maksymalnie ok. 60 mld zł. Do tego możemy doliczyć jeszcze ok. 14 mld euro (27 mld zł) z Funduszu Modernizacyjnego UE, do którego ma trafić część wpływów ze sprzedaży uprawnień do emisji, a z którego będzie zasilanych 10 najbiedniejszych krajów UE. Razem mamy niespełna 90 mld zł w bardzo optymistycznym wariancie, czyli jedną dziesiątą tego, co musimy wydać na modernizację naszego systemu energetycznego. To pieniądze wręcz śmieszne. Objęcie systemem uprawnień do emisji budownictwa (kwestia efektywności energetycznej) oraz transportu drogowego ten koszt radykalnie winduje praktycznie dla całej gospodarki.

Zresztą efektywność systemu ETS jest podważana przez ekspertów. W swoim memorandum na temat programu „FF55" Związek Przedsiębiorców i Pracodawców wskazuje, że większość badań, mających dowodzić efektywności tego systemu w osiąganiu celu, którym jest redukcja emisji CO_2, została stworzona jako teoretyczne modele nieoparte na realnych doświadczeniach. Oceny realnych skutków pokazują zaś, że są one niemal pomijalne – redukcja wyniosła od 0,5 do 1,5 proc. ZPP wskazuje również na zagrożenie wynikające z planów wprowadzenia systemu ETS w transporcie lotniczym, który przecież nie dysponuje żadnymi alternatywami dla spalania benzyny lotniczej. Konsekwencje będą oczywiste: potężny cios w branżę lotniczą, a także turystyczną, ponieważ dla wielu obywateli UE podróże lotnicze staną się niedostępne z powodu cen. Pod tym względem możemy się cofnąć do lat 60. czy 70., gdy podróżowanie samolotem było zarezerwowane dla najzamożniejszych. To właśnie jeden z wielu przykładów społecznej inżynierii, którą chce uprawiać Timmermans.

EUROPEJCZYCY BĘDĄ BIEDNI

Wskutek programu „FF55" nieuchronna jest pauperyzacja społeczeństwa. PIE szacuje, że z powodu wdrożenia systemu handlu emisjami w budownictwie oraz transporcie całkowity koszt dla unijnych gospodarstw domowych w latach 2025–2040 to – uwaga! – 1,1 bln euro. Roczny koszt systemu uprawnień w transporcie dla przeciętnego unijnego gospodarstwa domowego ma wynieść 373 euro oraz aż 427 euro w związku z objęciem systemem budynków mieszkalnych. Razem to 800 euro, czyli ok. ponad 3,6 tys. zł! A pamiętajmy, że są to wyliczenia średnie. W kraju takim jak Polska koszt będzie zapewne wyższy.

PIE szacuje również, że wydatki na energię pierwszego kwintyla (czyli najuboższych 20 proc.) gospodarstw domowych w UE w związku z wprowadzeniem ETS w transporcie wzrosną o 44 proc., a w budownictwie – o 50 proc., w Polsce zaś będzie to aż 108 proc.! Innymi słowy – najuboższa jedna piąta polskich gospodarstw domowych zapłaci za energię tylko z powodu poszerzenia systemu ETS o jeden sektor ponad dwa razy więcej niż obecnie. Te szacunki sprawiają, że włosy podnoszą się na głowie.

Do tego wszystkiego dorzućmy jeszcze projekt CBAM, czyli „cła węglowego", które ma być nakładane na granicy UE i ma zapobiegać wypychaniu wysokoemisyjnej produkcji poza UE. Podatek miałby być nakładany na każdy towar sprowadzany z kraju, gdzie przy produkcji emituje się CO_2. Dotyczy to również surowców energetycznych, co ma szczególne znaczenie dla Polski. Ten protekcjonistyczny mechanizm niejako sam recenzuje plany UE: społeczni inżynierowie przewidują, że biznes będzie uciekał od drastycznych obciążeń. Dla zwykłych obywateli CBAM oznacza zaś, że nie da się już taniej kupić towarów spoza UE.

Najnowsza historia jest pełna całkowicie chybionych, panicznych przewidywań, zgodnie z którymi nie powinno nas już być na Ziemi. Gdy w 1970 r. po raz pierwszy obchodzono Dzień Ziemi, w piśmie „Scientific American" przewidywano, że ołów, cynk, złoto i srebro skończą się przed 1990 r., a miedź – 10 lat później. Ekolog Kenneth Watt wieszczył w „Time", że przy utrzymaniu ówczesnego tempa zwiększania się ilości azotu w atmosferze wkrótce światło nie będzie w ogóle przenikać przez atmosferę i ziemia stanie się całkowicie jałowa. Inny ekolog, Kenneth Watt, ostrzegał zaś przed nadchodzącą epoką lodowcową. Można się z tych absurdów dzisiaj śmiać. Ale śmiech zamiera na ustach, jeśli uświadomimy sobie, że banda ideologów tym razem postanowiła zafundować nam na podstawie podobnych prognoz prawdziwy armagedon, cofając nas w rozwoju – w szczególności Polaków – o kilka dekad.

Jeżeli dzisiaj słyszę, jak klimatyści mówią, że to jest walka o przyszłość naszych dzieci, to w tym jednym się z nimi zgadzam: walka z szaleństwem, którym jest unijna polityka klimatyczna, a szczególnie „FF55", jest istotnie walką o przyszłość. A konkretnie o to, żeby nasze dzieci nie wspominały obecnych czasów jako ostatniego momentu względnej pomyślności, zamożności i wolności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 81396aa6f1

Koniec świata

Jan Bogatko

Świat ma na swym koncie ponad 150 końców świata, jeśli wierzyć różnym wyliczeniom. Minęły tysiąclecia, ale metody rządów strachu nie zmieniły się ani na jotę

FOT. ADOBE STOCK

Początek wyglądał tak:
Herhor wzniósł do góry obie ręce. A gdy tłum znowu ucichnął, arcykapłan zawołał silnym głosem:

– Bogowie! Pod waszą opiekę oddaję święte przybytki, przeciw którym występują zdrajcy i bluźniercy…

W chwilę później gdzieś nad świątynią rozległ się głos nadludzki:

– Odwracam oblicze moje od przeklętego ludu i niech na ziemię spadnie ciemność!

I stała się rzecz okropna; w miarę, jak głos mówił, słońce traciło blask. A wraz z ostatnim słowem zrobiło się ciemno jak w nocy. Na niebie zaiskrzyły się gwiazdy, a zamiast słońca stał czarny krąg otoczony obrączką płomieni…

Niezmierny okrzyk wydarł się ze stu tysięcy piersi. Szturmujący do bramy rzucili belki, chłopi upadli na ziemię…

– Oto nadszedł dzień śmierci! – zawołał jękliwy głos w końcu ulicy.

– Bogowie!... litości… święty mężu, odwróć klęskę! – zawołał tłum

(B. Prus, „Faraon", T. II, Warszawa 1954, s. 398).

Świat ma na swym koncie ponad 150 końców świata, jeśli wierzyć różnym wyliczeniom. Ten najbardziej aktualny, który nastąpi w bliżej nieokreślonym „niebawem", czeka nas teraz, o ile ludzkość nie przestanie grzeszyć klimatycznie i zgodzi się np. na rozwiązania energetyczne zaproponowane przez biznesmenów z New Religion, czyli lewicowych talibów. Przesłanie brzmi: ludzie zachowują się nieracjonalnie, niszcząc klimat, a tym samym wydają na siebie wyrok. Nie zniszczą oni klimatu, przyjmując nasze rozwiązania i płacąc za nie i na ich realizację. Czy coś innego mówił Egipcjanom za panowania Ramzesa XIII ubrany w lamparcią skórę, długą białą tunikę i czapkę Amenhotepa kapłan Herhor, wykorzystując astronomiczne zjawisko do manipulowania ludem? Od tego czasu minęły tysiąclecia, ale metody rządów strachu nie zmieniły się ani na jotę.

BRAK JEDNOMYŚLNOŚCI

Ponad 10 lat temu niemiecki klimatolog ze szwajcarskiej grupy Meteomedia AG (Gais w kantonie Appenzell), Thomas Globig, zabierając głos na temat globalnego ocieplenia, zauważył, że teorie na ten temat nie są tak klarowne jak twierdzenie Pitagorasa. Przyznaje, że wśród naukowców zajmujących się klimatem zdania są podzielone. Dlatego też wiele z publikowanych informacji o zmianach klimatu okazuje się niezupełnie prawdziwymi, jak choćby te o zagładzie lodowców w Himalajach do ok. 2030 r., które obiegły wówczas świat.

Skompromitowana Światowa Rada Klimatyczna ONZ musiała przyznać, że brak wystarczającej bazy naukowej dla uzasadnienia twierdzenia, jakoby do roku 2035 lodowce w Himalajach znikną. Tak uważająca się za poważną placówka tłumaczy się tym, że być może… źle przepisano datę!

Ale to było wczoraj. Dzisiaj IPCC ostrzega: „Nie traćmy kontroli nad ochroną klimatu! Już w roku 2030 średnia temperatura na świecie może wzrosnąć o 1,5 stopnia". Kiedy w Niemczech pojawiły się 10 lat temu zmasowane prognozy ocieplenia klimatu, w Republice Federalnej wprowadzono… obowiązek wyposażenia pojazdów mechanicznych w opony zimowe w konkretnej sytuacji pogodowej.

POWODZIE SPRZED LAT

Niemcy, lato 2021 r. Ahrweiler, Altenahr, Bad Neuenahr, Euskirchen, Erftstadt, Bad Münstereifel, Iversheim. Znam te wszystkie miejscowości, bywałem tam często, mieszkając w Bonn czy w Bürvenich. Dziś, po potopie w nocy z 14 na 15 lipca, pewnie bym ich nie poznał. Czy powódź w malowniczej dolinie rzek Aar czy Erft była wyjątkowym wydarzeniem, a może raczej zapowiedzią zmiany klimatu? Tak widzą to niemieccy politycy. Natomiast dwóch naukowców z Bonn ocenia ich stanowisko krytycznie i przytacza twarde dowody na to, że się mylą.

Kiedy piszę te słowa, wielu mieszkańców dotkniętego kataklizmem regionu żyje nadal w spartańskich warunkach, są zdani na miłosierdzie gminy. Brakuje kanalizacji, wody bieżącej, energii elektrycznej. Brakuje mostów, nie jeździ kolej, niektóre drogi zabrała fala powodzi. Wraz z przywracaniem porządku, usuwaniem ruin i zapór, utworzonych przez wodny żywioł z samochodów, maszyn rolniczych, przyczep campingowych, resztek mebli i urządzeń domowych, płotów, ścianek, zbiorników na paliwa płynne, rozpoczęto badanie przyczyn kolejnej katastrofy stulecia.

Naukowcy z Bonn, Thomas Roggenkamp i Jürgen Herget, wrócili właśnie

eprasa.pl 81396aa6f1

z regionu objętego katastrofą nad rzeką Aar. Przebywali oni tam na zaproszenie lokalnego sztabu antykryzysowego. Obaj są geografami, a konkretnie zajmują się naukowo – od 2012 r. – rekonstrukcją historycznych powodzi nad rzeką Aar, liczącym 85 km długości dopływem Renu. Celem ich peregrynacji było pierwsze ujęcie katastrofy lipcowej powodzi. Opublikowanie ich wstępnego, krytycznego raportu na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung" stanowi pewnego rodzaju sensację, zważywszy na obowiązujące kanony sprawozdawczości, co docenili czytelnicy tego niegdyś konserwatywnego dziennika.

Roggenkamp jest pracownikiem naukowym Instytutu Geografii Uniwersytetu Fryderyka Wilhelma w Bonn w zakresie geografii fizycznej. Z rzekami w Nadrenii jest za pan brat, tematem jego pracy doktorskiej był Ren środkowy i dolny w epoce rzymskiej. Zabierając się za temat powodzi w dolinie rzeki Aar, Roggenkamp i Herget, profesor geomorfologii (nauki o formach powierzchni ziemi) na tymże uniwersytecie, zadali sobie trud przejrzenia dawnych kronik, oznaczeń poziomu wód podczas powodzi na budynkach z epoki, źródeł pisemnych oraz spisów notowań pomiaru stanu wód na rzekach. Są one wyczerpujące zwłaszcza dla powodzi z dnia 21 czerwca 1804 r. i z 13 czerwca 1910 r., podczas których woda spustoszyła całe połacie regionu, pociągając za sobą śmierć wielu jej mieszkańców.

Wiek XIX i XX to nie wszystko. Badacz regionu, Karl-August Seel, sporządził bardzo ciekawe zestawienie, rozpoczynające się od roku 1346. Jego szczegółowa i bogata faktograficznie praca nosi tytuł „Rzeka Aar i powodzie w dawnych źródłach". „FAZ" cytuje pod datą 30 maja 1601 r.: „Antweiler: tego dnia niespodziewanie po południu rozpętała się burza z deszczem i gradem, niebo pociemniało, tamy niebios rozwarły się i na ziemie spadły niespotykane strumienie wody, tak, że przerażeni mieszkańcy uwierzyli w koniec świata".

Na mieszkańców doliny rzeki Aar czekało jeszcze kilka końców świata – najgroźniejsze w roku 1804 i z lata roku 2021. Roggenkamp i Herget opracowali współczynnik umożliwiający porównanie powodzi ze sobą, mianowicie tzw. szczytowy spływ wody. Konkretnie w przypadku rzeki Aar odpowiada on na pytanie, jak wielki – liczony w metrach sześciennych na sekundę – jest spływ wody w danym momencie powodzi. Dla rzeki Aar w punkcie pomiarowym w miejscowości Altenahr średni (wieloletni) spływ wynosi ok. 7 m sześc./s. Dla porównania: podczas przedostatniej powodzi, 2 czerwca 2016 r., szczytowy spływ tej na ogół spokojnej rzeczki wyniósł aż 34 razy tyle: 236 m sześc./s.

Okazuje się, że legendarna nieomal powódź w dolinie Aaru z czerwca roku 1910 była o wiele groźniejsza: Roggenkamp i Herget zrekonstruowali dane powodziowe, dochodząc do wniosku, że przez Altenahr płynęło wówczas od 450 do 650 m sześc. wody na sekundę! To dużo, ale to nic w porównaniu ze spływem wody w odległej od Altenahr o ok. 10 km miejscowości Dernau w lipcu 1804 r. Szczytowy spływ osiągnął wówczas wartość niewyobrażalnych 1 tys. do 1,3 tys. m sześc./s. To ponad 180 razy więcej niż w normalny, powszedni dzień!

TERMOSTAT OD KLIMATU

Nadchodzi dzień katastrofy, a właściwie tragiczna noc z 14 na 15 lipca 2021 r. Niż „Bernd" przynosi oberwanie chmury. Leje zwłaszcza na okoliczne, skryte we mgle wzgórza. Woda spływa, nie wsiąka – gleba nie przyjmuje po prostu więcej wody. W wyniku tego poziom wody w rzece Aar szybko i nieustannie wzrasta. Jeszcze o godz. 18.24 niemiecki instytut meteorologii (Deutscher Wetterdienst) prognozuje osłabienie opadów, w związku z czym Krajowy Urząd Środowiska przepowiada poziom wody w Aarze w wysokości „tylko" czterech metrów (zazwyczaj jest to 70 cm); ale już o godz. 19.36 – pięciu metrów, a godzinę później – siedmiu. Potem już można zgadywać, bo woda zabrała wszelkie wodomierze nad Aarem.

Faktyczną wielkość szczytowego spływu w nocy 14 lipca 2021 r. Thomas Roggenkamp i Jürgen Herget mogą w przybliżeniu ustalić dla miejscowości Schuld, Dernau i Walporzheim po śladach wody na pozostawionych przez falę powodziową budynkach. Roggenkamp: „Z historycznego porównania wynika, że powódź z lipca 2021 r. jest powtórką powodzi z lipca 1804 r.". Wówczas, jak i dzisiaj, letnia ulewa wywołała powódź. „Mimo porównywalnych szczytowych spływów powódź z lipca 2021 r. osiągnęła większy poziom niż w roku 1804. Gęstsza zabudowa pozwala na nieproporcjonalny wzrost wysokości zalewu". I nie tylko – na wysokość fali powodziowej wpływają też „barykady" wywołane gruzami, drzewami i wrakami przy zniszczonych mostach.

Roggenkamp krytycznie ocenia (wyrażane zwłaszcza przez polityków) opinie, że potop z lipca 2021 r. stanowi bezpośredni skutek zawinionej przez człowieka zmiany klimatu. Cytat: „Powódź z lipca 2021 r. należy uznać za wprawdzie ekstremalne, ale nie wyjątkowe wydarzenie. Podobne powodzie miały miejsce – o czym wiemy – już w epoce przedprzemysłowej".

Wnioski?

Jeden z czytelników artykułu w „FAZ" pisze w komentarzu: „Aktualnie jest na czasie przypisywanie winy za każde zjawisko pogodowe ociepleniu klimatu, co wynika z dogmatu, że ocieplenie klimatu jest dziełem człowieka. Z tego wyciąga się wniosek, że człowiek świadomie może zmienić i wpłynąć na klimat Ziemi. W konsekwencji politycy uważają, że mogą ustalić cele związane z ociepleniem klimatu, jak np. ograniczenie ocieplenia do 1,5 st. C, jak gdyby można było uzyskać to pokrętłem termostatu. Najwidoczniej panuje wśród nich przekonanie, że klimat Ziemi jest wielkością statyczną, jak w przyjemnie ogrzanym mieszkaniu. Faktycznie jednak klimat jest wysoce kompleksowym systemem regulacji, którego jedyną stałą jest zmienność, która przebiega w długich interwałach. Zamiast gonić za nierealnym celem ograniczenia ocieplenia, należałoby lepiej przygotować społeczeństwo na przyszłe wydarzenia!".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 81396aa6f1

Wojna w trójkącie

Rafał A. Ziemkiewicz

Szarża izraelskiego szefa MSZ ujawniła, że Żydzi zinstrumentalizowali pamięć o cierpieniach swego narodu i uczynili z niej narzędzie do czerpania nieuczciwych zysków. Tę potyczkę Polska wygrała, ale bitwa dopiero przed nami

W tlącym się od lat konflikcie pomiędzy żydowskimi organizacjami z USA a państwem polskim, w który z czasem zaangażował się jako strona rząd Izraela, w ostatnim czasie zdarzyło się kilka rzeczy bezprecedensowych. Nie ma precedensu furia ataku, jaki publicznie przypuścił na Polskę minister spraw zagranicznych Izraela – użyte przez niego obelgi i praktyczne zerwanie stosunków

eprasa.pl 81396aa6f1

Izraelski premier Naftali Bennett (z prawej) i minister spraw zagranicznych Ya'ir Lapid, grając w grę obliczoną na własnych wyborców, tym razem zalicytowali za wysoko

FOT. RONEN ZVULUN/REUTERS/FORUM

dyplomatycznych, do których się posunął. Nie ma też precedensu zdystansowanie się od antypolskich działań Izraela przez władze amerykańskie, wydaje się, że spowodowane chęcią zaznaczenia, iż Waszyngton nie do końca jest zadowolony z osoby i haseł Ja'ira Lapida. Na dodatek konkretny przedmiot sporu – nowelizacja polskiego Kodeksu postępowania administracyjnego – nie jest już tak łatwy do rozegrania przez stronę żydowską, jak było to w wypadku nowelizacji ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej.

Wówczas, przypomnijmy, uderzenie przygotowane było precyzyjnie i przeprowadzone bezlitośnie, niczym japoński atak na niczego się niespodziewające Pearl Harbor. Izrael wykorzystał nowelizację jako wygodny pretekst, bo w istocie uderzono w zapisy, które przeszły do niej ze starej wersji ustawy i obowiązywały w Polsce od dawna, choć w praktyce były martwe. Przedstawiono je jako narzędzia prawne mające służyć uniemożliwieniu badań nad Holokaustem i wymierzone w prawdę historyczną, co było o tyle łatwe do propagandowego sprzedania światu, że zapisy te rzeczywiście odnosiły się do badań i historii. Reszty dopełniło wybranie doskonałego momentu ataku: podczas przemówienia wygłaszanego przez ambasador Izraela w Auschwitz, w rocznicę wyzwolenia obozu, w chwili skupienia na jej słowach uwagi mediów całego świata, a także propagandowa potęga zaangażowana po stronie żydowskich roszczeń, która narzuciła światu narrację agresora tak szybko i z taką siłą, że Polska praktycznie nie miała możliwości czynienia jakichkolwiek sprostowań ani przedstawienia swoich argumentów.

Inna była również pozycja stojącego za atakiem premiera Izraela. Beniamin Netanjahu był już wtedy wprawdzie osaczony oskarżeniami o korupcję i polityczne zaplecze jego rządu się chwiało, dlatego właśnie, jak się zdaje, rozpętał całą tę hucpę, ale po wielu latach rządów niejako mocą zasiedzenia traktowany był przez wszystkich uczestników międzynarodowej gry poważnie – a nikt na świecie nie miał przecież wątpliwości, że przypuszczając atak na Polskę, ambasador wykonywała polecenie swojego szefa.

Mimo wszystko środowiska, stanowiące główny motor żydowskiego antypolonizmu i toczącej się wojny przeciwko Polsce, nie miały powodów do satysfakcji. Netanjahu rozgrywał bowiem własne polityczne cele i wymuszenia na Warszawie haraczu „za Holokaust" nie było wśród jego priorytetów. Także wsparcie rządu USA, dla owego wymuszenia kluczowe, było słabsze, niż mogli oczekiwać. Owszem, Donald Trump był z wielu względów, wśród których zapewne nieostatni stanowiły koneksje rodzinne, jednym z najbardziej proizraelskich włodarzy Białego Domu (a konkurencja w tej dziedzinie jest naprawdę silna), ale też chyba żadnemu prezydentowi przed nim nie zależało aż tak na silnej pozycji Ameryki w Europie Środkowej. Nie z powodu przyjaznych uczuć do Polski, bo tych Ameryka nie szczędziła nam nigdy, ale dlatego, że jego plan „przywrócenia Ameryce dawnej wielkości" zakładał wykorzystanie eksportu surowców, w tym gazu łupkowego – co wymaga wypchnięcia z rynku europejskiego Rosji, a w tym projekt Trójmorza ma znaczenie kluczowe.

Korzystając z obu tych okoliczności, premier Morawiecki zdołał doprowadzić do rozejmu z Netanjahu i „wspólnej deklaracji historycznej", minimalizując w ten sposób polskie straty.

SZARŻA LAPIDA

Organizacje żydowskie, które pod pozorem odszkodowań, a w istocie tytułem okupu za powstrzymanie się od niszczenia wizerunku swych ofiar, złupiły już wiele krajów i dużych firm, potrafią jednak działać nieustępliwie i z cierpliwością. Prezydenturę Trumpa traktowały jako okres „trzymania nogi w drzwiach", cały czas podtrzymując roszczenia, umacniając narrację „wrabiającą" Polaków w odpowiedzialność za Holokaust (gdyż, jak wielokrotnie wyjaśnialiśmy, tylko przypisanie Polakom takiej odpowiedzialności daje „moralną" podstawę roszczeń do „mienia bezspadkowego", których prawnie uzasadnić nie sposób) i czekając na sytuację, w której wieloletnie osaczanie Polski będzie mogło wreszcie przynieść oczekiwane plony.

Wydawałoby się, że prezydentura Bidena – całkowicie oddanego lewicowej agendzie porzucenia tradycyjnych źródeł energii, również wydobycia gazu łupkowego, a także zdecydowanego wycofać USA z Europy i oddać pieczę nad nią Niemcom – będzie idealną do tego okazją. I wydawać się może, że szarża Ja'ira Lapida jest właśnie otwarciem kolejnej kampanii, mającej doprowadzić do wymuszenia na Polakach „mienia bezspadkowego". Niewykluczone, że sądził tak również on sam.

W istocie sprawa jest bardziej skomplikowana i swą aktywnością Lapid bardziej popsuł robotę nowojorskim „egzekutorom roszczeń", niż im pomógł.

Podobnie jak w wypadku Netanjahu bezpośrednią przyczyną antypolskiego zaangażowania Lapida, a także wspierającego go w atakach na nasz kraj premiera Izraela, Naftalego Bennetta, są ich własne interesy i wewnętrzna polityczna rozgrywka w Izraelu. Koalicja, która po latach rządów Netanjahu zdołała odepchnąć

eprasa.pl 81396aa6f1

go od władzy, stanowi bowiem kuriozum na skalę światową – przekładając na polskie realia, przypomina „rząd techniczny", który pod hasłem „wszyscy przeciwko PiS" usiłowali sklecić Borys Budka z Konfederacją, Gowinem, Kukizem, Hołownią, PSL i Lewicą. Zwornikiem tej przedziwnej konstrukcji jest umowa o rotacyjnym wymienianiu się na stanowisku premiera liderów dwóch największych koalicyjnych partii – czyli właśnie Bennetta i Lapida. Obaj oni odwołują się do podobnego, nastawionego nacjonalistycznie elektoratu, obaj więc potrzebują kreowania wroga, do którego w nienawiści mogą licytować się w emocjach, i obaj nie mogą w tej roli używać, jak to jest dla izraelskich nacjonalistów tradycją, Arabów, ponieważ partyjka reprezentująca arabskich obywateli Izraela również jest uczestnikiem rządzącej koalicji (zresztą pierwszy raz w dziejach tego państwa) i bez jej kilku posłów rotacyjny rząd straci parlamentarną większość. Nie bez znaczenia jest też fakt, że w elektoracie syjonistycznym wielką rolę odgrywają dziś Żydzi przybyli z byłego ZSRS, którzy przywieźli ze sobą sowiecką pogardę dla Polaków i przyczynili się do obecnego nasycenia nią debaty publicznej tego kraju.

Wściekłość i agresja, okazana przez Lapida i Bennetta po podpisaniu przez prezydenta Dudę nowelizacji KPA, miała więc podgrzać antypolskie emocje w samym Izraelu. Tylko na pierwszy rzut oka wpisuje się ona w tę samą grę, którą prowadził Netanjahu w sojuszu z organizacjami amerykańskimi, korzystającymi z protekcji rządu USA.

ROSZCZENIOWY BIZNES

Nowelizacja KPA jest oczywiście dla tych organizacji złą wiadomością, ale nie uderza w interesy nowojorskich rekinów „holocaust industry". Uderza przede wszystkim w pomniejszy, „reprywatyzacyjny" geszeft, który w ostatnich kilkunastu latach wyrósł w cieniu wielkiej kampanii rozliczania „polskich win" wobec Żydów.

Uprawiają go liczne kancelarie prawne, z siedzibami zarówno w Polsce, jak i w Ameryce oraz innych krajach, które wyspecjalizowały się w produkowaniu roszczeń – wystarczy znaleźć kogoś, kto jest spokrewniony (względnie jest gotów podać się za spokrewnionego) z przedwojennym właścicielem czegoś, co istniało na terenie II RP, zdobyć jego oświadczenie, że jest spadkobiercą, oraz pełnomocnictwo. Dalej proceder przebiega zgodnie z modus operandi, który opinia publiczna poznała przy okazji śledztwa w sprawie warszawskiej reprywatyzacji – lewe kwity, łapówki, kuratorzy, „sąd krzywoprzysiężny" etc. Rozproszony na setki i tysiące nieruchomości w setkach polskich gmin i na tysiące niepowiązanych ze sobą formalnie spraw reprywatyzacyjny biznes przez długie lata był w Polsce praktycznie niezauważany i osiągnął ogromne rozmiary, generując dla Polski straty idące co najmniej w setki milionów, a bardzo możliwe, że już w miliardy złotych.

Mimo wszystko z punktu widzenia nowojorskich prawników milionerów, zajmujących się „restytucją mienia żydowskiego" na skalę setek miliardów, to tylko drobne cwaniaczki i płotki, w obronie których nie warto wytaczać dział tak ciężkich jak te, które odpalili przywódcy Izraela. Co więcej, przesada z ich strony może raczej zaszkodzić od lat cierpliwie przygotowanemu „wielkiemu skokowi" na polskie „mienie bezspadkowe". Lapid, podnosząc dość oczywistą i techniczną sprawę ograniczenia w czasie możliwości odwoływania się od decyzji administracyjnych do rangi „szkodzenia pamięci o ofiarach Holokaustu i narodowi żydowskiemu" etc. i posuwając się w obronie reprywatyzacyjnych geszefciarzy do obniżenia stosunków międzypaństwowych poniżej wymiany ambasadorów, zwyczajnie tępi główną broń używaną do wojny o „odszkodowania". W polskiej ustawie nie ma przecież ani słowa o Żydach, Shoah, historii ani wielkiej polityce – jest tylko wprowadzenie prostej zasady przedawnienia, która istnieje we wszystkich cywilizowanych państwach i to raczej jej brak w Polsce był postkomunistycznym kuriozum.

W istocie więc cała akcja pokazuje światu, że Żydzi zinstrumentalizowali pamięć o cierpieniach swego narodu i uczynili z niej narzędzie do czerpania nieuczciwych zysków. A ponieważ jest to prawda, stronie żydowskiej zdecydowanie nie może się taka samodemaskacja podobać.

Dlatego żydowska opinia publiczna i media, w znacznym stopniu oddające punkt widzenia amerykańskich, a nie izraelskich elit żydowskich, tym razem nie zajęły jednobrzmiącego i entuzjastycznego stanowiska, tak jak w sprawie nowelizacji nazwanej przez rząd Netanjahu „holocaust law". Nawet w samym Izraelu rotacyjni „premierzy alternaci" zostali mocno skrytykowani zarówno przez lewicę, jak i przez syjonistów z obozu – wciąż zachowującego spore wpływy – byłego premiera.

DOBRA WIADOMOŚĆ DLA POLSKI

Izraelskie oburzenie na polską nowelizację zostało wprawdzie w pierwszej chwili, zgodnie z oczekiwaniami, wsparte w wystąpieniu sekretarza stanu Antony'ego Blinkena – co zresztą umknęło uwadze polskich lewicowo-liberalnych mediów, przysłonięte pobocznym wątkiem tego samego wystąpienia, dotyczącym TVN. Ale już wezwanie Lapida do oficjalnej, amerykańsko-izraelskiej deklaracji wymierzonej w Polskę zostało zignorowane. Polityka słabnącego mocarstwa i tak jest obecnie poddana potężnym przeciążeniom wskutek gwałtownej zmiany priorytetów, zarządzonej przez Joe Bidena, więc trudno oczekiwać po obecnej administracji, by dążyła do dalszego jej rozchwiania. A demonstracyjne pochwalenie sytuacji, gdy dwaj ważni w swych regionach, przynajmniej do niedawna, sojusznicy USA z błahego powodu odwołują nawzajem swoich ambasadorów, niewątpliwie służyłoby takiemu rozchwianiu.

Na dodatek tym razem moment, który wybrał prezydent Duda na podpisanie nowelizacji, okazał się korzystny dla nas. Kilka dni po pogróżkach Lapida: „Minęły czasy, gdy Polska mogła krzywdzić Żydów bezkarnie, dziś mają oni silne i dumne państwo" i obelgach o „haniebnym postępowaniu antydemokratycznego rządu" wybuchł kryzys w Afganistanie, który bez reszty zaabsorbował uwagę amerykańskiej i światowej opinii publicznej. Nawet gdyby Bennetowi i Lapidowi udało się zmontować równie potężną antypolską kampanię, jaką zorkiestrował Netanjahu podczas ataku na nowelizacje ustawy o IPN (a już widzimy, że to niemożliwe), to w tym stanie nastrojów nie przyniosłaby ona żadnego skutku.

Co dalej mogą zrobić wrogowie Polski w sprawie KPA? Wydaje się, że nic. Tę potyczkę wygraliśmy. To dobra wiadomość, bo pozwala odzyskać wiarę, że nie stoimy w obronie naszego majątku i dobrego imienia na z góry przegranych pozycjach. Pamiętajmy jednak, że to tylko potyczka i że na główny przedmiot sporu – tj. roszczeń do obliczanego przez stronę żydowską na 300 mld dol. „mienia bezspadkowego" – ma ona bardzo ograniczony wpływ. Prawdziwa próba sił jeszcze wciąż przed nami.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 81396aa6f1

Z Łukaszem Schreiberem, ministrem w kancelarii premiera, posłem Prawa i Sprawiedliwości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Polska nie jest niczyją kolonią

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

RYSZARD GROMADZKI: Wyjście Porozumienia Jarosława Gowina z koalicji rządzącej obróci się na korzyść Zjednoczonej Prawicy?

ŁUKASZ SCHREIBER: Myślę, że na pewno wzmocni to jedność obozu rządzącego. W ostatnich tygodniach widać było wyraźnie, że pan premier Gowin robi wszystko, aby opuścić Zjednoczoną Prawicę. On sam i jego wierni ludzie z Porozumienia atakowali w mediach Polski Ład, niejednokrotnie podając przy tym fałszywe informacje. Wywołali chaos informacyjny, przez co wielu Polaków nie zrozumiało idei tego programu. To właśnie pan Gowin ma duży udział w tym, że duża cześć Polaków uważa, że straci w wyniku zmian podatkowych zapisanych w Polskim Ładzie. A to nieprawda. Będzie zupełnie odwrotnie. 18 mln Polaków zyska na tych zmianach, a dla 90 proc. społeczeństwa będą one miały charakter pozytywny bądź neutralny.

Przed rządem PiS i Solidarnej Polski parlamentarna batalia związana z wdrożeniem Polskiego Ładu. Batalia oparta na bardzo kruchej większości. Dużo zależy od postawy grupki posłów Pawła Kukiza. Wystarczy wam szabel, żeby przewalczyć swój strategiczny plan?

Na ostatnim posiedzeniu Sejmu, już po dymisji wicepremiera Gowina, udowodniliśmy, że nasz gabinet cieszy się poparciem większości parlamentarnej. Pokazywały to także wszystkie wcześniejsze posiedzenia w tej kadencji Sejmu. Sytuacja, którą mamy obecnie, nie różni się zbytnio od tej, w której byliśmy w roku 2015. Wtedy mieliśmy w Sejmie większość tworzoną przez 235 posłów, teraz możemy liczyć na 231 głosów. Powiem więcej. Sytuacja jest nawet o tyle bardziej klarowna, że jeszcze do niedawna nasz partner koalicyjny blokował różne ustawy. W tym sensie sytuacja nie uległa jakiejś diametralnej zmianie.

Czy zakłada pan, że opozycja poprze przynajmniej niektóre zapisane w Polskim Ładzie rozwiązania?

Z pewnością. Trudno sobie wyobrazić, że ktoś będzie głosował przeciwko przeznaczeniu 7 proc. PKB na służbę zdrowia czy możliwości budowy domów do 70 mkw. bez formalności.

Jasne. Ale mam na myśli kluczową część Polskiego Ładu adresowaną do przedsiębiorców. Czy w tym obszarze jest szansa na ponadpartyjny konsensus?

eprasa.pl 81396aa6f1

Biorąc pod uwagę bardzo populistyczny kurs każdej z formacji tworzących opozycję, można zakładać, że będzie trudno. Proszę zwrócić uwagę, że opozycja zawsze popiera każdy postulat dotyczący zwiększenia wynagrodzeń – niezależnie od sytuacji gospodarczej. Każdy postulat dotyczący zwiększenia nakładów na służbę zdrowia oczywiście też popierają, zwiększenia pieniędzy na drogi – są za. Przeciw są tylko wtedy, kiedy trzeba te wszystkie wydatki sfinansować. Propozycja zwiększenia nakładów na służbę zdrowia do poziomu 7 proc. PKB jest przecież powiązana z tym, żeby wszyscy zapłacili składkę zdrowotną na poziomie liniowym. To nie jest propozycja, żeby przedsiębiorcy, ludzie zamożni czy obdarzeni większą inicjatywą płacili więcej. To nieprawda. Wszyscy mają płacić tyle samo, procentowo od swoich dochodów. Myślę, że to powinno spodobać się nawet liberałom. Tymczasem to rozwiązanie wywołuje sprzeciw, bo dotąd wszyscy prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą płacili składkę zdrowotną w wysokości 381 zł – obojętnie, czy mieli dochód 3, 5 czy 100 tys. zł. A finalnie odpisywali sobie tę składkę od podatku i płacili 50 zł. Teraz to zmieniamy. Wszyscy mają zapłacić składkę proporcjonalnie do dochodów. To warunek konieczny, jeżeli chcemy mieć służbę zdrowia na wyższym poziomie. Tymczasem słyszymy, że rząd próbuje znów kogoś okraść. To absurd.

Chce pan przekonać Polaków, że to nie kolejny skok na ich kasę?

To są twierdzenia całkowicie niegodziwe! Rozumiem, że ktoś może się z naszą propozycją podwyższenia nakładów na służbę zdrowia do 7 proc. PKB nie zgadzać. Tylko niech wtedy uczciwie powie: zapłaćmy wszyscy niższą składkę i zmniejszmy wydatki na służbę zdrowia. Ale do takiego planu nikt się nie przyzna. Więcej – nasi oponenci mówią, że najlepiej podnieść wydatki na służbę zdrowia nawet do 8 czy 9 proc. PKB, ale już nie mówią, kto ma za to zapłacić. Dlatego z tego miejsca pytam: Z czego mamy finansować lepszą ochronę zdrowia? Trzeba odwagi, żeby przeprowadzić taki pomysł jak nasz. Polski Ład nie jest żadnym skokiem na kasę. Tylko w wyniku zmiany klina podatkowego w kieszeniach Polaków zostanie 8 mld zł.

Jeśli Polski Ład nie przejdzie w postaci, którą forsuje Prawo i Sprawiedliwość, będzie to oznaczać przedterminowe wybory?

Nie czas na takie analizy. Dla mnie jest jasne, że jeśli rząd nie potrafiłby znaleźć większości parlamentarnej dla swych sztandarowych projektów, to trwanie przy władzy dla samego trwania nie ma większego sensu. Wybory byłyby wówczas jakimś rozwiązaniem. Ale powtórzę: ostatnie posiedzenie Sejmu pokazało, że jest zupełnie inaczej. Mamy konkretny plan i będziemy go realizować. Nie mają sensu dywagacje, czy Paweł Kukiz jest lepszym koalicjantem niż Jarosław Gowin. Jeśli mówimy o Pawle Kukizie, to sprostujmy kłamstwa wielu polityków i mediów: w trakcie ostatniego posiedzenia Sejmu nikt go do niczego nie zmuszał, nie złamał, nie przekupił. Przecież Kukiz podpisał z prezesem Kaczyńskim dwa miesiące temu w świetle kamer umowę programową, wokół której przez ostatnie pół roku toczyły się intensywne rozmowy. Kukizowi nie zależy na posadach i ministerstwach, tylko na jego pakiecie ustaw, z których część jest już procedowana w Sejmie. Kukiz zgłaszał poprawki do ustawy medialnej, chciał jej przyjęcia. Taka jest prawda.

Sprostujmy kłamstwa wielu polityków i mediów o Pawle Kukizie. W trakcie ostatniego posiedzenia Sejmu nikt go do niczego nie zmuszał, nie złamał, nie przekupił

Jak skomentowałby pan głosy pojawiające się w przestrzeni publicznej, według których PiS stracił społeczny słuch, który pozwolił prawicy postawić trafną diagnozę sytuacji w kraju i zwyciężyć przede wszystkim w wyborach 2015 r.?

Proszę podać jakiś przykład utraty owego słuchu społecznego przez PiS?

Proszę bardzo. Jarosław Kaczyński w niedawnym wywiadzie dla PAP zapowiedział możliwość wprowadzenia restrykcji wobec osób niezaszczepionych. Ta sprawa budzi ogromne kontrowersje społeczne. Pomijając już kwestie fundamentalne, z badań opinii publicznej wynika, że większość Polaków sprzeciwia się segregacji sanitarnej.

Premier nie mówił o restrykcjach dla niezaszczepionych. Mówił, że jeśli czwarta fala pandemii wymusi wprowadzenie obostrzeń, to część z nich być może nie obejmie osób zaszczepionych. Zachęcał do szczepień. Musimy sobie jednak postawić pytanie: Czy rząd w każdej sprawie powinien kierować się badaniami opinii publicznej? Był taki rząd. Był taki premier. Nazywał się Donald Tusk. Był to gabinet PO-PSL. Jego rząd przynajmniej przez pierwszych sześć lat kierował się tylko sondażami. Ja nie chciałbym znów takiego rządu. Gdybyśmy w każdej sprawie kierowali się sondażami, pewnie do dziś nie mielibyśmy wybranego prezydenta. Polacy mówili w sondażach, że wybory nie powinny się odbyć, że powinny być przełożone. Gdybyśmy się kierowali badaniami opinii publicznej, to pewnie nie wprowadzono by wielu działań w trakcie pandemii, które jednak ochroniły, jak sądzę, zdrowie i życie wielu Polaków i miliony miejsc pracy. Gdybyśmy kierowali się sondażami, to pomoc dla przedsiębiorców wyglądałaby zupełnie inaczej. Dużo gorzej. To model, który zaproponował premier Morawiecki, okazał się bardziej skuteczny niż bezwładny koncert życzeń ze strony opozycji. Odrzuciłbym taką logikę sondażową. Rząd musi czasem podejmować trudne decyzje, niekiedy bardzo niepopularne, jeśli kieruje się racją stanu. Jak mawiał Ronald Reagan, ci, którzy są u władzy, powinni myśleć o przyszłych pokoleniach, a nie tylko o przyszłych wyborach. Bo na dłuższą metę jest to droga, która prowadzi do klęski.

Czy zgoda na ultimatum unijnego Trybunału Sprawiedliwości w postaci likwidacji Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego to taktyczny wybieg, żeby nie stracić pieniędzy z unijnych funduszy? Czy symptom bardziej elastycznej polityki wobec unijnych instytucji, z którymi mamy ciągle na pieńku?

Po pierwsze, nie akceptujemy stanu, żeby TSUE w pozatraktatowy sposób przywłaszczał sobie kompetencje. Nie zgadzamy się na taki sposób działania instytucji europejskich. Bezsporne jest, że organizacja wymiaru sprawiedliwości leży w gestii państw narodowych. Polska konstytucja stanowi jasno w sprawie organizacji i pracy sądów. Druga kwestia jest taka, że mówimy Polakom konsekwentnie od kampanii wyborczej w 2019 r., że reforma wymiaru sprawie-

eprasa.pl 81396aa6f1

dliwości jest niedokończona i że planujemy dalsze zmiany w tym obszarze. To będzie się działo. Akurat okres pandemii, przyzna pan, nie był najlepszym czasem, żeby wprowadzać daleko idące zmiany w sądownictwie. Z oczywistych powodów nie był to główny problem ani główne zadanie.

Czy przyjęcie wyroku TSUE w sprawie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego nie rozzuchwali unijnych instytucji do dalszego ograniczania naszej suwerenności?

My dość konsekwentnie punktujemy TSUE i w ogóle unijne instytucje, które wykraczają poza swoje kompetencje. Nasze działania nie są podejmowane pod dyktando Unii Europejskiej, TSUE czy jakiegokolwiek innego organu Unii. Nie idziemy jednak na kurs kolizyjny. Uważam, że retoryka antyunijna jest generalnie niepoważna. Nie jesteśmy piątą gospodarką świata, jak Wielka Brytania. Mamy zupełnie inną sytuację. Inne położenie geopolityczne.

Czy ważnym testem realnej polskiej suwerenności nie będą rozstrzygnięcia w sprawach dotyczących nowelizacji ustawy medialnej, zwanej „lex TVN", i podpisanej przez prezydenta noweli Kodeksu postępowania administracyjnego? W pierwszej naciska na nas amerykańska administracja broniąca interesów koncernu Discovery – właściciela TVN. W drugiej mamy do czynienia z agresywną wobec Polski kampanią ze strony Izraela. Tamtejszych polityków i niektóre organizacje diaspory żydowskiej rozjuszył fakt, że Polska nie chce płacić odszkodowań z tytułu tzw. bezspadkowego mienia żydowskiego.

Nasi partnerzy muszą sobie uświadomić, a część polskiej klasy politycznej musi do tego dojrzeć, że Polska nie jest niczyją kolonią. To nie jest tak, że jakiś zagraniczny koncern znajdzie sojuszników w osobie niektórych posłów i w związku z tym mamy upadać na kolana i rezygnować ze zmian, które chcemy wprowadzać. Zmiany, które wprowadzamy w ustawie medialnej, bardzo mocno opierają się na rozwiązaniach austriackich. Są to zapisy bardziej liberalne niż te, które obowiązują w Niemczech czy we Francji. Czy słyszał pan, że w związku z tym Niemcy miały zamrażane stosunki polityczne ze Stanami Zjednoczonymi w ostatnim czasie? Wręcz przeciwnie. Unia Europejska chroni swój rynek. Nie ma powodu, żeby Polska zachowywała się tutaj inaczej od pozostałych dużych państw Wspólnoty.

Z kolei co do relacji z Izraelem, to ostatnie wypowiedzi szefa MSZ tego kraju są skandaliczne. Posługuje się kłamstwem i tym samym szarga pamięć o ofiarach Holokaustu. Ewidentnie przelicytował, co pokazują nagłówki izraelskich gazet, a także brak reakcji ze strony USA, o którą zabiegał. Izrael jest dla naszego obozu ważnym partnerem politycznym i podchodzimy do niego z szacunkiem. Jednak nasze prawodawstwo nie było i nie będzie pisane pod dyktando innego państwa. W ciągu minionych 30 lat część państw przyzwyczaiła się do tego, że wystarczyło wystąpić z jakimś mocnym przekazem, a w Polsce wywoływało to niewspółmierny do rangi sprawy wstrząs, a finalnie my, potulnie przepraszając, wycofywaliśmy się na pozycje, które nam wskazywano z zewnątrz. To się zmieniło. Nie pozwolimy sobie na podobne rzeczy. Będziemy walczyć o interesy Polski, naszych rodaków i to jest dla nas na pierwszym miejscu, a nie dobre samopoczucie polityka z takiego czy innego państwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PRENUMERATA

PRENUMERATA ROCZNA
TYGODNIKA „DO RZECZY"
W PREZENCIE KSIĄŻKA
GRZEGORZ JASIŃSKI
„POWSTANIE WARSZAWSKIE. NAJWAŻNIEJSZE FOTOGRAFIE"

Cena: 313 zł
Oszczędność: 403 zł

+ e-wydanie

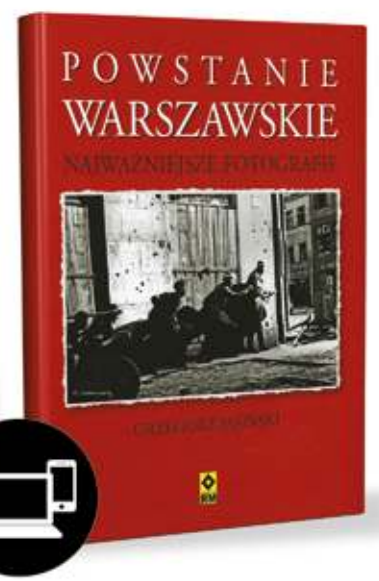

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664 TELEFON: 539 953 631 INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 81396aa6f1

Michał Kołodziejczak karierę polityczną zaczyna od protestów przeciwko władzy i blokad dróg

FOT. GRZEGORZ MICHAŁOWSKI/PAP

Być jak Lepper

Kamila Baranowska

Agrounia rejestruje się jako partia, a jej lider nie kryje politycznych ambicji. Ma szansę na sukces, bo PiS, który cieszył się zaufaniem rolników, mocno ich do siebie zniechęcił

Nie można ukryć, że reprezentujemy dużo szerszą część społeczeństwa niż tylko rolników. Czujemy się spadkobiercami ruchów ludowych i solidarnościowych – powiedział Michał Kołodziejczak, potwierdzając, że niedawno złożył wniosek o rejestrację Agrounii jako partii politycznej.

Dotychczas Agrounia funkcjonowała głównie jako ruch rolniczy, który w zamyśle miał jednoczyć rolników różnych branż, by ułatwić im walkę o swoje interesy i umożliwić wspólne działania. Sam Kołodziejczak, młody rolnik spod Błaszek w powiecie sieradzkim, otwarcie nawiązuje do Andrzeja Leppera i jego wzorem karierę polityczną zaczyna od protestów przeciwko władzy i blokad dróg. – Andrzej Lepper okazał się prorokiem tego, co w Polsce będzie się działo – ocenił. Dzisiaj to, co widzimy – drożyzna, brak mieszkań, ciężka praca, która niestety nie równa się godnej wypłacie, i ciągle ta sama banda złodziei przy korycie, która od tamtego czasu się nie zmieniła. Lepper dokładnie o tym wszystkim mówił, robił to w sposób bardzo skuteczny, który dzisiaj bardzo mocno doceniamy – mówi Kołodziejczak. – Rozpętamy w Polsce piekło – zapowiadał w lipcu przed KPRM. – Premier jeździ po całej Polsce i opowiada, jak jest dobrze, a będzie lepiej. Jeszcze nie było człowieka, który by swoją pracą między ludźmi tak ich zdenerwował […]. Wkurza rolników, jak mówi, że mają pieniądze. To jest kłamstwo i szyderstwo – punktował.

SIŁA ZE SŁABOŚCI

W jednym Kołodziejczak ma rację – PiS nagrabił sobie u rolników dość mocno. Wszystko zaczęło się od „piątki dla zwierząt", czyli programu zaprezentowanego jesienią ubiegłego roku, który w zamyśle miał zapewnić PiS sympatię młodych wyborców. Pomysł całym sercem wsparł Jarosław Kaczyński, wyczulony na kwestie praw zwierząt. Wśród pięciu punktów znalazły się m.in. zakaz hodowli zwierząt futerkowych i ograniczenie uboju rytualnego. I choć organizacje rolnicze od początku biły na alarm, że „piątka" uderza w ich interesy, to PiS parł do uchwalenia ustawy. Z perspektywy czasu można ocenić, że cała tamta operacja okazała się jedną wielką porażką rządzących. Ustawy ostatecznie i tak nie uchwalono, a straty polityczno-wizerunkowe, które PiS wówczas poniósł, będą odczuwalne jeszcze długo. Jedną z nich była dymisja ministra rolnictwa Jana Krzysztofa Ardanowskiego, który otwarcie sprzeciwiał się „piątce" i który był przez rolników traktowany jak „swój człowiek". W przeciwieństwie do jego następcy – Grzegorza Pudy, na którym rolnicy nie zostawiają suchej nitki.

– Siłą Kołodziejczaka jest obecnie słabość PiS w każdym wymiarze na wsi. „Piątka" jest pewną cezurą czasową, kiedy rolnicy przestali ufać PiS. Wcześniej dało się to jakoś kamuflować. Kiedyś jak PiS coś obiecał, to rolnicy przyjmowali to jako pewnik. Zaufanie, które budowaliśmy latami, zostało roztrwonione bardzo szybko – słyszymy od rolnika i działacza PiS.

Podobnych głosów w samym PiS można usłyszeć więcej. Otwarcie i pod nazwiskiem o „erozji zaufania polskiej wsi do PiS" mówi Jan Krzysztof Ardanowski, dziś szef prezydenckiej Rady ds. Wsi i Rolnictwa. – Rolnicy są przerażeni, czują się zdradzeni tym, że partia, którą masowo poparli, tak bardzo dziś nie rozumie rolnictwa i popiera inicjatywy, które w rolnictwo uderzają – mówi. – Zadrą, która mocno uderzyła w wiarygodność

eprasa.pl 81396aa6f1

PiS na wsi, była skandalicznie zła „piątka dla zwierząt" – przyznaje. Wylicza także wiele obiecanych i niezrealizowanych postulatów wobec rolników, takich jak stworzenie holdingu spożywczego, ustawę o gospodarce wodnej, ustawę o ubezpieczeniu upraw i zwierząt, uruchomienie państwowego nabrzeża w Gdyni, by złamać monopol kilku firm rządzących na rynku eksportu zboża itd. Do tego, jak wytyka, dochodzą pretensje o zbyt mało radykalną reakcję przeciwko planowanym przez Brukselę projektom typu Zielony Ład czy „Fit for 55", które mocno uderzą w polskie rolnictwo. Komisja Europejska przymierza się też do wprowadzenia zakazu chowu klatkowego zwierząt, co zmroziło nie tylko branżę drobiarską, lecz także parę innych.

– Jeśli damy sobie wmówić, że rolnicy odpowiadają za całe zło, i będziemy, jak chce Unia, ograniczać produkcję żywności, wprowadzać w życie różne zakazy i nakazy, to będzie to gwóźdź do trumny polskiego rolnictwa – wskazuje Ardanowski. – Unia podchodzi do kwestii ekologicznych i do kwestii praw zwierząt mocno ideologicznie, robiąc z tego swoją nową religię. Polscy rolnicy oczekują, że polskie władze zdecydowanie i twardo postawią tamę tego typu pomysłom. A tak się niestety nie dzieje – złości się Ardanowski.

DUŻE EGO, MAŁA CHARYZMA

Co do samego Kołodziejczaka można usłyszeć, że to człowiek bez większej charyzmy, ale ze sporym ego i ambicjami, które popychają go do działania. Z drugiej strony, że przez ostatnie dwa lata odrobił lekcje – dużo się nauczył, protesty są lepiej zorganizowane, on sam bardziej wygadany i bardziej wiarygodnie wypadający w mediach. – Znam Michała, zapraszałem go nawet do ministerstwa na rozmowy, gdzie przedstawiałem mu złożone spektrum czynników, które trzeba brać pod uwagę, prowadząc politykę rolną, takich jak polityka europejska, możliwości budżetowe, kwestie polityczne, dominujące przekazy organizacji ekologicznych. Zapamiętałem jednak Agrounię jako tych, którzy nie chcieli z nikim współpracować, chcieli być jedynym głosem środowiska, który stawia żądania pod groźbą blokad i protestów, a do tego jeszcze obraża wyzwiskami. Niestety, dziś jego słowa padają na podatny grunt, bo jeśli rolnicy czują się zostawieni sami sobie, to co się dziwić, że zwłaszcza ci młodsi mogą mu uwierzyć – mówi Ardanowski. Jego zdaniem Kołodziejczak nie będzie drugim Lepperem. – Z Andrzejem Lepperem można było o problemach rolnictwa poważnie rozmawiać. Rozumiał je i rozumiał, że nie zawsze wszystko da się szybko załatwić, że czasem trzeba odpuścić. Rozumiał politykę – wskazuje Ardanowski, który współpracował z Lepperem, gdy ten był ministrem.

Czy Michał Kołodziejczak politykę rozumie? Na pewno lepiej niż dwa lata temu, gdy zaczynał swoją działalność, i to przyznają wszyscy, którzy go obserwują. W PiS pojawiły się plotki, że dogaduje się z Konfederacją i tam upatruje swoich wyborczych szans. Choć trudno sobie wyobrazić bardziej odległe politycznie byty niż ruch rolniczy, który oczekuje opieki państwa i domaga się jego interwencji, oraz partię wolnościową, która uważa, że najlepiej, gdyby rynek regulował wszystko sam, bez pomocy państwa. – Ale skoro Platforma, partia liberalna, mogła rządzić z PSL? – odbijają piłeczkę nasi rozmówcy.

Profesor Rafał Chwedoruk, politolog z UW, jest sceptyczny wobec planów Kołodziejczaka o powołaniu własnej formacji, bo uważa, że zwyczajnie na nową partię nie ma w tej chwili na scenie politycznej miejsca. – Droga Samoobrony jako autentycznego ruchu protestu była bardzo długa i przede wszystkim Samoobrona dojrzewała w innych warunkach społecznych, bardziej jej sprzyjających. Dziś pozostawanie reprezentantem niszowej grupy zawodowej, bo rolnicy to niszowa grupa, a z czasem będzie ich jeszcze mniej, utrudnia wejście do polityki. W starciu z innymi partiami, które odwołują się do szerokiego spektrum wyborców, taki projekt jest bez szans – uważa prof. Chwedoruk. Wskazuje też, że coraz bardziej zaciera się granica tradycyjnego podziału między miastem i wsią, z którego latami korzystały PSL, a także Samoobrona i jeszcze ostatnio PiS. Zdaniem eksperta o wiele bardziej prawdopodobnym scenariuszem jest negocjowanie przez Kołodziejczaka miejsc na listach innej partii dla siebie i kilku swoich ludzi, co zapewni im mandaty wyborcze. Żeby jednak tak się stało, Kołodziejczak musi popracować nad popularnością, a może to zrobić w jeden sposób – organizować coraz głośniejsze i bardziej medialne akcje.

Część polityków PiS w nieoficjalnych rozmowach przekonuje, że rolnicy są i tak na PiS skazani, bo do wyboru mają powrót Platformy i PSL, a tamte rządy wspominają źle. Poza tym rolnicy to nie jest jednorodna grupa i ci, którzy dziś PiS najmocniej krytykują, nie są reprezentatywni, bo część rolników pamięta, co zrobił dla wsi PiS, a co zrobili inni, i to porównanie wypada dla PiS korzystnie.

Jak wskazuje prof. Chwedoruk, jeśli idzie o wieś, to największym zagrożeniem dla PiS nie są Agrounia i Kołodziejczak, lecz to, że rolnicy mogą po prostu nie pójść na wybory. – Zwłaszcza to starsze pokolenie wyborców, jeśli reaguje na coś alergicznie, to najczęściej odpowiada na to absencją wyborczą – mówi. Ich absencja może mieć znaczenie, biorąc pod uwagę fakt, że w ostatnich wyborach parlamentarnych na PiS głosowało ponad 70 proc. rolników, a na Andrzeja Dudę w wyborach prezydenckich oddało głos ponad 81 proc. rolników.

NIE JEST ZA PÓŹNO

Co dziś PiS może zrobić, by odzyskać sympatię rolników i by odciąć polityczne paliwo Agrounii? Lista oczekiwań jest długa, jej pierwszy punkt to wymiana kierownictwa resortu rolnictwa z ministrem na czele. O tym, jak bardzo rolnicy nie akceptują obecnego ministra, może świadczyć fakt, że – jak opowiadał nam jeden z działaczy PiS – kiedy pojawił się pomysł, by premier Morawiecki i minister Puda odwiedzili jedno z gospodarstw w Warmińsko-Mazurskiem, trudno było znaleźć rolnika, który chciałby ich u siebie gościć, właśnie ze względu na osobę ministra. Gdy to się udało, to i tak wszystko skończyło się wpadką, gdy okazało się, że chwalone przez premiera maszyny rolnicze, ustawione wokół gospodarstwa, nie należały do rolnika, którego odwiedzał, lecz zostały wypożyczone z zewnętrznych firm. Poinformował o tym… Kołodziejczak, który był na miejscu, ale na spotkanie z premierem nie został wpuszczony. – Ci ludzie oszukują i manipulują, jak tylko mogą – grzmiał później na filmiku umieszczonym w Internecie.

– Nie mam wątpliwości, że protesty będą budować popularność Agrounii. Dla PiS jeszcze nie jest za późno, by wyjść, uderzyć się w pierś, przyznać do błędu i nakreślić sensowny plan wsparcia polskiego rolnictwa. Najbliższe miesiące po żniwach będą decydujące i dobrze byłoby się pospieszyć – uważa Jan Krzysztof Ardanowski.

Zwłaszcza że Michał Kołodziejczak i Agrounia nie zamierzają marnować czasu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 81396aa6f1

Karol Gac

Tsunami hejtu

„Sprzedawczyk", „zdrajca", „kanalia", „szmata" – to tylko łagodniejsza część wyzwisk, które spadły na Pawła Kukiza po głosowaniu nad nowelizacją tzw. ustawy medialnej. Politycy opozycji, którzy na co dzień załamują ręce nad mową nienawiści, kolejny już raz dali upust swojej frustracji

Trwa festiwal hejtu pod adresem Pawła Kukiza i jego kolegów z Kukiz'15. Powód? Politycy odważyli się mieć poglądy inne niż liberalno-lewicowa opozycja w sprawie nowelizacji ustawy medialnej. Przypomnijmy: 11 sierpnia pod obrady Sejmu trafił projekt nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji. Politycy opozycji złożyli jednak wniosek o przerwę w obradach do września. Nieoczekiwanie, ku zaskoczeniu parlamentarzystów, przeszedł on minimalną większością głosów. Wówczas marszałek Sejmu Elżbieta Witek zarządziła przerwę i zwołała Konwent Seniorów. Równocześnie 30 posłów, wśród których byli Jarosław Sachajko i Paweł Kukiz, złożyło wniosek o reasumpcję głosowania, do czego przychyliła się Elżbieta Witek. Ostatecznie wniosek o przerwę w obradach odrzucono, a chwilę później Sejm przyjął nowelizację ustawy medialnej.

WIADRO POMYJ

Wynik głosowania wywołał polityczną burzę. – Paweł, Paweł Kukiz, jak ty możesz? Za które ministerstwo się sprzedałeś?! – krzyczeli posłowie na sali plenarnej. Do czerwoności rozgrzały się również media społecznościowe, na których politycy opozycji nie przebierali w słowach. „Najstarszy zawód świata #kukiz" – napisał na Twitterze Dariusz Joński z Koalicji Obywatelskiej. „Kukiz. Nie masz już twarzy. Stałeś się sprzedawczykiem, który za kasę sprzeda swoich wyborców! Obrzydliwość" – wtórowała mu klubowa koleżanka Iwona Hartwich. Z kolei Andrzej Rozenek postawił na „wyrafinowaną" grę słów. Poseł Lewicy opublikował tweet, który składał się z pięciu słów, a pierwsze litery wyrazów układają się w słowo „KUKIZ". „Kanalia Upadły Kolaborant Ignorant Zdrajca" – napisał. Jeszcze dalej poszedł europoseł PO Radosław Sikorski, który na antenie TVN24 stwierdził, że „Paweł Kukiz jest albo kompletnym durniem, który nie rozumie, co się dzieje, albo sprzedajną szmatą". Te skandaliczne słowa nie spotkały się jednak z żadną reakcją prowadzącej wywiad Moniki Olejnik. Mało?

Dzień po głosowaniu Platforma Obywatelska opublikowała specjalny spot, w którym zaprezentowano głosy wyborców oburzonych działaniami Pawła Kukiza. To, co szokuje, to fakt, że w klipie wykorzystano wulgarne wypowiedzi. „Po prostu skur…yństwo", „Robienie nas w ch.ja tak zwanego", „Sprzedajna ku.wa, no i tyle" – można było usłyszeć w materiale, który PO okrasiła komentarzem... „Posłuchajcie Polek i Polaków".

Jarosław Sachajko w rozmowie z „Do Rzeczy" przyznaje, że po głosowaniu nad nowelizacją ustawy medialnej wylało się na niego „tsunami hejtu". – Miałem już kilka ataków na siebie. Pierwszy wyszedł z tzw. organizacji prozwierzęcych, a drugi dotyczył zakazu aborcji, ale to, co jest teraz, przechodzi ludzkie pojęcie – opisuje. Jednocześnie poseł Kukiz'15 ocenia, że winę za hejt ponosi część polityków opozycji i dziennikarzy. – To problem elity, której niestety nie mamy. Takie osoby powinny udać się do innej pracy, a nie mieszać Polakom w głowach […]. One uznają demokrację tylko wtedy, gdy jest tak, jak chcą. Nikt inny nie może mieć poglądów – stwierdza.

TRZY GROSZE ARTYSTÓW

Głos zabrali również artyści znani ze swoich sympatii politycznych. Ci także nie szczędzili ostrych słów Pawłowi Kukizowi i nie unikali obelg. „Bycie politykiem to nie jest wstyd. To też nie grzech! Ale bycie zdrajcą – to hańba!" – napisał w mediach społecznościowych Robert Janowski. W podobnym tonie napisała aktorka Dorota Naruszewicz. „Mam na-

eprasa.pl 81396aa6f1

FOT. TOMASZ PACZOS/FOTONOVA

dzieję, że będzie tak długo zapamiętany, że każdy następny potencjalny sprzedawczyk i zdrajca będzie wiedział, co go czeka, gdy np. niespodziewanie pomylą mu się przyciski podczas głosowania. Nie żal mi p. Kukiza. Niech cieszy się, że to nie czasy średniowieczne, bo wtedy za zdradę groziło łamanie kołem, ćwiartowanie, wbijanie na pal, palenie na stosie, rozrywanie końmi" – czytamy na jej Instagramie. To oczywiście niejedyne głosy. „Wstydzę się każdego dnia, kiedy przyszło mi podać ci rękę, ty gnoju" – napisał Janusz Panasewicz. Z kolei Arkadiusz Jakubik, aktor, ale i muzyk, wyraził nadzieję, że Paweł Kukiz sam, bez towarzystwa z branży muzycznej, nie wejdzie już na scenę. „Myślę, że po tym, co zrobił, to jajka i śmierdzące pomidory poleciałyby na scenę" – ocenił w TVN24. O spalonych mostach mówił za to Maciej Maleńczuk. „To przecież nie są aż takie pieniądze, żeby siedzieć w tym Sejmie i zastanawiać się, komu by tu jeszcze dać" – dywagował w TOK FM. „Serio dzisiaj dopiero się dowiedzieliście, że Kukiz jest idiotą?" – pytał pisarz Szczepan Twardoch.

Nie ma się jednak co temu dziwić. Większość z tych artystów to prawdziwi buntownicy. Tyle że spod znaku TVN.

OD SŁÓW DO CZYNÓW

Paweł Kukiz odniósł się do oskarżeń pod swoim adresem w jednym z emocjonalnych wpisów na Facebooku, w którym stanowczo zaprzeczył, jakoby miał zostać „kupiony". „Przymykam oczy na wiele obelg, jakimi mnie obrzucono... Bo wiem, po co idę, i od początku wiedziałem, że będzie to bardzo ciężka droga, ale gotów jestem znieść wszystko, każde poniżenie, by dojść do celu, jakim jest zmiana ustroju i wyjście z postkomunistycznego, neokolonialnego systemu Polski […]. Jest mi niezmiernie przykro, że ludzie uwierzyli propagandzie mainstreamu i »elitom«, dla których pieniądz jest sensem życia" – napisał.

Lider Kukiz'15 rozwścieczył opozycję jeszcze z jednego powodu – wytknięciem hipokryzji oraz przywołaniem Pawła Adamowicza. „Przebili kilkakrotnie to, co się stało z prezydentem Gdańska, a to są ci sami, którzy po jego śmierci płakali i sprzeciwiali się mowie nienawiści. To te same media tzw. wolne, które kontestowały język debaty publicznej, podgrzewają ten hejt" – powiedział Polskiej Agencji Prasowej. To nie spodobało się Magdalenie Adamowicz, która odpowiedziała na to na Twitterze. „Panie Kukiz, niech pan nie wyciera sobie gęby moim mężem, bo stoi pan teraz tam, gdzie stali i stoją inspiratorzy jego morderstwa" – napisała. Posłanka PO dodała: „Ale mimo to z całego serca PROSZĘ WSZYSTKICH: DOŚĆ! Siły zbierajmy na walkę o Polskę, nie traćmy ich na hejt".

Na hipokryzję salonu liberalnego zwraca też uwagę Jarosław Sachajko. – Mieliśmy już morderstwo polityczne. Później ci ludzie płaczą, udają wzburzenie i znowu jest nagonka […]. Wszyscy mówią o wolnych mediach, ale jakie one są wolne? TVN usadowił się po jednej stronie sceny politycznej. To przekaz pod jedną tezę – im gorzej, tym lepiej. To robienie polityki na najniższych emocjach. Nieważne, że to jest nieprawda, ale ważne, że się o tym mówi. Cały czas mogą wlewać hejt w umysły Polaków – mówi nam poseł Kukiz'15.

Jak niewiele w tych ocenach przesady, świadczyć może podejście opozycji do tego, co spotkało Dobromira Sośnierza. Poseł Konfederacji został zaatakowany przez grupę przeciwników rządu, która go wyzywała i szarpała. Co na to politycy opozycji? „Do posła Sośnierza przemówił Naród" – napisała na Twitterze Marzena Okła-Drewnowicz z PO, która po fali krytyki skasowała swój wpis. Jej koledzy nie zdobyli się jednak na potępienie napastników. Wręcz przeciwnie, raczej można było zauważyć u nich relatywizację tego, co miało miejsce.

Hejt, który spadł na Pawła Kukiza i jego kolegów, przekroczył wszelkie granice. Patrząc jednak czysto politycznie, to opozycja takim zachowaniem sama sobie wyrządza krzywdę. Rozumie to lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, który przyznał w Onecie, że nie dołączy do osób krytykujących Pawła Kukiza, bo wie, jak ważne są jego głosy w parlamencie. – Opozycji, która chce cokolwiek zmienić i wygrać kolejne głosowania, radziłbym więcej powściągliwości wobec polityków koła Pawła Kukiza. Raczej trzeba ich przekonywać, niż z nich kpić – mówił. Cóż, na razie to wołanie na puszczy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 81396aa6f1

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI/FORUM

Biskup pośrodku nagonki

Krystian Kratiuk

Zmarły niedawno ks. abp Henryk Hoser przyjął na siebie rolę polemisty ze współczesnym światem. A tym samym rolę obrońcy Polski przed antychrześcijańską rewolucją. Przez lata płacił za to wysoką cenę

Były ordynariusz warszawsko-praski był również jednym z tych polskich biskupów, którzy stanęli na drodze progresywnej rewolucji w Kościele.

Kiedy papież zwołał w październiku 2015 r. synod biskupów ds. rodziny, kościelni postępowcy zacierali ręce. Oczami duszy widzieli już Kościół przeflancowany na modłę protestanckich wspólnot, w których w pojęciu rodziny mieści się też para mieszkających ze sobą homoseksualistów, a rozwód uważa się za sprawę równie naturalną jak zawarcie drugiego, trzeciego i kolejnego małżeństwa.

Chociaż już po synodzie papież opublikował wzbudzającą rozliczne polemiki adhortację „Amoris laetitia", to nie znalazł się w niej wprost ani postulat rozgrzeszania i udzielania Komunii Świętej rozwodnikom żyjącym w nowych związkach, ani błogosławieństwa par homoseksualnych. Stało się to w dużej mierze dzięki reprezentującym polski Kościół biskupom Gądeckiemu, Wątrobie i Hoserowi właśnie. To ta trójka, używając argumentów ze świata wiary i rozumu, niestrudzenie broniąc nauczania Jana Pawła II, potrafiła przekonać część biskupów, którzy zablokowali plany niechrześcijańskich zmian. W rozmowach z kapłanami i obserwatorami z innych krajów Europy i Afryki, które toczyłem wówczas jako wysłannik PCH24.pl w Rzymie, wynikało jasno – jeśli polscy biskupi pękną, to pęknie cały konserwatywny blok pozostający na tym synodzie w mniejszości. Nie pękli.

Przyczyniła się do tego twarda postawa abp. Henryka Hosera. Jeszcze przed synodem mówił w kontekście popierania rozwodów przez kapłanów: „Kościół w praktyce duszpasterskiej zdradził Jana Pawła II". W trakcie obrad synodu recenzował biskupów z Zachodu następującymi słowami: „Z przykrością muszę stwierdzić, że nauczanie św. Jana Pawła II na temat małżeństwa i rodziny nie jest znane wielu ojcom synodu. Jest to niestety już w tej chwili biała plama w naszej kościelnej świadomości. W samym tekście dokumentu roboczego synodu znajdujemy bardzo mało odnośników do nauczania papieża. Przypomnijmy fundamentalne dla nauczania Kościoła o małżeństwie dokumenty, jak adhortacja apostolska »Familiaris consortio« czy »List do rodzin«. Nie można owocnie i skutecznie prowadzić kolejnego synodu o rodzinie bez znajomości choćby tych dwóch tekstów".

KATOLICKA BIOETYKA KONTRA ŚWIAT

Polscy biskupi nieprzypadkowo zdecydowali, że na synodzie ds. rodziny reprezentować ich będzie, obok przewodniczącego Konferencji Episkopatu abp. Stanisława Gądeckiego oraz przewodniczącego Rady ds. Rodziny KEP bp. Jana Wątroby, właśnie abp Hoser. Już wcześniej wszak Polacy poznali tego duchownego jako obrońcę tradycyjnego nauczania moralnego Kościoła.

Były metropolita warszawsko-praski – szczególnie w latach pełnienia funkcji przewodniczącego Zespołu Ekspertów ds. Bioetycznych KEP – zachęcał polskich katolików do przeciwstawienia się antychrześcijańskim rozwiązaniom prawnym proponowanym przez nadwiślańskich polityków. To właśnie pod przewodnictwem abp. Hosera gremium to reagowało na wszystkie najważniejsze zagadnienia dotyczące prawnych i etycznych zagadnień w służbie zdrowia, jakie pojawiły się w polskiej debacie publicznej. W swoich oświadczeniach Zespół wystosowywał zawsze głęboko udokumentowane wskazania na temat tego, jak Kościół w Polsce ustosunkowuje się do takich kwestii jak zapłodnienie

eprasa.pl 81396aa6f1

in vitro, aborcja, transplantacje organów, eutanazja, szczepienia, ochrona genomu ludzkiego czy klauzula sumienia lekarzy.

Powodowało to furię zarówno polityków rządzącej wówczas Platformy Obywatelskiej, jak i jej medialnych klakierów, dążących do zaprowadzenia w Polsce rewolucji obyczajowej na modłę zachodnią.

Jednym z najgłośniejszych momentów polemiki arcybiskupa z antychrześcijańską publicznością było opublikowanie w kwietniu 2013 r. dokumentu apelującego o ochronę życia. Najgorszym przewinieniem hierarchy – oczywiście według wszelkiej maści postępowców – było podkreślenie istoty zagrożeń dla życia ludzkiego w fazie prenatalnej. Arcybiskupa zapamiętano jako tego, który już w 2010 r. kategorycznie i odważnie zapowiedział, że posłowie, którzy świadomie poprą ustawę dopuszczającą metodę in vitro, mrożenie i selekcję zarodków, „automatycznie będą poza wspólnotą Kościoła".

Media atakowały biskupa i na siłę szukały „specjalistów" mogących dyskutować z założeniami dokumentu przyjętego przez episkopat. Pojawił się jednak problem – na czele kościelnej komisji bioetycznej stał bowiem lekarz. Arcybiskup Hoser był wszak z wykształcenia medykiem – zanim został palotynem, ukończył studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Warszawie, pracował na akademii w Zakładzie Anatomii Prawidłowej na stanowisku asystenta oraz jako lekarz prowadzący oddziału internistycznego.

W związku z tym w ostrych słowach z nauczaniem abp. Hosera dyskutowali głównie ludzie zarabiający na in vitro. Za pośrednictwem lewicowych mediów zarzucano hierarsze kłamstwo, zacofanie, złą wolę.

Arcybiskup Hoser należał to tych lekarzy i hierarchów, którzy ochronę życia traktowali bardzo poważnie, choć przyjął zaskakujące stanowisko wobec obywatelskiego projektu ustawy z roku 2016. Wtedy wraz z kilkoma innymi biskupami dał się przekonać, że słynne już „karanie kobiet" zapisane w ówczesnym projekcie było „nie do przyjęcia". Tamto zdanie biskupów pozwoliło PiS przesunąć decyzję w sprawie zakazu aborcji dopiero na rok 2020.

PRZECIW REWOLUCJI

Arcybiskup Henryk Hoser potrafił przeciwstawić się największej spośród fal rewolucji kulturowej – rewolucji LGBT. Nazywał genderyzm „herezją groźniejszą niż marksizm". Zauważał, że ideologia gender uniemożliwia realizację boskiego planu zbawienia człowieka. Ostro krytykował także jedną z najważniejszych części składowych ideologii gender – feminizm.

Duchowny – już jako biskup emeryt – nie wahał się przypomnieć, że ruchy spod znaku LGBT to „ruchy niszczycielskie, ideologiczne i bardzo groźne w szczególności dla młodzieży, która nie ma jeszcze określonych poglądów dotyczących sensu życia małżeńskiego oraz rodzinnego".

W ostatnich latach, gdy abp Hoser był już na emeryturze, rolę pierwszego głosu sprzeciwu wobec walącej w Polskę zewsząd homorewolucji wziął na siebie metropolita krakowski Marek Jędraszewski. Po porównaniu „tęczowej zarazy" do „czerwonej zarazy" sprzed stu lat został zaatakowany przez posłuszne antychrześcijańskiej rewolucji szczekaczki. Jednym z pierwszych hierarchów, którzy wsparli krakowskiego pasterza, był właśnie abp Hoser.

ATAKOWANY ZA WSZYSTKO

Do obowiązków biskupich należą jednak oczywiście nie tylko wypowiedzi, nawet te najostrzejsze i dotykające najważniejszych tematów życia publicznego. To przede wszystkim współpraca z podległymi pasterzowi kapłanami.

Polscy biskupi w ostatnich latach przyzwyczajali nas do wyciągania konsekwencji jedynie wobec kapłanów o odchyleniu konserwatywnym. Tych karać jest łatwo – media, tak ateistyczne, jak wydawane przez kurie biskupie, często temu przyklaskują. W diecezji zarządzanej przez abp. Hosera posługiwał jednak kapłan niepodejrzewany o konserwatyzm, a mianowicie Wojciech Lemański. Ksiądz udzielał kuriozalnych wypowiedzi medialnych, brylował w mediach „mętnego nurtu", jawnie sprzeciwiając się swojemu zwierzchnikowi. Został przez abp. Hosera wysłany na emeryturę.

W rewanżu Lemański oskarżył arcybiskupa o „niestosowne zachowania" wobec niego. Stało się to w czasie, gdy polskie media coraz częściej informowały o wykorzystaniu seksualnym wśród ludzi kleru, w tym samym roku, w którym na jaw wyszły homoseksualne wyczyny nuncjusza Wesołowskiego na Dominikanie. Lemański, wypowiadając się o abp. Hoserze, przywołał nazwisko kard. O'Briana, posądzanego o molestowanie kleryków. Wiadomość natychmiast rozeszła się po portalach internetowych. Dopiero po kilku godzinach ks. Lemański zaprzeczył, że chodziło o jakikolwiek seksualny podtekst owych „niestosownych zachowań". Dwa dni później wyjaśnił, że miał na myśli rzekomo zadane mu przez zwierzchnika pytanie: „Czy jest obrzezany?". Kuria natychmiast temu zaprzeczyła, ale awantura w mediach, rzecz jasna, nie ustawała tygodniami.

Arcybiskup był jednak przyzwyczajony do pozostawania w centrum medialnej nagonki. Oskarżano go o wszystko, co najgorsze – według „Newsweeka" miał być odpowiedzialny nawet za ludobójstwo w Rwandzie (sic!), wśród którego ofiar znaleźli się również czterej biskupi, 150 kapłanów i 140 zakonnic. Arcybiskup Hoser w czasie, gdy trwała rwandyjska rzeź, nie był nawet obecny w tym kraju…

Jednym z najbardziej kuriozalnych ataków był skoordynowany wystrzał medialnych dział za słowa hierarchy o Cudzie nad Wisłą. Ordynariusz warszawsko-praski podkreślał bowiem, że zwycięstwo nad bolszewikami było wynikiem potrójnego cudu: jedności narodowej, sztuki militarnej i Bożej Opatrzności. Przypomniał też, że w nocy z 14 na 15 sierpnia miał także miejsce cud objawienia się Najświętszej Maryi Panny nad oddziałami Armii Czerwonej. Paweł Wroński w „GW" oraz Tomasz Lis w „Newsweeku" oraz podobni im twórcy antykatolickiego klangoru wyśmiewali arcybiskupa, używając niewybrednej stylistyki rodem z PRL-owskich pisemek partyjnych.

BÓG JEST WIĘKSZY

Arcybiskup Henryk Hoser zmarł 13 sierpnia w Warszawie. Przez cały okres swego posługiwania jako ordynariusz diecezji warszawsko-praskiej zmagał się z furiackimi atakami, jako ten z członków episkopatu, który wziął na siebie zadanie (nieoczywiste dziś nawet dla wielu biskupów) obrony wiary i jej zasad moralnych. Ataki znosił mężnie, poczytując je za honor – zgodnie ze swoją biskupią dewizą: Maior est Deus (Bóg jest większy).

Owo doświadczenie zmarłego pasterza, przez lata pozostającego zwierzyną dla rozochoconych antychrześcijańską nagonką publicystów, pozostaje nauką na najbliższą przyszłość zarówno dla jego braci w biskupstwie, jak i dla świeckich. Pamiętał on bowiem słowa Chrystusa: „Sługa nie jest większy od swego pana. Jeżeli Mnie prześladowali, to i was prześladować będą".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 81396aa6f1

Jarosław i Lech Kaczyńscy w strajkującej stoczni w sierpniu 1988 r. Z tyłu: Krzysztof Wyszkowski

FOT. PIOTR SEMKA

Kolejny fragment książki „Piątka u Semki" (Zysk i S-ka), wywiadu rzeki z Piotrem Semką *przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza*

Bliźniacy w oblężonej stoczni

JAN HLEBOWICZ: Strajki w 1988 roku były dla ciebie ważne z jeszcze jednego powodu. To właśnie wtedy poznałeś dobrze braci Kaczyńskich.

PIOTR SEMKA: W trakcie strajku majowego poznałem wielu fantastycznych ludzi. Wspomnę choćby Wojciecha Giełżyńskiego i Andrzeja Gelberga, którzy ukształtowali mnie jako dziennikarza i publicystę. Pomiędzy majem a sierpniem niejednokrotnie jeździłem do Warszawy, gdzie obaj dziennikarze wprowadzali mnie do świata podziemnej prasy Warszawy oraz środowiska „Przeglądu Wiadomości Agencyjnych". Jednak najtrwalsze piętno, oczywiście w pozytywnym sensie, odcisnęło na mnie spotkanie z braćmi Kaczyńskimi. Podczas Maja '88 w kuchni słynnej stoczniowej stołówki redakcja „Regionówki" tworzyła pismo strajkowe. Pilnowaliśmy, by mogli tu wejść wyłącznie „nasi" ludzie. Przed drzwiami stali zaufani stoczniowcy i odsyłali z kwitkiem wszystkich nieproszonych gości i ciekawskich. Nagle w drzwiach pojawiła się nowa twarz. Już miałem wrzasnąć na ochronę, że znowu wpuścili kogoś z zewnątrz, gdy nieznajomy wąsacz w zielonej kurtce, z palącym się papierosem w dłoni zapytał spokojnie: „Na ile dni macie papieru?". „To Leszek Kaczyński, kieruje wszystkim" – głos Maćka Łopińskiego uprzedził moje pytania. Mimo wszystko byłem rozdrażniony bezceremonialnym stylem faceta, którego nazwisko zapamiętane z oświadczeń TKK „Solidarności" łączyłem dopiero z twarzą ujrzanego intruza. Takie było moje pierwsze spotkanie z Lechem. Bardzo szybko zrozumiałem, jak ważne miejsce u boku Lecha Wałęsy zajmuje ten człowiek z wąsem i papierosem w dłoni, wyglądający trochę jak młody inżynier albo inteligent z miasta.

Wiedziałeś, że ten inteligent z miasta ma brata? I w dodatku bliźniaka...

Jak wszyscy polityczni laicy – musiałem dopiero odkryć, że Kaczyńskich jest dwóch. Ten drugi to Jarosław, który dopiero przyjechał z Warszawy. W porównaniu z Lechem Jarosław był jakiś mniej stylowy, ubierał się w lekko znoszone marynarki i koszule w kratę. Gdy pierwszy raz ujrzałem obu braci razem, wskutek oczywistego impulsu zrobiłem im zdjęcie, trochę na

eprasa.pl 81396aa6f1

zasadzie „o, dwóch takich samych!". Jarek gniewnie prychnął i nieco się wkurzył. Leszek szybko uspokoił brata: „Spokojnie, on jest od nas". Potem Jarek reagował już mniej nerwowo, chociaż długo był dużo bardziej nieufny wobec mnie niż Leszek.

Po tym swoistym falstarcie udało się wam dłużej porozmawiać?

Jacek Kurski, mój towarzysz z podziemnej pracy, jak zwykle bardziej bezczelny ode mnie, natychmiast zaczął nakłaniać Leszka i Jarka do analizowania sytuacji w oblężonej przez ZOMO stoczni. Jacek miał „przody", bo Leszek doskonale znał jego mamę, Annę Kurską, która przed 13 grudnia była w Zarządzie Gdańskiego Regionu Solidarności. Lech był silnie powiązany z opozycyjnym PWA. Kumplował się między innymi z Wojciechem Giełżyńskim. Jarek interesował nas bardziej jako osoba z zewnątrz, warszawiak. Po latach Jacek powie, że jedna rozmowa z Kaczyńskimi dawała mu więcej wiedzy o polityce niż długie wykłady z politologii. Coś w tym było. Analizy geopolityczne snute przez braci były pogłębione, bardzo ciekawe, wciągały. Na ocenę po latach z pewnością ma także wpływ entourage, w jakim toczone były dyskusje z Kaczyńskimi. Wspominam to troszeczkę jak dziwny film. Zasypywaliśmy ich pytaniami o taktykę związku, a scenerię rozmów stanowiły zamarłe puste hale i dźwigi, wyglądające w nocy jak fantastyczne dekoracje filmowe. Leszek ćmił jak lokomotywa, zawsze z zabawnym, wyniosłym gestem podnosił papierosa do ust. Bardziej majestatycznie od niego palił chyba tylko sam Tadeusz Mazowiecki. Za plecami Leszka śmialiśmy się, że od końcówki jednego papierosa zapala drugiego, zupełnie jak nasz ówczesny idol – argentyński trener futbolowy Cesar Louis Menotti.

Kaczyńskich irytowały pytania „młodych"?

Chyba nie, bo udawało nam się namawiać ich na dłuższe dysputy. Obaj bracia tłumaczyli nam cierpliwie, jak głęboko PZPR zabrnęła w ślepy zaułek. Brzmiało to nieco surrealistycznie, bo po drugiej stronie stoczniowego płotu słyszeliśmy dowcipkujące patrole ZOMO. Już wtedy wyczuwaliśmy między braćmi różny styl. Leszek był jakoś po sopocku elegancki, wyluzowany. Ta jego zielona kurtka „US Army" była już wtedy troszeczkę demodé, ale wciąż jeszcze nadawała mu nieco młodzieżowy wygląd. Co rusz na jego ustach wykwitał ironiczny uśmieszek, gdy snuliśmy kogucikowate teorie, że trzeba postawić wszystko na jedną kartę, że „Krajówka" musi wydać apel o strajk generalny, a ludzie koniec końców znów się ruszą. Leszek pamiętał dobrze mizerny poziom oporu zakładów po 13 grudnia 1981 roku i porażki apeli podziemia Solidarności z lat 1982–1983. Ale dość łagodnie studził nasze zapały. Jarek miał mniej cierpliwości do „młodych". „Skąd ty wziąłeś tych wariatów?" – pytał brata, a ten bronił się: „To nie ja, to Maciek Łopiński ich wypatrzył w jakimś liceum, gdzie robili własną gazetkę".

Ponownie spotkaliście się w Stoczni Gdańskiej podczas strajku w sierpniu 1988 roku.

Wtedy jeszcze mocniej było widać, jak kluczową pozycję Leszek zajmuje u boku Wałęsy. W najważniejszą noc, z 31 sierpnia na 1 września, Wałęsa wrócił z Warszawy po rozmowach z Kiszczakiem. Ogłosił: albo kończycie strajk i razem podejmujemy negocjacje Okrągłego Stołu, albo strajkujcie, ile chcecie, a ja strajk opuszczam. Razem z Jackiem staliśmy przed zamkniętą salą, gdzie debatowała czołówka strajku. Bogdan Borusewicz ostrzegał, że władza wystrychnie jeszcze Solidarność na dudka. Lech Kaczyński dla odmiany bronił linii Wałęsy zębami i pazurami. My, młodzi z redakcji gdańskiej „Regionówki", nie wierzyliśmy w dobre intencje szefa MSW. Gdy skończyła się narada i wiadomo już było, że następnego dnia opuścimy stocznię, spróbowaliśmy dać do zrozumienia naszemu nowemu mentorowi, że nas rozczarował. „Puknijcie się w głowę, mało kto w Polsce podjął strajk. Pójdźcie na świeże powietrze, to może trochę otrzeźwiejecie" – rzucił w odpowiedzi zmęczony i rozdrażniony Leszek, a za chwilę podążył za Wałęsą na jakąś kolejną naradę, odbywającą się w jeszcze węższym gronie. Kiedy on się oddalał, nasi stoczniowi drukarze – chłopy jak dęby – płakali przed bramą z bezsilnej złości.

Po strajku sierpniowym, niecały miesiąc później, Mieczysław Rakowski został premierem. Wiązałeś jakiekolwiek nadzieje z tą postacią?

Rząd Rakowskiego to były „ostatnie podrygi zdychającej ostrygi". Przeceniałem go. Zakładałem, że może być sprawnym graczem, tymczasem Rakowskiemu zależało jedynie na władzy, ale nie potrafił rządzić. Jego postawę najlepiej określał złośliwy i jednocześnie trafny dowcip krążący

w społeczeństwie. „Rakowski zawsze chciał być pierwszym sekretarzem partii, a został ostatnim". Miałem w pamięci pyskówkę Rakowskiego z 1983 roku ze stoczniowcami. Jeżeli ktoś nienawidził Solidarności, to właśnie on. Człowiek z nizin społecznych krzyczał w stoczni do robotników: „Gdyby nie socjalizm, to byście paśli krowy". Mówiąc to, myślał po części o sobie – chłopaku ze wsi, któremu PRL otworzył drzwi do wielkiej kariery. Rakowski doświadczył awansu społecznego i politycznego w strukturze komunistycznej, ale na robotników antykomunistów patrzył jak na siłę mogącą zabrać mu jego ciężko wywalczone dla siebie przywileje. Kilkadziesiąt lat później robotniczy działacze Solidarności, tacy jak Bujak i Frasyniuk, zaczęli robić kariery, opierając się na innej strukturze, i tym samym zagrażali pozycji Rakowskiego. Tego nie mógł znieść. Z kolei ci sami Bujak i Frasyniuk, na których krzywo spoglądał Rakowski w 1983 roku, pięć lat później robili wszystko, by nie dopuścić do głosu młodych kandydatów na nowych liderów robotniczych spod znaku Strajku '88.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowicz.

DOTYCHCZAS WYDRUKOWALIŚMY NASTĘPUJĄCE FRAGMENTY KSIĄŻKI:

- ***„Jak Semkowie Polskę wybrali"*** – nr 16/2021
- ***„Dziadek Jan i dziadek Józef"*** – nr 17/2021
- ***„Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową"*** – nr 18/2021
- ***„Niepokorna Topolówka"*** – nr 19/2021
- ***„Dramatyczny czas"*** – nr 20/2021
- ***„Licealna konspira"*** – nr 21/2021
- ***„Koledzy z konspiry"*** – nr 22/2021
- ***„Prywatna wojna z komunizmem"*** – nr 23/2021
- ***„Uciekaliśmy od bezruchu"*** – nr 24/2021
- ***„Pobudzający mętlik idei"*** – nr 25/2021
- ***„Podziemny Lublin, podziemny Gdańsk"*** – nr 26/2021
- ***„Pierwsze niepokojące sygnały"*** – nr 27/2021
- ***„Spełnione marzenie młodego opozycjonisty"*** – nr 28/2021
- ***„Era młodych"*** – nr 29/2021
- ***„Eksperyment Borusewicza się opłacił"*** – nr 30/2021
- ***„Niebezpieczne związki"*** – nr 31/2021
- ***„Ramię w ramię ze strajkującymi"*** – nr 32/2021
- ***„Zapowiedź Okrągłego Stołu"*** – nr 33/2021

eprasa.pl 81396aa6f1

Gotowi na wszystko

FOT. ADOBE STOCK

Agnieszka Niewińska

Preppersi robią zapasy żywności i wody, potrafią krzesać ogień oraz przetrwać w lesie. Robią plany na wypadek pożaru i powodzi. W pandemii zainteresowanie ruchem wzrosło

Krzesiwo nosi przypięte przy kluczach, do tego ma jeszcze zapalniczkę, nóż survivalowy, co najmniej jedną latarkę i rewolwer. – To jest mój tzw. ekwipunek dźwigany codziennie. Od początku pandemii noszę ze sobą także maskę z filtrem węglowym. Sprawdza się nie tylko w związku z koronawirusem, lecz także filtruje nieprzyjemne zapachy – opowiada Sławomir Nizner.

Jest preppersem, prezesem Preppers Poland. Preppersi (nazwa pochodzi od angielskiego „be prepare" – być przygotowanym) to ruch, którego członkowie zawczasu przygotowują się do przetrwania w trudnych sytuacjach, takich jak np. klęska żywiołowa, katastrofa, wypadek, wojna, ale i utrata pracy. – Prepperingiem interesuję się niemal całe życie. Osiem lat temu zacząłem tworzyć społeczność Preppers Poland. Preppering to zarówno pasja, którą rozwijam, jak i styl życia, filozofia i praca, bo prowadzę Sklep Preppers Poland ze sprzętem dla preppersów – mówi.

Zapasy żywności ma zarówno w domu, jak i w miejscach, w których lubi biwakować. Umie posługiwać się bronią i w razie potrzeby upolować coś do jedzenia. Nie są mu obce ani techniki samoobrony, ani pierwsza pomoc.

– Nie chodzi o to, że preppersi czekają na jakąś apokalipsę czy wojnę, chociaż i to może nas spotkać – mówi Nizner. – Nie wiem, dlaczego ludzie uważają, że skoro teraz żyjemy w komfortowych warunkach, to tak będzie zawsze. Przecież wśród nas wciąż są ludzie, którzy np. cierpieli taki głód, że musieli zjadać zwierzęta domowe. Trudne sytuacje, katastrofy mogą nas spotkać w każdej chwili. To może być wichura, pożar domu, ale i wypadek drogowy. Warto być na to przygotowanym.

WYPRAWA ZAMIAST STRASZENIA

Preppersi oprócz robienia zapasów żywności zaopatrują się w alternatywne oświetlenie, wiedzą, jak samemu zrobić płyn do dezynfekcji itp. Niektórzy przygotowują miejsce ewentualnej ewakuacji, są gotowi np. na pożar domu czy mieszkania. – Warto mieć np. spakowany plecak ewakuacyjny z najważniejszymi rzeczami, takimi jak bielizna, ubranie na zmianę, szczoteczka do zębów, pieniądze, kopia najważniejszych dokumentów – radzi Nizner. – Kiedy dom stanie w płomieniach, nie będziemy nerwowo szukać niezbędnych rzeczy, tylko zabierzemy plecak, a następnego dnia w świeżym ubraniu i z kopią dokumentów będziemy mogli załatwiać niezbędne sprawy w urzędach.

Wycieczka do lasu, zbudowanie szałasu, spędzenie tam nocy, wspólne przygotowanie posiłku – tak Piotr Czuryłło uczy czworo swoich dzieci radzenia sobie w trudnych sytuacjach. – Nie ma co straszyć dzieci takimi zdarzeniami jak powódź, wichura czy blackout. Lepiej zbliżyć się do nich i wspólnie spędzając czas, nauczyć je posługiwania się kompasem, porozmawiać o tym, jak samodzielnie znaleźć drogę do domu, co zrobić, gdy zabraknie prądu i nie będzie można do nikogo zadzwonić – mówi. Jest jednym z pierwszych promotorów prepperingu w Polsce i autorem „Vademecum przetrwania". – Preppering połączył wiele moich zainteresowań takich jak survival, bushcrafting, łowiectwo – opowiada.

Szacuje się, że zaangażowanych w preppering w Polsce jest kilkadziesiąt tysięcy osób, ale – jak mówi Czuryłło – tematyką poradzenia sobie w trudnej sytuacji interesuje się dużo więcej. – Z naszych badań wynika, że w Polsce to ok. 3 mln ludzi. W Stanach Zjednoczonych aż 25 mln osób, które co najmniej śledzą strony i serwisy dotyczące przygotowania się na trudne sytuacje. Preppering rozwija się lawinowo na całym świecie – mówi.

W USA nie brakuje preppersów, którzy na wszelkie trudności szykują się na całego. To o nich opowiada dokumentalna seria „Czekając na apokalipsę". Jeden z bohaterów, David Sarti z przedmieść Nashville w stanie Tennessee, przygotował się na impuls elektromagnetyczny, który mógłby zniszczyć urządzenia elektroniczne i doprowadzić do paraliżu transportowego kraju. Widzom pokazywał dwustulitrowe beczki wypełnione ziarnem kukurydzy. Miał jej tyle, że starczyłoby na rok dla siedmiu osób. Chwalił się, że na swojej farmie uprawia ziemię, hoduje zwierzęta, więc kiedy inni będą szturmować sklepy, by dostać makaron, on będzie mógł zajadać się stekami. Stworzył też radiostację, która nie wymaga ani prądu, ani sieci telefonicznej, ani Internetu. Aby impuls jej nie zniszczył, zbudował dla niej klatkę Faradaya. – Niektórzy uważają, że mam obsesję na punkcie prepperingu. Mam nadzieję, że rzeczywiście zwariowałem i nic złego się nie stanie – mówił.

– W Stanach Zjednoczonych jest tylu ludzi i tylu preppersów, że dziennikarzom łatwo nagłośnić skrajne przypadki tych, którzy np. magazynują ogromne ilości żywności. Dużo w tym także marketingu – mówi Nizner. Dodaje jednak, że w Polsce

eprasa.pl 81396aa6f1

wielu ludzi, którzy nie są preppersami, zajmowało się i zajmuje konserwacją i gromadzeniem żywności na nie mniejszą skalę niż niejeden amerykański preppers. – Nikogo nie dziwni, że robi się na zimę zapas ziemniaków, kiszonej kapusty, cebuli, suszy się grzyby i robi przetwory. A preppersi poszli krok dalej i starają się mieć zapasy przez cały rok, a nie tylko zimą.

Piotr Czuryłło zaznacza, że choć nazwa „preppering" przyszła do nas zza oceanu, to sztuka przetrwania w trudnych sytuacjach jest w Polsce głęboko zakorzeniona. – Czy nasze babcie i dziadkowie nie byli preppersami? Nie gromadzili zapasów oliwy? Zwrot „na czarną godzinę" nie wziął się przecież znikąd. Żyli w czasach, w których musieli być przygotowani na trudności, na kataklizmy, na wojnę.

KORONAPREPPERSI

Kiedy w 2011 r. wspomniana już seria dokumentów o preppersach zadebiutowała na ekranach, na jej bohaterów i zjawisko prepperingu patrzono jak na ciekawostkę. W dobie pandemii preppering przestał być jednak postrzegany jako ekscentryczne hobby. Wszedł do mainstreamu. „Śmialiśmy się z preppersów i survivalistów dopóty, dopóki nie uderzyła w nas pandemia" – skwitował brytyjski „The Guardian".

W pandemii do założonej przez Piotra Czuryłło Fundacji Polish Preppers Network wpływało więcej zapytań o to, jak przetrwać. A facebookowy profil Sławomira Niznera w krótkim czasie zwiększył liczbę fanów o 10 proc. – U wielu koronapreppersów – jak nazwałem tych, którzy prepperingiem zainteresowali się w związku z pandemią – zapał był krótkotrwały. Często źle podchodzą do sprawy. Ostatnio jeden z nich mówił mi, że ma jeszcze część zapasów zrobionych w czasie lockdownu. A przecież nie chodzi o to, żeby wykorzystać te produkty, tylko by stale zapasy uzupełniać. Gdyby wszyscy byli preppersami, pandemia mogłaby zakończyć się w dwa tygodnie, bo wirus sam by wygasł. Nikt w czasie epidemii nie stałby w kolejce do sklepu, narażając się na zakażenie, tylko siedziałby w domu, korzystając z zapasów – mówi.

Preppersi w sieci zamieszczają wiele filmów instruktażowych, webinarów. Można też spotkać się z nimi podczas szkoleń i kongresów. Od czego zacząć przygotowania do trudnych sytuacji, które mogą nas spotkać? – Od kartki papieru i długopisu – odpowiada Czuryłło. – Warto w rodzinie zastanowić się, co byśmy zrobili, gdyby np. zabrakło prądu i telefony nie działały. Czy wszyscy spotkamy się w domu? A może dzieci powinny czekać w szkole, aż ktoś z rodziców je odbierze? Czy w trudnej sytuacji będziemy starać się przetrwać w domu czy raczej przeniesiemy się do jakiegoś miejsca na wieś albo do lasu? Tego nie polecałbym tym, którzy przywykli do mieszkania w mieście, nie znają wsi, a w lesie nigdy nie nocowali i nie wiedzą, jak sobie tam poradzić: jak krzesać ogień, jak zdobyć pożywienie. Przenosząc się do lasu czy na wieś w obliczu kataklizmu, postawiliby się w podwójnie trudnej sytuacji – radzi Czuryłło. I dodaje: – Warto też określić, jak dużych zapasów potrzebujemy. Ile pożywienia, ile wody jest nam niezbędne. W czasie pandemii wykupowaliśmy papier toaletowy. Może jesteśmy sobie w stanie poradzić bez niego, zastąpić go czymś? Zapasy są ważne, ale najważniejsza jest jednak wiedza na temat tego, jak poradzić sobie w trudnej sytuacji.

Jesienne obostrzenia w wypowiedziach polityków powracają jak echo. Może to już czas na zapasy i podstawy prepperingu?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PRENUMERATA

PRENUMERATA ROCZNA
TYGODNIKA „DO RZECZY"
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
W PREZENCIE KSIĄŻKA
T. KOWALIK, P. SŁOWIŃSKI
„CO POLSKA I POLACY DALI ŚWIATU"
Cena: 337 zł
Oszczędność: 322 zł
+ e-wydanie

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664 TELEFON: 539 953 631 INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 81396aa6f1

Anna Bilińska, „Portret własny", 1887 r. FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Polska Gwiazda Polarna

Wiesław Chełminiak

Pierwszą polską malarką, która podbiła Paryż, nie była Olga Boznańska. Wystawa w Muzeum Narodowym w Warszawie oddaje sprawiedliwość zapomnianej artystce

Choroba serca zabiła ją, gdy była u progu sławy. Obrazy Anny Bilińskiej, nazwanej przez francuskiego krytyka „Gwiazdą Polarną malarstwa", wystawiano w Londynie, Monachium i Berlinie. W Niemczech pisano o tworzonych przez Polkę portretach: „Umiłowanie prawdy – niecofające się przed niczym, absolutna precyzja, doskonała charakterystyka i perfekcyjna technika wykonania". Sukces międzynarodowy sprawił, że również nad Wisłą doceniono rodaczkę. Największy w kraju mecenas artystów, Ignacy Korwin-Milewski, który wpadł na pomysł stworzenia galerii wizerunków 20 polskich mistrzów pędzla, widział Annę w owym elitarnym gronie. Przyjęła zamówienie, lecz autoportretu nie zdążyła dokończyć. Wraz z nią umarł też pomysł założenia w Warszawie szkoły malarskiej dla kobiet, lepszej od tej, którą ukończyła w Paryżu.

Dziewięć miesięcy przed śmiercią Bilińska wyszła za mąż. Antoni Bohdanowicz, z wykształcenia lekarz, z wyboru działacz emigracyjny, robił, co mógł, by pamięć o ukochanej przetrwała. Zaprojektował jej grobowiec na Powązkach, prace podarował muzeom w Warszawie i Krakowie, napisał i własnym sumptem wydał biografię Anny. Przegrał. Zamiast do narodowego panteonu pierwsza polska malarka z prawdziwego zdarzenia trafiła do piekła zapomnienia. Miała pecha. Pod koniec XIX w. doszło do głosu bodaj najbardziej utalentowane pokolenie artystów. Wyspiański, Malczewski, Mehoffer, Weiss, Wojtkiewicz, Wyczółkowski, Fałat, Axentowicz, Ruszczyc, Boznańska, Pankiewicz… Oni zawładnęli wyobraźnią rodaków.

Zmieniły się też kryteria oceny. W górę poszły akcje twórców kontestujących estetykę salonu. Bilińska zaś nigdy nie była buntowniczką. Akceptowała akademickie hierarchie, o impresjonistach wyrażała się z przekąsem. Na eksperymenty pozwalała sobie jedynie w pracach tworzonych na użytek własny.

Dziś, gdy feministyczne rewindykacje sprawiły, że historię sztuki pisze się na nowo, a dzieła drzewiej umieszczane w magazynach stają się ozdobą głównych ekspozycji, również autorka „Jedynej pociechy" wraca do łask. Jak na ironię Anna pisała w dzienniku: „Nie lubię emancypantek – tych z krótkimi włosami, co udają mężczyzn i brawurą osiągnąć szczęście swoje myślą. Mylą się bardzo, bo nie w aulach uniwersyteckich przebywa ono".

BAMBO PRAWIE WYBIELONY

O Bilińskiej zrobiło się głośno z okazji odzyskania zaginionej „Murzynki". Tuż przed wojną obraz znalazł się w posiadaniu warszawskiego Muzeum Narodowego, wypłynął w grudniu 2011 r. na aukcji w Berlinie. Wykupiony, wrócił do Polski. Powstał w Paryżu jako praca szkolna. W Académie Julian dbano, by studenci byli na bieżąco z bieżącymi trendami w sztuce. A egzotyka była w modzie, rymowała się bowiem z erotyką. Czarnoskóra modelka pozowała z obnażoną piersią, chińskim wachlarzem, orientalnym naszyjnikiem z półksiężyców, wielkimi kolczykami i chustką zawiązaną na głowie. Te akcesoria służyły jako alibi, pomagały udawać, że wcale nie o cielesność tu chodzi.

W wydawnictwie towarzyszącym warszawskiej wystawie kuratorka Agnieszka Bagińska informuje, że tytuł „Négresse" został zachowany „jako historyczny". Na ekspozycji płótno podpisano jednak „Studium kobiety", najwyraźniej w obawie, że Bilińska znajdzie się w jednym szeregu z Henrykiem Sienkiewiczem, autorem „promującego kolonia-

eprasa.pl 81396aa6f1

lizm czytadła" „W pustyni i w puszczy" tudzież Julianem Tuwimem, twórcą „rasistowskiej rymowanki" o Murzynku Bambo. Muzeum Narodowe odcina się więc od błędów przeszłości, ale jakoś mało stanowczo. „Zdajemy sobie sprawę, że współcześnie może on [tytuł oryginalny – przyp. W.Ch.] budzić liczne zastrzeżenia i wątpliwości". Obawiam się, że szermierzy postępu ten zgniły kompromis nie zadowoli, więc proponuję, by – zanim wieść o kontrowersyjnym obrazie rozejdzie się po świecie – słówko „Négresse" zastąpić „Afrofrancuzką".

Bilińska urodziła się w Złotopolu, na kresach dawnej Rzeczypospolitej, sentyment do ukraińskich strojów i krajobrazów zachowała do końca życia. W Warszawie zamieszkała, mając lat 20. Jej bracia studiowali w Instytucie Muzycznym, jeden został skrzypkiem, drugi pianistą. Anna uczyła się śpiewać i grać na fortepianie, lecz ostatecznie wybrała malarstwo. Pierwszych lekcji rysunku udzielał jej znany ilustrator Michał Elwiro Andriolli, potem trafiła pod skrzydła Wojciecha Gersona, który był o wiele lepszym pedagogiem niż artystą. Ratując rodzinny budżet, sprzedawała swoje prace, jednak przychylność warszawskiej socjety, zważywszy na warsztatowe braki Bilińskiej, nie mogła trwać wiecznie. Wtedy po raz pierwszy uśmiechnęło się do niej szczęście. Jako dama do towarzystwa zamożnej przyjaciółki, Klementyny Krassowskiej, odbyła podróż do Monachium, Włoch i Wiednia, w kręgach artystycznych uważaną za obowiązkową. Na podobnej zasadzie wyjechała do Paryża, odrzucając pokusę studiowania u Matejki (jej wuj był sekretarzem i totumfackim twórcy „Rejtana").

Nad Sekwaną nasza bohaterka rozwinęła skrzydła. Académie Julian, prywatna uczelnia bez oporów przyjmująca kobiety oraz cudzoziemców słabo znających francuski, gwarantowała zawodowy szlif. W szczytowym okresie miała 10 filii rozsianych po Paryżu. Działała aż do 1974 r. Bilińska była wyróżniającą się studentką, wygrywała wewnętrzne konkursy, została opiekunką pracowni. W przyszłości mogła spodziewać się intratnych zleceń, na razie biedowała.

Józef Chełmoński, wówczas ulubieniec paryskich salonów, wspominał po latach: „Widziałem, jak o głodzie zdobywała potrzebne wiadomości malarskie w pracowniach Juliana, Fleury'ego i innych. Zawsze skromna, wymagała od siebie dużo i coraz więcej. Była to dusza wielkiej mocy, obdarzona nieograniczonym zapałem i miłością prawdziwej sztuki. Dla niej wyrzekła się wszelkich wygód, często zapominając o koniecznych potrzebach życia". Wakacje, spędzane na Podolu u Krassowskich lub na francuskim wybrzeżu, traktowała jako okazję do ulepszania stylu.

Bilińska kochała muzykę i romantyczną poezję. Przyjaźniła się z rodziną Mickiewiczów. Gdy umarł Józef Bohdan Zaleski, pognała do jego mieszkania, by prosić o zgodę na sporządzenie pośmiertnego konterfektu „ruskiego wieszcza". Kilka miesięcy później musiała przywdziać żałobę z powodów osobistych. Kolejno odeszli jej ojciec, Klementyna i narzeczony – malarz Wojciech Grabowski. Artystka wpadła w depresję, nękały ją myśli samobójcze. Miała 33 lata, według ówczesnych pojęć była starą panną, która uparła się wykonywać „męski" zawód. Ze wsparciem pospieszyli przyjaciele. Rodolphe Julian zwolnił prymuskę z opłacania czesnego (potem był świadkiem na jej ślubie). Zapis testamentowy Krassowskiej uczynił zaś Annę osobą dość zamożną.

Dzięki paryskiej edukacji Bilińska mogła zaistnieć na wymagającym, zachodnioeuropejskim rynku sztuki. Największą biegłość osiągnęła w pastelu, a tak się szczęśliwie złożyło, że wróciła moda na obrazy wykonane tą techniką. Przełomem okazał się jednak olejny „Portret własny" z 1887 r. Rozczochrana, ubrana skromnie, lecz pewna siebie profesjonalistka – taką przedstawiła się światu. Publiczność była zachwycona, krytycy wróżyli Polce wielką przyszłość. Przez kilka lat, jakie jej zostały, używała tego autoportretu w charakterze wizytówki, wystawiając go w prestiżowych galeriach. Panowie z elity chętnie zamawiali u popularnej malarki wizerunki swych żon, córek i matek.

PŁEĆ PĘDZLA

Artystycznym wyznaniem wiary Bilińskiej od początku był realizm. Jej wczesne prace wyglądają zgoła jak ilustracje pozytywistycznych nowel. Sceny z życia ubogich włościan, wiejskie pejzaże, miejscy żebracy, martwa i żywa natura. Jeden z krajowych recenzentów chwalił, że maluje „z gustem, śmiało i skończenie", co – w powszechnej opinii – było cechą „męskiego pędzla". Przeznaczeniem Anny nie było jednak malarstwo rodzajowe, lecz portret.

Pozował jej naczelny dyrygent warszawskiej opery, stary znajomy Ignacy Paderewski, prominentni emigranci, koleżanki ze studiów, dzieci. Miała oko do szczegółów. „Portret damy z lornetką" zwraca uwagę kapeluszem modelki, ozdobionym wypchaną kuropatwą. Bilińską bardzo interesowały typy ludzkie, jej szkicowniki pełne są tworzonych ad hoc wizerunków i karykatur. Krytyka nie spływała po niej jak woda po kaczce. Zachował się album, do którego pracowicie wklejała wycinki recenzji. Ulegała wpływom i modom (choćby na japońszczyznę), ale zawsze wierzyła w to, co robi. Gdy jej sytuacja materialna się poprawiła, zaczęła pomagać innym. Wspierała patriotyczne inicjatywy, np. poznańskie towarzystwo, wykupujące ziemię z rąk niemieckich.

Na warszawską retrospektywę udało się sprowadzić kilkanaście dzieł nigdy w Polsce nieoglądanych. W 1890 r. amerykański milioner zamówił u Bilińskiej wielkoformatowe konterfekty swoich podopiecznych: młodziutkiego pianisty i obiecującego rzeźbiarza. Pierwszy przyjechał na wystawę z Berlina, drugi aż z Pensylwanii. W angielskim kurorcie Bath zachował się portret Anny w żałobie, namalowany przez koleżankę ze studiów – Emmeline Deane. We Francji – wyposażenie Académie Julian, dzięki któremu twórcy ekspozycji mogli porwać się na zrekonstruowanie pracowni w stylu belle époque. Ciekawostką są wspomniane szkicowniki oraz sporządzony przez artystkę wykaz sprzedanych prac, z cenami, nazwiskami i adresami klientów.

Ostatnim eksponatem jest „Kobieta z różą". Obraz, wystawiony w paryskim salonie już po śmierci autorki, tchnie melancholią. Czy zwiastował on zwrot w stronę symbolizmu, nigdy się nie dowiemy. Gdyby Bilińska żyła dłużej niż 39 lat, musiałaby wybierać między pokusą nowoczesności i wiernością akademickim zasadom. Los jej tego oszczędził. Pomysł, by kanon polskiej sztuki poszerzyć o twórczość zapomnianych, XIX-wiecznych artystów szlifujących paryskie bruki, ma ręce i nogi. W kolejce czekają Władysław Ciesielski, Czesław Borys Jankowski, Zygmunt Myrton-Michalski, Antoni Kamieński i bracia Loevy. Niestety, sami mężczyźni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Artystka. Anna Bilińska 1854–1893" w Muzeum Narodowym w Warszawie jest otwarta do 10 października.

eprasa.pl 81396aa6f1

„Susza" to import z Australii, który jest manifestacją siły kina popularnego z antypodów
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Lato zbrodni

Piotr Gociek

Jakie kryminały najbardziej podobały mi się w kinie tego lata? Takie, jakich już dziś się nie robi. Jeden z nich – „Susza" – to dokonanie wybitne

Dziwne to było lato w kinie: premier mnóstwo, ale w większości wyrzucane z napęczniałych podczas pandemii archiwów na ekrany jak niepotrzebne rzeczy z szafy na podłogę. Większość bez promocji, byle zaliczyć zapisany w kontrakcie dystrybucyjnym „theatrical run", nieraz jednocześnie z premierami VOD czy nawet DVD. Branża minimalizuje straty po zamknięciu sal kinowych i czyści przedpole na potrzeby jesiennych premier, kiedy to biznes znów ma się kręcić na serio. Optymistyczne to założenie, które może zostać zdruzgotane przez czwartą falę pandemii, ale to temat na inne rozważania.

Wakacyjny chaos sprawił, że kilka ciekawych filmów umknęło uwadze widzów i krytyków – śmiem twierdzić, że częściowo także kiniarzy, bo np. kryminał „Susza" („The Dry"), od którego zacznę, tam, dokąd trafił, ściągał komplety widzów. Tyle że mało gdzie znaleziono dla niego wolne sale. A jest to najlepszy film kryminalny, jaki od ładnych kilku lat widziałem w kinie – chyba od czasu duńskiego dreszczowca „Winni" (2018).

„PRZYJEDŹ NA POGRZEB"

„Susza" to import z Australii, który jest manifestacją siły kina popularnego z antypodów. Powstał na podstawie bestsellerowej powieści kryminalnej pod tym samym tytułem (autorka, Jane Harper, znana jest także w Polsce) otwierającej cykl przygód detektywa Aarona Falka (tom drugi nosi tytuł „Siła natury", też ukazał się po polsku). Reżyserem jest Robert Connolly, twórca znany z filmów dokumentalnych i fabularnych, a także ceniony producent. W roli głównej Eric Bana, jeden z wielu australijskich aktorów, którzy przebili się w Hollywood. Bana powraca na duży ekran po kilku latach przerwy, ostatnio widzieliśmy go w filmie Guya Ritchiego „Król Artur: Legenda miecza" (2017).

„Luke kłamał. Ty kłamałeś. Przyjedź na pogrzeb" – wiadomość tej treści wytrąca detektywa Falka z codziennej rutyny życia i pracy w wielkim mieście. Po latach wraca więc do małego miasteczka zagubionego na australijskim pustkowiu. Ostatni deszcz spadł pół roku wcześniej, gospodarstwa podupadają. Jedyni zadowoleni to wielkie firmy, które wykupują ziemię od prywatnych właścicieli. Mieszkańcy Kiewatty mają jednak aktualnie zupełnie inny temat do rozmów: krwawą zbrodnię. Luke Hadler zamordował żonę i dziecko, po czym popełnił samobójstwo. Falk był za młodu najlepszym przyjacielem Luke'a. Teraz jego rodzice chcą, by okiem wielkomiejskiego policjanta spojrzał na sprawę, która wydaje się oczywista. Falk niechętnie, ale zabiera się do roboty. W krainie, gdzie każdy głaz, każdy dom i każda kępa drzew przypomina dawne czasy i tajemnice innej śmierci: dziewczyny, w której durzyli się obaj.

Czytaliście i oglądaliście zapewne sporo podobnych opowieści – ja także. Urok „Suszy" nie tkwi jednak w wielkiej oryginalności – choć niesamowite australijskie pejzaże muszą robić na nas wrażenie – ale w tym, jak świetnie napisana, zagrana i opowiedziana jest cała historia. Dostajemy klasyczny dramat kryminalny, wolny od przesadnej przemocy, która jest plagą współczesnej rozrywki. Bez ładunku ideologicznego, który coraz częściej przygniata fabuły. Bez kombinowania na siłę, czym tu zaszokować.

Dobre, proste historie stworzyć dziś najtrudniej, przy czym „Susza" nie myli

eprasa.pl 81396aa6f1

prostoty z prostactwem ani skromności z biedą. Jest to film skromny i prosty, ze świetną rolą Bany, pięknymi zdjęciami, dobrze poprowadzoną intrygą i nieodzownym dodatkiem melancholii, bo kryminał ten rozgrywa się na dwóch planach czasowych. Dorosły Falk konfrontuje swe współczesne odczucia ze wspomnieniami, z jednych traum się wyzwalając, a innym poddając. Jako dawna miłość partneruje mu na ekranie Genevieve O'Reilly i też spisuje się jak należy. „Susza" zaczyna się jak rasowy kryminał i tropów kryminalnych nie porzuca, ale dokłada do tego kolejne warstwy i gdy dochodzimy do finału, okazuje się, że była to tak naprawdę opowieść o przyjaźni i zaufaniu. Oraz o małych sekretach, prowadzących do wielkich tragedii.

ANGELINA WYPATRUJE POŻARÓW

Polecam „Suszę" jako najlepszy kryminał tego lata, ale wspomnieć chcę także o innej ciekawej, a przegapionej nowości kinowej. „Ci, którzy życzą mi śmierci" („Those, Who Wish Me Dead", 2021) to przedstawiciel gatunku, bez którego kiedyś wakacje w kinie obejść się nie mogły: disaster movie. Tonące liniowce pasażerskie, zagrożone samoloty w przestworzach, wybuchy wulkanów, ataki tornada, powodzie – wiecie, o co chodzi. Tym razem tłem fabuły są pożary lasów gaszone z narażeniem życia przez smoke jumpers – amerykańskich strażaków szkolonych do ciężkich bojów z ogniem w terenie. Jednym z nich jest Hannah grana przez Angelinę Jolie. Pije, klnie i bije się równie sprawnie jak mężczyźni, ale w poprzedniej wielkiej akcji strażackiej popełniła błąd, który skończył się tragicznie. Nie może więc dojść do porozumienia z własnym sumieniem oraz z przełożonymi, którzy na razie odsunęli ją od czynnej służby i wysłali na samotną wieżę, by zamiast gasić, wypatrywała pożarów.

Los dzielnej, acz dotkniętej traumą pani strażak splecie się wkrótce z losem młodego uciekiniera – chłopca, który był świadkiem morderstwa, niesie w plecaku bezcenne informacje, a którego tropem podąża para nieco zabawnych i jednocześnie bardzo przerażających płatnych zabójców. (Para przypomina nieco zachowaniem kilerów z powieści Neila Gaimana „Nigdziebądź", ale by znaleźć pierwowzór tego typu duetów, musielibyśmy się cofnąć aż do Dickensa).

Dramat kryminalny w drugiej części filmu zamienia się w film katastroficzny. Ta pierwsza warstwa opowieści podobała mi się bardzo, druga jest mocno rutynowa, ale całość i tak zasługuje na uwagę. Za reżyserię odpowiada bardzo utalentowany Taylor Sheridan, który debiutował świetnym thrillerem „Wind River. Na przeklętej ziemi" („Wind River", 2017), stworzył bardzo dobry serial „Yellowstone" i był nominowany do Oscara za scenariusz filmu „Aż do piekła" („Hell or High Water", 2017). Sheridana najęto początkowo do poprawienia scenariusza filmu „Ci, którzy życzą mi śmierci", stworzonego na podstawie powieści Michaela Koryty. Powiedział wtedy, że chciałby też tę historię wyreżyserować i że widzi w roli głównej Angelinę Jolie. Studio nie wierzyło, że gwiazdę uda się zainteresować, więc dla świętego spokoju oświadczyło: „OK!". Sheridan namówił Jolie i tak stanął za sterami całego projektu. Wyszedł mu film solidny, emocjonujący, może nadmiernie konwencjonalny, ale ogląda się go świetnie. Co ważne, choć akcja toczy się na głębokiej amerykańskiej prowincji, nie ma tu kpin z miejscowych. Zepsucie i kłopoty przybywają z innego świata – świata wielkich miast i korporacji (w tym przestępczych).

POKUTA GLINIARZA

„Małe rzeczy" („Little Things", 2021) w reżyserii Johna Lee Hancocka to z kolei film z podgatunku wakacyjnej rozrywki, który zaistniał na dobre najpierw dzięki sukcesowi „Milczenia owiec", a potem sławie, którą okrył się thriller „Siedem" Davida Finchera. Czyli opowieść o pojedynku z diabolicznie inteligentnym seryjnym mordercą. Scenariusz przeleżał w szufladach ponad dwie dekady, odbijając się od biurek rozmaitych kompanii filmowych. Hancock go nie uwspółcześnił, powstał więc kryminał nieco historyczny, którego akcja rozgrywa się na początku lat 90. XX w. (słyszymy w jednym z dialogów, że kilka lat wcześniej Los Angeles terroryzowane było przez Richarda Ramireza, któremu media nadały pseudo Night Stalker – Ramirez aresztowany został w 1985 r.).

Głównym bohaterem jest doświadczony, uparty i charyzmatyczny gliniarz (w tej roli Denzel Washington), który niegdyś był gwiazdą wydziału zabójstw w LA, a teraz zajmuje się drobnymi przestępstwami na prowincjonalnym posterunku, z dala od metropolii. Przypadek zrządzi, że będzie mógł pomóc młodemu, bezczelnemu i ambitnemu detektywowi (Rami Malek) w śledztwie powiązanym z nierozwiązaną zagadką sprzed lat. Powrócił bowiem zabójca młodych kobiet, a wraz z jego powrotem powróciło poczucie winy głównego bohatera.

Washington i Malek tworzą świetny ekranowy duet, ale wyjątkowo ciekawie robi się dopiero w chwili, gdy na scenę wkracza domniemany seryjny morderca, którego zagrał Jared Leto. Zapominamy o tym, że scenariuszowi trochę brak oryginalności, że dialogi mogłyby być lepsze, a reżyser przepuścił dłużyzny. Od chwili, gdy w pokoju przesłuchań spotka się cała trójka, nie można się już od „Małych rzeczy" oderwać. Puenta natomiast mocno nami wstrząśnie. Film Hancocka także idzie pod prąd obecnych mód ideologicznych – policjant grany przez Denzela Washingtona to człowiek głęboko wierzący, który właśnie dlatego nie może odpuścić, bo uważa, że jego obowiązkiem jest obrona niewinnych i pokuta za własne dawne grzechy.

Wszystkie te filmy polecam, choć w różnym stopniu. „Suszę" zobaczyć trzeba koniecznie. „Ci, którzy życzą mi śmierci" to film, którego obejrzenia nie będziecie żałować. „Małe rzeczy" jest w tym zestawie propozycją najsłabszą, ale też godną uwagi. Kto nie zdąży w kinie, ten niech szuka wkrótce w serwisach VOD, a za parę miesięcy na płytach DVD. Kryminalne lato było w tym roku całkiem udane.

REŻ. ROBERT CONNOLLY „SUSZA" AUSTRALIA/USA 2021

REŻ. TAYLOR SHERIDAN „CI, KTÓRZY ŻYCZĄ MI ŚMIERCI" KANADA/USA 2021

REŻ. JOHN LEE HANCOCK „MAŁE RZECZY" USA 2021

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 81396aa6f1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Marks nas wyzwoli?

★★☆☆☆☆

REŻ. SHAKA KING „JUDASZ I CZARNY MESJASZ" („JUDAS AND THE BLACK MESSIAH")
USA 2020, DVD

wyst. Daniel Kaluuya, LaKeith Stanfield, dystr. Galapagos

Marks i Lenin mieli rację, ich idee należy wprowadzać w życie z karabinem w dłoni, Amerykę zamieszkują (i rządzą nią) biali faszyści, a dla walki z faszyzmem poświęcić warto wszystko, nawet życie. Nie jest to przesłanie filmu propagandowego Mosfilmu z lat 50. XX w., wyprodukowanego na zlecenie Stalina, lecz obrazu nagrodzonego w tym roku dwoma Oscarami (najlepsza rola drugoplanowa męska i muzyka).

Mieliśmy w ostatnich latach kilka niepokojących filmów: „Czarne bractwo. BlackKkKlansman" Spike'a Lee sugerowało, by czarnoskórzy Amerykanie przygotowywali się do wojny rasowej. W „Billie Holiday" stawiano tezę, że rząd amerykański, a dokładnie FBI, skonstruował spisek zmierzający do mordowania najbardziej wartościowych przedstawicieli mniejszości. „Judasz i Czarny Mesjasz" przesuwa granice jeszcze dalej: to wprost pochwała przemocy i marksizmu, hymn ku czci terrorystycznej organizacji Czarne Pantery, notorycznie przedstawianej teraz przez Hollywood jako coś na kształt szlachetnej partyzantki działającej w dyktaturze. Cóż, żyjemy w czasach, kiedy nawet terroryści z Hamasu opisywani są przez lewicowe media jako humaniści troszczący się głównie o potrzeby socjalne swych pobratymców. Gdzie są granice tego szaleństwa?

Pisał celnie kilka tygodni temu Łukasz Adamski w internetowym tygodniku TVP Info, że słuszny gniew czarnoskórych Amerykanów domagających się zadośćuczynienia za czasy pogardy zagrabiony został przez marksistów. Film „Judasz i Czarny Mesjasz" przypomina natomiast o tym, że nie są to związki nowe. Od początku najbardziej radykalne odłamy ruchu antyrasistowskiego penetrowane były – jeśli nie po prostu tworzone – przez ekstremistów marksistowskich oraz (w przypadku Nation of Islam) ekstremistów religijnych. Jeśli ktoś krytykuje tych ostatnich, to tylko dlatego, że zagięli parol na Malcolma X, świeckiego świętego Afroamerykanów, także postać mocno kontrowersyjną.

Reżyser Shaka King nominowany został za „Judasza..." do Oscara w kategorii najlepszy film i najlepszy scenariusz. Chciałbym wierzyć, że był to jedynie wyraz stadnej głupoty wywołanej przez polityczną poprawność. Obawiam się jednak, że to objaw ciężkiej choroby trapiącej współczesną Amerykę. ©℗

NOWE SERIALE: „THE WALKING DEAD"

Każda saga ma swój koniec i oto nadchodzi spektakularny i obszerny (24 odcinki) finał serialu „The Walking Dead", najpopularniejszej opowieści postapokaliptycznej o zombi, jaką wydała popkultura. Po starciu z Szeptaczami (sezon 10) nadchodzi czas na kolejne wyzwanie. W spustoszonym świecie funkcjonuje – czego wcześniej nie wiedzieliśmy – wspólnota zarządzająca wielką siecią lokalnych społeczności, którym udało się przetrwać apokalipsę. Jak do tego doszło, co trzyma w ryzach kilkadziesiąt tysięcy ludzi i co oznacza to dla bohaterów serialu – czas na odpowiedź. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***sezon 11 „The Walking Dead", USA 2021***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 2* ***„See"***, *USA 2021* tv+

• *sezon 1* ***„Tropiciele" („Trackers")***, *RPA 2020*

• *reż. Tanya Wexler* ***„Zwarcie" („Jolt")***, *USA 2021* prime video

eprasa.pl 81396aa6f1

Jak się je krewetki?

KINO

Nie zna życia, kto nie zaznał PRL. Z biegiem lat ubywa jednak naocznych świadków instalowania i utrwalania władzy ludowej nad Wisłą. Przewagę liczebną zdobywają ci, którzy mogą pamiętać co najwyżej schyłkowy okres państwa chłopów robotników oraz inteligencji pracującej. Kingę Dębską stan wojenny zastał w fazie dziecięcej, więc „Zupa nic" ma odczyn mocno sentymentalny. Film, trochę bez sensu reklamowany jako prequel tragikomedii „Moje córki krowy", jest samodzielną opowieścią. Adam Woronowicz nie naśladuje Mariana Dziędziela, tworzy własną, arcydzielną kreację.

Anglosasom ejtisy kojarzą się z AIDS, Reaganem, panią Thatcher i pieriestrojką. Polska, rządzona przez generała Hamleta, zezowała w stronę Zachodu, lecz była raczej bytem wsobnym. Udręki życia codziennego skutecznie przesłaniały resztę rzeczywistości. Film Dębskiej dobrze to ilustruje, nawet jeśli chwilami zbliża się do poetyki rodem z „Czterdziestolatka". Karwowscy, egzemplifikacja gierkowskiego pseudodobrobytu, zmagali się z wydumanymi problemami. Elżbieta i Tadek to ludzie z krwi i kości. Stoją w kolejkach, marzą o fiacie 126p i wakacjach w Bułgarii, nie znają smaku owoców morza. Z systemem, premiującym oportunistów i cwaniaków, są na bakier, ale z partyjnym szwagrem wódki się czasem napiją. W końcu to rodzina. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. KINGA DĘBSKA
„ZUPA NIC"
POLSKA 2021

wyst. Kinga Preis, Adam Woronowicz, Ewa Wiśniewska

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WOJNA RÓŻ

KINO

Madame Vernet jest podupadłą florystką, lecz nie potrafi się z tym pogodzić. Zmuszona przyjąć do pracy uczestników programu „społecznej reintegracji" rychło im udowodni, że rymowanka Francja-arogancja wciąż trafnie opisuje rzeczywistość. Jak scementować ekipę, złożoną z kryminalisty oraz życiowych nieudaczników? Namówić ich na skok godny gangu Olsena. Obsesja bohaterki – wyhodowanie tytułowego „doskonałego kwiatu" – jest pretekstem do pochylenia się nad niedolą małych firm, przegrywających rywalizację z bezdusznymi rekinami biznesu. W branży różanej (jak w każdej innej) dobrze mieć nosa, ale jeszcze lepiej talent marketingowy. W show-biznesie dodatkowo można liczyć na wykonawców umiejących tchnąć życie nawet w banalny scenariusz. To właśnie przypadek komedii Pinauda, który za uratowanie filmu powinien wręczyć aktorom po wielkim bukiecie i flaszce dobrego, francuskiego wina.

★★★☆☆☆

REŻ. PIERRE PINAUD
„USŁANE RÓŻAMI" („LA FINE FLEUR")
FRANCJA 2020

wyst. Catherine Frot, Manel Foulgoc, Fatsah Bouyahmed

SEN O WOLNOŚCI

HBO GO

Inkasent wodny próbuje sprawdzić liczniki w posępnym gmaszysku bez okien, do którego można wejść, ale wyjść z niego już nie bardzo. Zrozumienie, że może spędzić tu resztę życia, zabierze biedakowi trochę czasu. Dom zaludniony jest przez szaleńców, autystów i dziwaków. Jedni są obojętni, inni wrodzy, jeszcze inni na siłę próbują się zaprzyjaźnić – jak to w społeczeństwie. Kluczem do bramy dysponuje dozorczyni, choć brakuje pewności, czy ktoś taki w ogóle istnieje. Film jest hermetyczny, czerpie z poetyki kafkowskiej, a czasem wręcz dantejskiej. Fani twórczości De Chirico, Magritte'a i Beksińskiego nie będą żałowali dwóch godzin spędzonych przed ekranem, gorzej z realistami twardo stąpającymi po ziemi. „Myślisz, że ludzkość zmierza we właściwym kierunku?" – zagaja jeden z pensjonariuszy upiornego więzienia. To się nazywa pytanie retoryczne. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

RREŻ. JONAS KÆRUP HJORT
„PRZEDOSTATNI" („NÆSTSIDSTSE")
DANIA 2021

wyst. Joen Højerslev, Joen Bille, Anne Fetting

GRA TYGODNIA: „HUMANKIND"

Jeśli ktoś myśli, że „Humankind" to bezczelna kopia „Cywilizacji", to ma rację. Ale tylko częściowo. Tak, gry są bliźniaczo podobne do siebie, a twórcy „Ludzkości" czerpali całymi garściami z króla gatunku. Ale po trosze próbowali też wymyślić koło na nowo. O dziwo – udanie. „Humankind" ma bowiem kilka świetnych mechanik. Za mało tu miejsca, by się o nich rozpisywać, wspomnę tylko o jednym rozwiązaniu. Gra nie zmusza nas już w erze kamienia do wyboru jednej cywilizacji, która towarzyszy nam aż do podboju kosmosu, ale na przestrzeni wieków mieszamy różne kultury.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

Oczywiste, gdy już ktoś na to wpadnie. Coś czuję, że w przyszłości ściągający i dający ściągać będą zamieniać się miejscami. ©℗ ***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** ***Strategiczna***
- ***Platforma:*** ***PC***
- ***Producent, dystrybutor:*** ***Amplitude Studios, SEGA***

eprasa.pl 81396aa6f1

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Błok – poeta wyjątkowy

Sto lat temu zmarł jeden z najwybitniejszych poetów rosyjskich, czołowa postać tzw. srebrnego wieku literatury rosyjskiej, twórca głośnych poematów „Dwunastu" i „Scytowie", niezrównany liryk – Aleksander Błok. Dobry to czas, by przypomnieć jego twórczość (i arcyciekawe życie), a świetną po temu okazję stworzył Państwowy Instytut Wydawniczy, wydając obszerny wybór jego wierszy, artykułów i szkiców w przekładzie, wyborze, z przedmową i przypisami Adama Pomorskiego.

W twórczości autora „Nieznajomej" szczególną rolę odgrywali Polska i Polacy. Swego czasu Adam Galis napisał nawet książkę poświęconą wyłącznie tym polskim tropom w jego życiu i dorobku twórczym. Naprawdę, choć wielokrotnie spotykałem się z mylną informacją, jakoby poeta urodził się w Warszawie, spędził nad Wisłą tylko 18 dni w 1909 r., kiedy przyjechał do Warszawy, by zobaczyć się z ciężko chorym, przebywającym w szpitalu ojcem. Spóźnił się, tego samego dnia Aleksander Lwowicz Błok, profesor prawa Uniwersytetu w Warszawie, umarł. Syn pochował go na cmentarzu prawosławnym na Woli, poznał jego znajomych, a i swoją przyrodnią siostrę Angelinę, wywiózł z mieszkania ojca co cenniejsze meble, wziął udział w podziale znacznego majątku zgromadzonego przez – najdelikatniej mówiąc – oszczędnego ojca, a wieczory spędzał na włóczęgach po mieście i, co tu ukrywać, pijaństwach. Dostrzegł jednak wiele, a jeszcze więcej zrozumiał. Napisał potem w trzeciej części niedokończonego poematu „Odwet":

Czy nie tak, też i ty, Warszawo,
Dumo pyszniących się Polaków,
Zasnęłaś, ogłuszona wrzawą
Rosyjskich chamów i żołdaków?
Życie się gdzieś w podziemiu gniecie,
W pałacach magnaterii głucho...

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Pan Mróz jedynie z zawieruchą
Ujeżdża z kąta w kąt po świecie.

Sześć lat po śmierci Aleksandra Błoka w artykule otwierającym numer „Wiadomości Literackich" z 11 września 1927 r. Sergiusz Kołakowskij pisał: „Nie ma w Błoku nic z bolszewika ani z komunisty, ani nawet z »Eurazjaty«. Jest on poetą, o którym Puszkin powiedział: »Dorogoju swobodnoj idi, kuda wlieczet tibia swobodnyj um«". O poemacie „Dwunastu" utrzymywał zaś, że powstał on „na gruncie ideologii poety, skrystalizowanej już w latach 1906–1907 przy udziale pewnych wpływów słowianofilskich, w swoisty sposób zdeformowanych. Chrystus, zjawiający się w końcowym ustępie »Dwunastu«, mimo całej swej zagadkowości, przypomina Chrystusa w zakończeniu »Nie-Boskiej komedii« Krasińskiego".

W przekładzie Adama Pomorskiego ten głośny finał „Dwunastu" brzmi tak:

... Idą twardo, władczym prawem –
Z tyłu – głodny pies przez pole,
Przodem – ze sztandarem krwawym,
Niewidzialny wśród zamieci,
Że i kula nie doleci,
Lekko, ponad wiatru gwizd,
W śnieżnych pereł gwiezdnym kole,
W białej wstążce róż na czole –
Całopalny Jezu Chryst.

Zważywszy na to, że tytułowych „Dwunastu" idzie równym, rewolucyjnym krokiem, bez krzyża, z karabinem w ręku, by „kropnąć" Świętą Ruś – „strupieszałą, zapyziałą, grubozadą", poemat potraktowali jako bluźnierczy zarówno prawowierni chrześcijanie, jak i bolszewiccy nieprzyjaciele Pana Boga, oburzeni wprowadzeniem do wiersza postaci Jezusa. A generalnie Aleksandrowi Błokowi miano za złe wszystko, ale że stosukowo młodo zmarł (w wieku 40 lat), nagle się okazało, że niemal każdemu było z nim po drodze, a grafomańscy socrealiści usiłowali nawet zrobić z niego „towarzysza drogi", ale było to już zbyt grubymi nićmi szyte, by ktokolwiek myślący dał się na tę manipulację nabrać. Nie zmienia to jednak faktu, że długo funkcjonowała rzekoma triada wielkich poetów rewolucyjnych Rosji sowieckiej: Jesienin – Błok – Majakowski.

Wyrywano z kontekstu zdania Błoka mające świadczyć o jego aprobacie dla bolszewizmu, a były one jedynie stwierdzeniem końca epoki, której z całą pewnością nie żałował. Dlatego w maju 1918 r., odpowiadając na ankietę „Co teraz robić?", akcentował: „... Rosji, jaka była – nie ma i nigdy już nie będzie, Europy, jaka była, nie ma i nie będzie. I ta, i tamta być może pojawią się w dziesięciokrotnej grozie, w której żyć się nie da. Lecz tego rodzaju grozy, jaka była, już nie będzie. Świat wszedł w nową erę".

Był artystą z Bożej łaski, świadomym swej wyjątkowości. Czytelników odsyłam w tym miejscu do przedmowy Adama Pomorskiego, którą jednak radziłbym przeczytać dopiero po lekturze utworów Błoka. Romantycznych, symbolicznych, miłosnych (kobiety w życiu poety, włącznie z apoteozowaną żoną Lubow, córką wybitnego chemika Mendelejewa, to temat odrębny; powiadał, że w życiu miał 200, może 300 kobiet, które łączyło to, że nie były tą jedyną, a „ta jedyna" przyznawała, że ich małżeństwo było fikcją, jej romanse zresztą też były liczne). Tej poezji nie da się zapomnieć. ©℗

★★★★★★

ALEKSANDER BŁOK
„NAD OTCHŁANIĄ CHYBOCĄC SIĘ W LOCIE"
PIW, WARSZAWA 2021

eprasa.pl 81396aa6f1

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Na granicy światów

Wyprawa Psyche do podziemnego świata jest tylko jedną z niezliczonych przygód tego rodzaju, które są udziałem bohaterów baśni i mitów" – pisał Joseph Campbell w słynnej pracy „Bohater o tysiącu twarzy". Porównał on podania z rozmaitych kręgów kulturowych, destylując z nich wspólne elementy układające się w uniwersalną opowieść. Bohater, wytrącony ze zwykłego życia (i świata), staje twarzą w twarz z nowym wyzwaniem, z nieznanym. Musi zstąpić do podziemi, aby ponownie nawiązać kontakt z siłami przedludzkimi i zetrzeć się z nimi i/lub zostać przez nie odmienionym. Przygody w otchłani, konfrontacja z nieznanym, powrót po przemianie (odrodzenie/zmartwychwstanie) i ostateczny triumf – oto mityczna opowieść wspólna dla całej ludzkości.

Wszystko to stało się zaadaptowaną potem przez twórców popkultury kliszą (George Lucas wprost mówił, że dzieło Campbella zainspirowało go do stworzenia „Gwiezdnych wojen"). Struktura wywiedziona z Campbella to dziś podstawa wszystkich liczących się podręczników pisania scenariuszy filmowych. Ale z faktu, że coś jest popularne albo upraszczane, nie wynika jeszcze, że jest nieprawdziwe. U źródła tez Campbella, nawet jeśli wielu poddaje je krytyce, leży coś poważniejszego, głębszego, pierwotnego.

Will Hunt dociera do tej prawdy od drugiej strony. Nie zaczyna od badań porównawczych nad mitami, jego podróż do podziemi to owoc dziecięcych fascynacji i pasji, które potem przeradzają się w dzieło życia. Podróż za podróżą, z kontynentu na kontynent, tylko po to, by badać, co jest pod powierzchnią, w bardzo różnym zresztą towarzystwie: archeologów, naukowców, tubylców. Jego relacje nie są ani reportażem, ani opracowaniem historycznym, ani przewodnikiem turystyki ekstremalnej. Łącząc w sobie wszystkie te cechy, zamieniają się w głęboką medytację nad znaczeniem podróży. Hunt zstępuje do katakumb Paryża. Wkracza w Boliwii do kopalni srebra, by odkryć kult pana kopalni. Na półwyspie Jukatan zgłębia sekrety wierzeń Majów, ogarniętych obsesją podziemia. Przygląda się prehistorycznym malunkom na ścianach jaskiń, idzie śladami nowojorskiego poety graffiti, który opisał swoje życie w serii malunków ukrytych w rozmaitych miejscach podziemnej sieci transportu. W poszukiwaniu bogów, w poszukiwaniu najgłębszych lęków, w poszukiwaniu lustra naszej duszy. Cudowna to podróż i głęboko niepokojąca. ©℗

★★★★★☆
WILL HUNT „PODZIEMIE. ŚWIAT POD NASZYMI STOPAMI" MARGINESY 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Jak Wszechświat wyszedł z mroku", czyli o pierwszym miliardzie lat istnienia Kosmosu. Co musiało się wydarzyć, by przybrał znany nam (mniej więcej) kształt? Odpowiada młoda brytyjska doktor fizyki oraz popularyzator nauki.

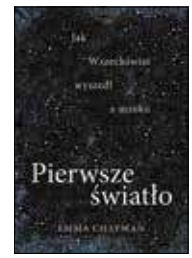

EMMA CHAPMAN „PIERWSZE ŚWIATŁO" MUZA 2021

Druga powieść przyszłego norweskiego noblisty (ukazała się w 1892 r.). Prowincjonalne miasteczko poruszone zostaje przybyciem ekscentrycznego Johana Nagela, szokującego miejscowych nie tylko otwartością opinii.

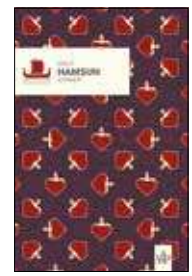

KNUT HAMSUN „SZARADY" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE 2021

Obszerny album dokumentujący postać na znaczkach pocztowych świata w latach 2005–2015 (1,4 tys. walorów z 101 krajów). Wcześniej ukazał się tom o latach 1978–2005. Owoc pasji kolekcjonerskiej ks. prof. Chrostowskiego.

KS. WALDEMAR CHROSTOWSKI „ŚWIĘTY JAN PAWEŁ II" BIAŁY KRUK 2021

61 listów wymienionych między poetą a zapomnianym nieco dziennikarzem, redaktorem, malarzem. Plus krótki tekst Herberta o wierszach Święcickiego (kilka z nich znalazło się w tomie, podobnie jak reprodukcje jego obrazów). ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

ZBIGNIEW HERBERT, HENRYK ŚWIĘCICKI „LISTY 1951–1967" ZNAK 2021

KOMIKS TYGODNIA: „NIESAMOWITY SZERLOK WORMS"

I kto powiedział, że Polacy nie potrafią łączyć rozrywki z edukacją? Przezabawna opowiastka o świecie owadów napisana i narysowana przez nauczyciela biologii. Zagadkę porwania królowej mrówek oraz królowej pszczół próbuje rozwiązać najdziwniejszy detektyw świata: dżdżownica (robaczy detektyw Szerlok Worms), której jako odpowiednik Watsona towarzyszy doktor Zwinka, redaktor naczelny gazety „Jaszczurka Codzienna". Lekki, absurdalny humor połączony z wielką dawką wiedzy czyni z tego komiksu idealną pomoc edukacyjną na wakacje. ©℗

poleca Piotr Gociek

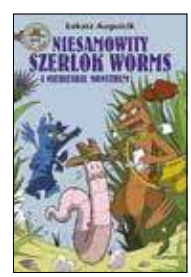

ŁUKASZ AUGUŚCIK „NIESAMOWITY SZERLOK WORMS I NIEBIESKIE MONSTRUM" EGMONT 2021

eprasa.pl 81396aa6f1

FOT. OBRASQI/FACEBOOK

Dopowiedzenia

Monika Dejk-Ćwikła – śpiew, gitara basowa i teksty, Artur Wolski – gitary, klawisze, looper (muzyka) oraz Jarosław Bielawski – perkusja. W tym składzie pomorskie trio Obrasqi zaczęło tworzyć i grać w 2019 r., balansując między gatunkami, ocierając się o rock, indie pop, muzykę akustyczną, elektronikę. Miszmasz, jakich dziś wiele, ale zespołowi udało się wyróżnić, został zauważony, całkiem nieźle sobie poczynając na ogólnopolskich antenach i listach przebojów. – Gramy ze sobą od paru lat w różnych składach i nadszedł ten moment, może dojrzałość, aby opowiedzieć naszą własną muzyczną historię. Postanowiliśmy stworzyć muzykę, która w nas siedziała, nie zakładając, że wpasuje się w konkretny styl czy modę – mówiła portalowi trójmiasto.pl w jednym z najwcześniejszych wywiadów Monika Dejk-Ćwikła. A Artur Wolski dodawał: – Takich zespołów jak my – niezależnych – jest sporo i każdy boryka się z tym samym: kto nas zna, kto poznał, kto skojarzy nazwę, aby przyjść na koncert. Wydając płytę samodzielnie, bez możliwości zaistnienia jako support znanego wykonawcy i bez dużych nakładów na promocję, nie ma szans na trasę. Takie są realia, ale to wcale nie zniechęca do robienia swojego. Nikt nie wie, co się wydarzy.

Niecałe dwa lata od wypowiedzenia tych słów Obrasqi mają na koncie epkę „Porzeczkowy" (wydaną w 2020 r.) oraz płytę długogrającą, którą nazwali „Dopowiedzenia". – Płyta zaczyna się mrocznie, to jest taki zabieg eksperymentalny. Na środku jest utwór instrumentalny „Fenix" i potem płyta staje się coraz jaśniejsza tekstowo i brzmieniowo. Kończymy pozytywnym trochę sentymentalnym utworem „Iskierki" – mówiła na antenie Trójki o „Dopowiedzeniach" Monika Dejk-Ćwikła. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Duszne piękno

Brandon Flowers, lider The Killers, wspominając rodzinne Nephi w stanie Utah, sugestywnie opisuje amerykańską prowincję. Piosenki odsłaniają ciemną stronę wyimaginowanego Sam's Town, miasteczka przyczep samochodowych. Miejsca depresji, fundamentalizmu, desperacji i przemocy.

Flowers wciela się w robotników, narkomanów, nastolatków samobójców, błogich odludków i z ich perspektywy pokazuje życie mieszkańców, którzy nie przejmują się tym, że „nigdy nie widzieli oceanu". W tym miejscu świata nikt bowiem nie zamyka drzwi w nocy, a w duszach bogobojnych ludzi panuje poczucie dumy. Ten duszny świat skromnych ludzi wyrażony w piosenkach jest jednocześnie dziwnie urzekający i serdeczny. Te mikropowieści, momentami w stylu Bruce'a Springsteena, zwyczajnie poruszają, jak choćby intymnie piękne „Runaway Horses", w której Flowers wraz z wokalistką Phoebe Bridgers opowiadają o trudnym dojrzewaniu dziewczyny z rodeo.

W tych ważkich migawkach z życia zespół stawia na prostotę, używając głównie gitar akustycznych, ustnej harmonijki, smyczków i skromnego zestawu perkusyjnego. Może to być rozczarowujące dla fanów zespołu lubujących się w syntezatorowych nawałnicach, iskrzących gitarach i galopującej perkusji. Z drugiej strony skupienie się na treści i nastroju sprawia, że jest to najbardziej dojrzały album w katalogu Zabójców. ©℗

★★★★★☆

THE KILLERS
„PRESSURE MACHINE"
ISLAND

★★★★★☆

RJENNIFER HUDSON
„RESPECT (ORIGINAL MOTION PICTURE SOUNDTRACK)"
EPIC

Debiutowała w amerykańskim „Idolu", w 2006 r. zdobyła Oscara za „Dreamgirls". Teraz zagrała Arethę Franklin w filmie „Respect". Choć uchwyciła niektóre manieryzmy i akcenty królowej – zwłaszcza gdy piosenki wymagają uniesienia – jej głos jest równie wyjątkowy.

★★★★★☆

YOLA
„STAND FOR MYSELF"
EASY EYE SOUND

Czarnoskóra Brytyjka, Yolanda Quartey, współpracując z Danem Auerbachem (Black Keys), łączy tradycje soulu z popem i country z przełomu lat 60. i 70. „Stand for Myself" to album z dużą siłą emocjonalnego rażenia, ale potrafi też być miękki jak wełniany koc. ©℗

eprasa.pl 81396aa6f1

Krzysztof Masłoń

Michał Wiśniewski podczas występu na Festiwalu Weselnych Przebojów Mrągowo 2021 FOT. TELEWIZJA POLSAT

Festiwale, festiwale

W Polsce Ludowej festiwalomania, zwana kwitnącą, była odpowiedzią na artykułowane przez naród żądanie: „Chleba i igrzysk". Tego pierwszego brakowało, festiwali był za to nadmiar, co – gdy już tego nie zabraniano – wyśmiał salon warszawski, kpiąc z siebie samego w widowisku „Big Zbig Show" z genialnym podówczas Zbigniewem Zamachowskim wcielającym się w najrozmaitsze gwiazdy śpiewaczych imprez organizowanych w miesiącach letnich, jak kraj nasz długi i szeroki – z Zieloną Górą i Kołobrzegiem na czele.

Dziś żyjemy w innej Polsce, ale nie wszystko się w niej zmieniło. Na koncercie przebojów weselnych w Mrągowie – nie wiadomo dlaczego nazwanym festiwalem polsatowskim – wyróżnił się artysta Wiśniewski Michał, który po zaprezentowaniu swych znanych od ćwierć wieku szlagierów przeszedł z języka polskiego na włoski, by utworem słowno-muzycznym „Bella ciao" porwać do tańca 4 tys. widzów zgromadzonych w amfiteatrze nad jeziorem Czos. Tym samym pieśń, której nad Wisłą totalna opozycja zaplanowała karierę równą „Murom", a osobiści nieprzyjaciele Pana Boga zakłócali jej dźwiękami nabożeństwa kościelne, znalazła należne sobie miejsce między „Szaloną" grupy Boys a „Kolorową sukienką" ansamblu Piękni i Młodzi.

W tym miejscu prostuję dezinformację, jakoby na Festiwalu Weselnych Przebojów wystąpił Zenek Martyniuk. Tego ukochanego przez naród śpiewaka w Mrągowie nie było, za to innych ulubieńców mas, czyli Trubadurów, wzmocnił syn zmarłego Krzysztofa Krawczyka – Krzysztof Krawczyk junior, ślicznie wznosząc oczy do nieba i zapewniając, jak mu dobrze w towarzystwie panów Kowalewskiego i Lichtmana, wespół z którymi prosił mamę, by przyjechała na przysięgę. Publice bardzo się to podobało, choć – jako żywo – z przebojami weselnymi nie miało nic wspólnego, w przeciwieństwie do podanej wiadomości o małżeństwie gwiazdy Polsatu Krzysztofa Ibisza.

Nie zaanonsowano natomiast innego ożenku, a to artysty Piasecznego Andrzeja, który jednak – jak wieść niesie – zaślubiny weźmie na obczyźnie, w naszym zacofanym kraju jest to bowiem, jak dotąd, niemożliwe. Popularny Piasek wystąpił na razie na TVN-owskiej imprezie Top of The Sopot Festival. Z trzech dni festiwalowych wyjątkowe znaczenie miała urodzinowa feta stacji z ulicy Wiertniczej – „TVN24. Nasze 20-lecie" – poprowadzona przez Piotra Kraśkę i Monikę Olejnik. Ta ostatnia wywiązała się z zadania wyśmienicie, rozprawiając się z rekordami konferansjerskiej długowieczności ustanowionymi jeszcze w zamierzchłej epoce PRL przez Irenę Dziedzic, która w 1980 r., zapowiadając sopockie porykiwanie nazwane Festiwalem Interwizji, kadrowana była – jak utrzymywano – przez pończochę, by ukryć zmarszczki na twarzy tej 55-letniej wówczas telewizyjnej gwiazdy. O 10 lat starsza Monika Olejnik żadnego wspomagania ze strony kamerzystów nie potrzebowała, co poza wszystkim innym dowodzi niebywałego rozwoju chirurgii plastycznej.

Publiczna telewizja zajęta ostatnio zgoła innym festiwalem, a mianowicie Jasną Stroną Mocy. Festiwalem Muzyki Chrześcijańskiej, już zwiera szyki przed Festiwalem Piosenki Polskiej w Opolu, organizowanym kiedyś pod koniec czerwca, a ostatnio – jak Bóg da – w tym roku od 3 do 6 września. Na razie nie słyszy się o tym, że koncerty w opolskim amfiteatrze poprowadzą Danuta Holecka i Adrian Klarenbach. Co nie znaczy, że nie czekają nas pod tym względem niespodzianki, że aż strach się bać.

Jeszcze trochę, a minister Mariusz Błaszczak reaktywuje Festiwal Piosenki Żołnierskiej, niekoniecznie w Kołobrzegu (sugeruję Legionowo), ale z pewnością ze znaczącym udziałem Wojsk Obrony Terytorialnej. Nie widać perspektyw przed ożywieniem trupa, czyli Festiwalu Piosenki Radzieckiej i Rosyjskiej, ale warto może przemyśleć ideę całkiem nowej, jakże kulturotwórczej imprezy, którą byłby Festiwal Piosenki Niemieckiej. Dziś pewnie idea ta natrafiłaby na sprzeciw zastraszonych przez PiS urzędników, ale jutro, gdy taki festiwal, nazwany – powiedzmy – „Powrócisz tu", odbywałby się w sopockiej Operze Leśnej pod wysokim patronatem samego Donalda Tuska z zapewnionym wsparciem prezydent Gdańska Aleksandry Dulkiewicz, dźwięki nowoczesnych interpretacji tak budujących utworów jak „Die Fachne Hoch" rozbrzmiewałyby po całej Polsce. Już sobie wyobrażam, jak festiwalowi wykonawcy zagrzewaliby publiczność do zabawy, skandując: „Rączki w górę, rączki w gorę". Zaraz, zaraz, jak brzmiałoby to w języku naszych zachodnich przyjaciół? ©℗

eprasa.pl 81396aa6f1

Siła Pfizera

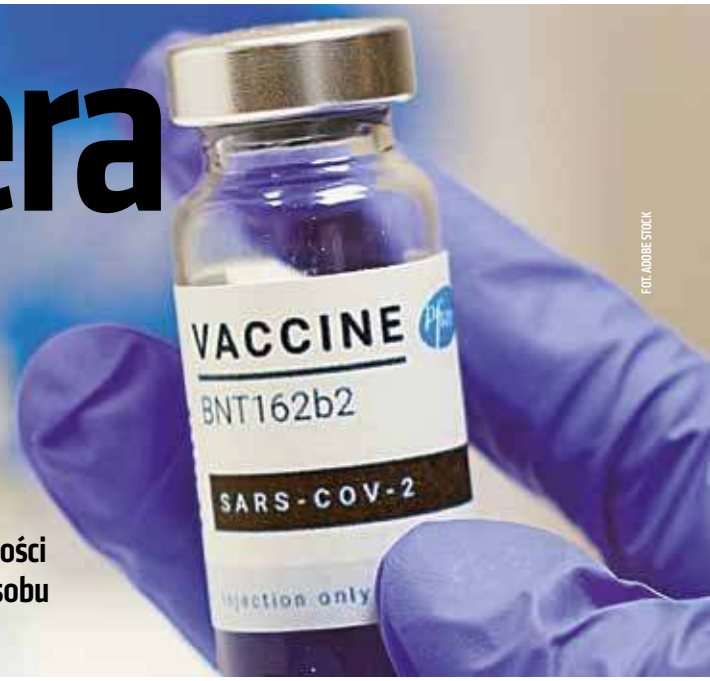

FOT. ADOBE STOCK

Wojciech Golonka

Publikacja kontraktów Pfizera na sprzedaż i dostawę szczepionek przeciw COVID-19 budzi uzasadnione wątpliwości co do godziwości zawieranych przez państwa umów i sposobu prowadzenia kampanii szczepień

Pod koniec lipca różne portale internetowe powieliły treść dokumentu domniemanej umowy między rządem Albanii a firmą Pfizer na zakup i dostawę szczepionek przeciw COVID-19. Do wiadomości publicznej podano wątki budzące kontrowersje: klauzule maksymalnej poufności (czyli brak transparentności), wykluczenie jakiejkolwiek odpowiedzialności potentata farmaceutycznego oraz oświadczenie o nieznanych długofalowych skutkach preparatu (aspekt bezpieczeństwa).

Czy informacje, które wypłynęły na światło dzienne i wywołały poruszenie w mediach społecznościowych, są rzeczywiście wiarygodne? Tak, i to z kilku powodów. Przede wszystkim w tym samym czasie autentyczność upublicznionych treści została potwierdzona dzięki poszukiwaniom Ehdena Bibera z Anglii, które mieliśmy sposobność zweryfikować.

Z ALBANII DO EUROPY PRZEZ BRAZYLIĘ

Angielska wersja domniemanej umowy między rządem Albanii a firmą Pfizer na dostawę szczepionek została upubliczniona na albańskim portalu Gogo.al już w styczniu, ale nie odbiła się wówczas szerszym echem. Jej nagłośnienie w lipcu zrodziło pytanie: Na ile opublikowany dokument jest wiarygodny? Ehden Biber, specjalista od cyberbezpieczeństwa, dotarł do zapisu umowy kontraktowej nr 52/2021 między rządem Brazylii a firmą Pfizer z marca, dostępnej na stronie internetowej brazylijskiego ministerstwa zdrowia (baza SEI, dok. nr 0019624455) w językach portugalskim i angielskim – i rzeczywiście, zarówno co do struktury umowy, jak i zapisów poszczególnych akapitów oba dokumenty – brazylijski i opublikowany na albańskim portalu – są zbieżne i identyczne co do istoty treści, znikome zaś różnice wskazują, że dokument po prostu dostosowano do nowego kontrahenta. Zresztą najprostszym sposobem na znalezienie tej oficjalnej brazylijskiej umowy jest wpisanie w wyszukiwarkę internetową cytatów z umowy albańskiej, a wyniki zaprowadzą nas właśnie na stronę brazylijskiego ministerstwa zdrowia. Brazylijski dokument zawiera dodatkowo podpisy elektroniczne oraz kody umożliwiające dostęp do niego w internetowym rejestrze dokumentów ministerstwa, stąd jego autentyczność jest niepodważalna (w chwili przygotowywania niniejszej analizy dokument ten był wciąż dostępny w sieci).

Biber natrafił także na nagranie Carlosa Murillo, obecnie prezesa Pfizera na Amerykę Łacińską, a wcześniej – na Brazylię, który 13 maja zeznał przed brazylijską komisją śledczą ds. COVID-19, że warunki umów Pfizera z różnymi krajami na świecie są standardowe i co do zasady te same (nie miał jednak na myśli samej ceny sprzedaży). Tym samym zarówno brazylijski oryginał, jak i umowa z rządem Albanii wiarygodnie odzwierciedlają warunki, na jakich Pfizer sprzedaje i dostarcza szczepionki innym krajom, również w Unii za pośrednictwem Komisji Europejskiej. Warto zatem przyjrzeć się bliżej tym kontrowersyjnym zapisom.

KTO DYKTUJE WARUNKI?

Wspomniane umowy składają się z 12 sekcji obejmujących definicje, dostawę produktu, cenę i płatności, standardy wytworzenia i zapewnienie o jakości, oświadczenia i gwarancje, okres trwania umowy i jej ustanie, własność intelektualną, odszkodowania, ubezpieczenie i odpowiedzialność, informacje poufne oraz różne zapisy końcowe. Kilka dodatków obszernie porusza kwestie przechowywania i podawania szczepionek, wątki logistyczne, a także zawiera standardowe formularze.

Przechodząc do zapisów, które budzą największe kontrowersje, cytując chronologicznie w swobodnym, ale wiernym co do istoty tłumaczeniu, z umowy brazylijskiej dowiadujemy się już na wstępie: „Zakupujący stwierdza i uznaje, że (i) wysiłki Pfizera, aby wyprodukować Produkt są procesem z natury narażonym na poważne ryzyka i niepewności oraz że (ii) ewentualne wyprodukowanie i zatwierdzenie innego leku lub szczepionki, zapobiegających lub leczących infekcję COVID-19, wcześniej niż zatwierdzenie rzeczonego Produktu nie spowoduje zmiany obecnej nadzwyczajnej sytuacji potrzeby prewencji

eprasa.pl 81396aa6f1

rozprzestrzeniania się infekcji COVID-19, stwarzającej poważne zagrożenie dla życia i zdrowia populacji, wraz z dotkliwymi skutkami". Zapis ten pojawia się na samym początku umowy (2.1.b), po wstępnych definicjach, i ma zagwarantować dopuszczenie szczepionki Pfizera do użytku niezależnie od rozwoju sytuacji covidowej. Wynika to stąd, że „Produkt", którego badania bezpieczeństwa nie zostały dokończone (oficjalnie zakończą się w 2023 r.) został w wielu krajach dopuszczony do użytku warunkowo. W przypadku Unii Europejskiej niełatwo znaleźć dokładne brzmienie wspomnianego warunku, ale z oficjalnej definicji podanej na stronie Europejskiej Agencji Leków czytamy, że chodzi o „zatwierdzenie leku, który odnosi się do niezaspokojonych potrzeb pacjentów w oparciu o mniej wyczerpujące dane, niż normalnie jest to wymagane. Dostępne dane muszą wskazywać, że korzyści płynące z leku przewyższają ryzyko, a składający wniosek powinien być w stanie przedstawić w przyszłości wyczerpujące dane kliniczne". Co oznacza, że w przypadku istnienia innych skutecznych leków lub szczepionek, które przeszłyby wszystkie fazy badań, szczepionka Pfizera nie mogłaby być dopuszczona awaryjnie do użytku w Unii Europejskiej lub jej wcześniejsze dopuszczenie awaryjne powinno wygasnąć po roku.

Oczywiście jest zrozumiałe, że producent chce zabezpieczyć swój rynek zbytu i trwałość produkcji, ale obowiązkiem różnych instytucji jest czuwanie nad przestrzeganiem procedur bezpieczeństwa. W tym wypadku podobny zapis wymusza na kupującym uznanie, że wszelka zmiana sytuacji od strony dostępnych leków… nie będzie zmianą sytuacji. Taki surrealistyczny warunek jest prawdopodobnie nielegalny z punktu widzenia prawa, a jego akceptacja w umowie może prowadzić do sabotowania procedur zatwierdzania skutecznych, ale konkurencyjnych leków na COVID-19. Skoro bowiem podpisało się cyrograf z potentatem farmaceutycznym, gwarantujący mu de facto dostęp do rynku niezależnie od realnej sytuacji, to jedynym sposobem respektowania takiego zapisu w przypadku zmiany okoliczności jest albo luzowanie kryteriów awaryjnego dopuszczania leków, albo cichy, ale skuteczny sabotaż konkurencyjnych produktów, których zatwierdzenie wstrzymałoby zezwolenia dla Pfizera do czasu dokończenia przezeń wszystkich standardowych badań klinicznych. Zresztą już w kolejnym akapicie umowy sam producent zaznacza, że nie zostały one dokończone, a mimo jego wysiłków „Produkt może być nieskuteczny z powodu wyzwań lub usterek technicznych, klinicznych, regulacyjnych, produkcyjnych, transportowych, przechowywania bądź innych" (2.1.c).

Podobne zapisy tworzą podstawy do tego, aby co kilka miesięcy Pfizer oznajmiał – jak to już robi – że dla osiągnięcia lub podtrzymania pełnej odporności potrzebna jest kolejna, „enta" już z kolei dawka przypominająca.

ŁAPÓWEK NIE BYŁO, MOGĄ BYĆ ODSZKODOWANIA

Pfizer gwarantuje sobie immunitet w przypadku braku terminowych dostaw (2.1.d) oraz zabrania odsprzedawania szczepionek bez jego zgody.

W sekcji „Oświadczenia i gwarancje" (5) dowiadujemy się, że Zakupujący ma moc zobligowania państwa względem wszystkich zapisów umowy (a), która w żaden sposób nie koliduje z państwowym prawem (b). Najwyraźniej podpisujący podobne dokumenty urzędnicy mają nie mniejsze uprawnienia niż kard. Richelieu, jeśli kiedykolwiek rzeczywiście oznajmił owe słynne „państwo to ja". W odpowiedzi na zapewnienia Zakupującego padają uroczyste oświadczenia, że Pfizer nie dał i nie da łapówki urzędnikom państwowym, partiom czy decydentom politycznym (5.3.b), co przyjmujemy ostrożnie do wiadomości, aczkolwiek umieszczanie podobnych zapisów w umowie daje do myślenia odnośnie do panujących „zwyczajów" w procederze zatwierdzania produktów farmaceutycznych.

W ustępie 5.5. pojawia się kolejna, bardzo ważna deklaracja ze strony Zakupującego, który uznaje, że „szczepionka i materiały z nią związane są tworzone na prędko (rapidly) z powodu awaryjnych okoliczności pandemii COVID-19 i będą one wciąż przedmiotem badań po dostawie szczepionek Zakupującemu w ramach tej umowy. Zakupujący uznaje dodatkowo, że zarówno długotrwałe skutki, jak i skuteczność szczepionki nie są obecnie znane i mogą zachodzić niepożądane skutki szczepionki, które nie są obecnie znane". Oto kluczowe dane, które państwa najwyraźniej potwierdzają w umowie z Pfizerem, a następnie politycy, rządowi eksperci i eksperci samozwańczy od rana do wieczora powtarzają, że tego typu informacje są (ruską) dezinformacją, wątpiących zaś w stuprocentowe bezpieczeństwo preparatu oskarżają o zdradę.

Fajerwerki zawiera także paragraf „Odszkodowania ze strony Zakupującego" (8.1), który ustala, że Zakupujący ma pokryć jakiekolwiek roszczenia wobec Pfizera oraz całej galaktyki jego partnerów i podwykonawców, które mogłyby powstać w związku z wytwarzaniem, sprzedażą czy stosowaniem szczepionki, uwzględniając koszty procesowe etc. Na myśl przychodzą oczywiście odszkodowania w wyniku możliwych (choć ponoć w Polsce cudownie niezachodzących) niepożądanych odczynów poszczepiennych, ale zapis ten jest tak szeroki, a zarazem szczegółowy, że państwo musiałoby także pokryć odszkodowanie, które Pfizer byłby komuś winny za niezawinione z jego strony wykorzystanie cudzej własności intelektualnej – nie tylko przy produkcji samej szczepionki, lecz także np. w ramach działań marketingowych. Upraszczając zapis, mógłby on brzmieć: „Jakiekolwiek zasądzone odszkodowania zapłaci Zakupujący. Bez wyjątku i całkowicie". Nadinterpretuję? Otóż w paragrafie 9.4. Zakupujący w imieniu państwa „expressis verbis i nieodwołalnie zrzeka się jakiegokolwiek immunitetu, zarówno względem siebie, jak i swych zasobów" w związku z odpowiedzialnością prawną, którą zaciąga niniejszą umową. Na podstawie tego zapisu w przypadku nakazu sądowego z USA w razie potrzeby można będzie zająć jakąkolwiek własność państwa… z placówkami dyplomatycznymi włącznie? A czy trzeba w ogóle przypominać, że Pfizer niejednokrotnie wypłacał odszkodowania i kary idące w miliardy dolarów? I jak nazwać tupet podobnych zapisów, przy którym chłopcy z cosa nostry jawią się jako smarkata gówniażeria? A żeby nie było wątpliwości, w ustępie 9.5 Zakupujący oświadcza, że ma odpowiednie zasoby finansowe do realizacji ewentualnych roszczeń – bo podatnicy zapewne z pewnością ochoczo zapłacą za coś, na co nie mają najmniejszego wpływu.

CICHO SZA!

Umowa, ma się rozumieć, ma pozostać skrajnie maksymalnie poufna. Dziesiąta sekcja, która ten temat porusza, mogłaby się równie dobrze nazywać „gęba

eprasa.pl 81396aa6f1

w kubeł po wieczne czasy". Ujawniać osobom trzecim, czytaj obywatelom bądź pacjentom, można jedynie informacje, których umowa wyraźnie dopuszcza upublicznienie (takich zdaje się akurat w umowie nie ma). Ewentualne wycieki informacji mają być natychmiast obustronnie zgłaszane.

Producent (i vice versa) ma jednak świadomość, że mogą w tej kwestii pojawić się uprawnione naciski, wówczas zobowiązuje się kontrahenta do określonego postępowania mającego zminimalizować przekaz informacji – czytaj: ograniczyć współpracę z sądami czy uprawnionymi instancjami: „Jeśli Kontrahent jest zobowiązany ujawnić informacje poufne drugiej strony w związku z nakazem sądowym, dyrektywą rządową czy jakimkolwiek uprawnionym wnioskiem, to Kontrahent powiadomi drugą stronę o takim żądaniu, jak tylko to możliwe, zanim taka informacja poufna zostanie ujawniona, tak aby druga strona miała możliwość wystąpić o sądowe zabezpieczenie czy inny środek tudzież uniknąć realizacji wniosku w oparciu o zapisy tej umowy".

Kazuistyka ta jest następnie szczegółowo rozwijana: jeśli nie da się uniknąć wykonania nakazu udzielenia informacji, to trzeba ograniczyć go do minimum, a „w żadnym wypadku Zakupujący nie może ujawnić jakichkolwiek zapisów finansowych lub odszkodowawczych zawartych w tej umowie […] bez wcześniejszej pisemnej zgody Pfizera". Zapisy te w zupełności tłumaczyłyby, dlaczego np. w trakcie kontroli poselskiej wykonywanej przez Grzegorza Brauna w Urzędzie Rejestracji Leków spotkał się on z odmową udzielenia przez Urząd informacji odnośnie do danych Pfizera, w oparciu o które (i tylko o które) dopuszczono w Polsce jego szczepionkę do użytku dla dzieci. No dobrze. A co w przypadku ustania umowy? Chyba nawet zakup technologii militarnych nie jest owiany podobnymi tajemnicami, bo zazwyczaj wiadomo kto, co, za ile kupuje i na jakich warunkach. W tym wypadku jednak prawo omerty ma trwać przez 10 lat od zakończenia umowy, a w przypadku właściwej „tajemnicy handlowej" dopóty, dopóki pozostanie ona tajemnicą handlową (10.4). W końcu, last but not least, w przypadku arbitrażu sądowego, właściwą jurysdykcją będą jedynie sądy w Nowym Jorku w Stanach Zjednoczonych, co sprawia, że ewentualne zapisy niezgodne z prawem danego kraju i tak mogą być uznane za wiążące przed amerykańskim sądem.

W atmosferze psychozy medialnej dotyczącej epidemii koncern farmaceutyczny może dyktować prawo, a państwo przyjąć rolę marionetki

CZY JEST SIĘ CZEMU DZIWIĆ?

Trzeba by zupełnie odrzucić zasady podmiotowości i suwerenności państwa, aby uznać wymienione zapisy za godziwe, moralne i spełniające standardy partnerskiej współpracy biznesowej. Nie są one li tylko kontrowersyjne – są wprost skandaliczne. Wykraczają poza zrozumiałą wolę zabezpieczenia swoich interesów, a przywodzą na myśl mafijne oferty nie do odrzucenia. Tymczasem kryzys covidowy nie upoważnia państwa do aktów desperacji graniczących z szaleństwem.

Biorąc pod uwagę fakt, że w niedalekiej przeszłości Pfizer miał problemy z wymiarem sprawiedliwości za łamanie prawa (patrz np. jego ugoda z Departamentem Sprawiedliwości USA w 2009 r. na kwotę aż 2,3 mld dol. w związku z zarzutami o nieuczciwość handlową), podpisywanie podobnych umów jest tym bardziej szokujące, niedopuszczalne i rzutujące na autorytet państw i podlegających im instytucji, kapitulujących na całej linii przed dyktatem koncernu farmaceutycznego. A przecież wszystko wskazuje na to, że właśnie tego typu umowa, a przynajmniej w tym właśnie duchu, została zawarta także w naszym imieniu przez Komisję Europejską.

Z drugiej strony, niestety nie ma się za bardzo czemu dziwić, bo proces rozbrajania państwa z jego prerogatyw nadzoru farmaceutycznego trwa od lat, oczywiście pod zbożnym celem zdrowia populacyjnego. Na łamach „Do Rzeczy" pisałem już o sojuszu GAVI (The Global Alliance for Vaccines and Immunisation) założonym w 1999 r. Jest to projekt partnerstwa publiczno-prywatnego na rzecz zdrowia, przede wszystkim „zdrowia rynków zbytu". Misja przedstawiana na stronie internetowej GAVI brzmi bowiem wprost: „Kształtowanie rynków. Praca na rzecz poprawy zdrowia rynków pod kątem szczepionek i innych produktów immunologicznych". Sojusz ten, mający usprawnić receptywność rynków na rzecz producentów, jest więc w rzeczywistości organizacją szczepionkowego lobbingu. A ułatwienia te polegają m.in. na luzowaniu regulacji, tworzeniu programów obowiązkowych szczepień czy minimalizacji odpowiedzialności producentów.

Przeszło ćwierć wieku od powstania GAVI trzeba przyznać, że w okoliczności epidemii, a przede wszystkim w atmosferze psychozy medialnej dotyczącej epidemii, koncern farmaceutyczny może bezapelacyjnie dyktować prawo, a państwo ma przyjąć rolę marionetki. W następstwie czego koncern Pfizer sprzedaje słono produkt, o którym deklaruje, że może być z różnych przyczyn nieskuteczny, że jeszcze jest badany, że jego długofalowe bezpieczeństwo jest nieznane – i zarabia na tym miliardy dolarów czystego zysku, zwolniony z wszelkiej odpowiedzialności.

JAKA POLITYKA SZCZEPIEŃ

Niewykluczone, że zarówno niniejsza analiza, jak i inne krytyczne głosy wobec jedynych słusznych rozwiązań walki z koronawirusem wywołają klasyczne już w tych przypadkach napady histerii i standardowych oskarżeń o ruski onucyzm czy antyszczepionkowy terroryzm. Najwyraźniej dyżurni faryzeusze mniemają, że podmiotowe traktowanie ludzi i pacjentów, z szerokim dostępem do faktów pozwalających podjąć osobistą, przemyślaną decyzję, może zniechęcić do masowych szczepień. Dziwne to myślenie i lęk charakterystyczne dla zamordystów, a w każdym razie niebezpieczne i kontrproduktywne w kontekście mocno już nadwyrężonego zaufania obywateli do coraz bardziej sanitarystycznego państwa. Pokój społeczny wymaga bowiem przejrzystości, w ciemności zaś operują siły mające coś do ukrycia. Im bardziej więc – mimo braku podstaw, co jasno wynika z omówionych dokumentów – władza będzie dążyć do obowiązku szczepień lub forsować, na wzór naszych sąsiadów, środki przymusu pokroju przepustek sanitarnych, tym bardziej będą uzasadnione pytania, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi. Podpisywanie umów Pfizera, skonstruowanych w podobnym duchu, jest wystarczająco dużą wpadką: errare humanum est – perseverare diabolicum, darujmy więc sobie grzęźnięcie aż do piekieł.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 81396aa6f1

Rok oczekiwania na wpis do księgi wieczystej!

Urszula Hofman

Sebastian Juszczak

Obecny, bardzo długi czas oczekiwania na wpis do księgi wieczystej stanowi problem i jest niezadowalający z punktu widzenia osób fizycznych oraz podmiotów gospodarczych. Ciągnące się długimi miesiącami postępowania powodują ogromne trudności i problemy, tak po stronie deweloperów, jak samych nabywców. Brak wpisu prawa własności w księdze wieczystej nieruchomości stanowi przeszkodę w uruchomieniu finansowania dla inwestycji, która ma być na terenie nieruchomości realizowana. Wydłużenie czasu realizacji inwestycji to z kolei wyższe koszty kredytu, co przekłada się oczywiście na cały koszt zakupu mieszkania. Banki, do chwili wpisania obciążenia hipotecznego do KW, stosują wobec klientów podwyższone marże. Istnieje więc bezpośrednia zależność między chwilą ujawnienia wpisu w KW a kosztami kredytu, które ponosi kupujący.

Jednocześnie – jak podaje Ministerstwo Sprawiedliwości – czas procedowania wniosków o wpis do księgi wieczystej powinien się znacząco skrócić po zakończeniu rozpatrywania spraw związanych z wejściem w życie ustawy z dnia 20 lipca 2018 r. o przekształceniu prawa użytkowania wieczystego gruntów zabudowanych na cele mieszkaniowe w prawo własności tych gruntów oraz po ustabilizowaniu się sytuacji związanej z epidemią SARS-CoV-2. Niestety, okres oczekiwania na wpis do księgi wieczystej stale się wydłuża, dziś średnio wynosi już ok. sześciu miesięcy, a w takich miastach jak Warszawa – już ponad 11 miesięcy.

Tłumaczenia Ministerstwa Sprawiedliwości nie są adekwatne do sytuacji, gdyż od rozpoczęcia procesu rozpatrywania wniosków w sprawach przekształceniowych minęło już dwa i pół roku, przy czym zwiększono też kadrę referendarską. Sytuacja związana z epidemią SARS-CoV-2 została ustabilizowana, a pandemia nie może stanowić wiecznej wymówki dla problemów organizacyjnych administracji i sądownictwa.

Dane zebrane przez PZFD w zakresie przedłużających się postępowań oraz zatrudnienia referendarzy w sądach wieczystoksięgowych pokazują, że w latach 2014–2021 liczba etatów przewidzianych dla referendarzy sądowych w Polsce konsekwentnie rosła z wyjątkiem okresu 2019–2020, gdy utrzymała się na tym samym poziomie.

Można jednak dostrzec, że mimo zwiększania kadry referendarzy sądowych czas rozpatrywania spraw oraz wskaźnik zaległości rósł systematycznie nie tylko w ramach działalności poszczególnych sądów, lecz także w skali kraju. Oznacza to, że dotychczasowe zwiększenie liczby referendarzy sądowych nie było i nie jest wystarczające. Dla zobrazowania niniejszego zjawiska znamienny jest przykład Gdańska, gdzie w 2014 r. średni czas rozpatrzenia sprawy wieczystoksięgowej wynosił pół miesiąca, a w 2020 r. niemal 11 miesięcy. W skali ogólnokrajowej wskaźnik zaległości liczony według tzw. metodologii CEPEJ wzrósł niemal czterokrotnie, porównując 2014 r. oraz 2019 r.

Największy przyrost spraw wieczystoksięgowych przypada na lata 2018–2019 r., czyli jest skorelowany z wejściem w życie ustawy przekształceniowej. Jednak, jak zauważyliśmy wcześniej, nie może to stanowić wytłumaczenia dla obecnych opóźnień, skoro od wejścia w życie ustawy przekształceniowej minęło dwa i pół roku, a zwiększona kadra referendarzy skierowana wyłącznie ku sprawom przekształceniowym rozpatrzyła już 73,7 proc. spraw.

Opóźnienia w postępowaniach wieczystoksięgowych bezpośrednio rzutują na sytuację konsumentów. Dotyczy to zarówno sytuacji, gdy konsument nie uzyskał jeszcze kredytu hipotecznego, jak i gdy spłaca już raty za kredyt hipoteczny. Niniejszy problem dotyczy również obrotu na rynku wtórnym i etapu pozyskiwania przez inwestora odpowiednich zgód i pozwoleń, stąd konieczne jest jak najszybsze podjęcie działań w rym obszarze. Wpis do księgi wieczystej, wykreślenie np. roszczeń czy obciążeń nieruchomości, jest też elementem niezbędnym dla procedury otwarcia przez bank rachunków powierniczych, które są niezbędne do rozpoczęcia procesu sprzedaży inwestycji. Kuriozalnym przypadkiem było oczekiwanie przez ok. 10 miesięcy na wykreślenie z księgi wieczystej roszczenia zgłoszonego w latach 80. na kwotę 5 zł!!! Pomimo licznych wniosków o przyspieszenie wykreślenia nieaktualnego już dawno wpisu czekaliśmy na to ok. 10 miesięcy, co wydłużyło okres rozpoczęcia sprzedaży jednej z inwestycji. Ten przypadek wspomina Urszula Hofman, dyrektor działu pozyskiwania nowych inwestycji konsorcjum spółek Grupy Inwest.

Przedłużające się postępowania wieczystoksięgowe stanowią aktualnie nie tylko barierę dla rozwoju branży deweloperskiej, lecz także odbijają się negatywnie na sytuacji prawnej i finansowej konsumentów. Nabycie własnego mieszkania (najczęściej przy finansowaniu kredytem hipotecznym) stanowi jedną z najważniejszych decyzji w życiu Polek i Polaków. Obecnie panująca sytuacja utrudnia, a czasem i uniemożliwia zakup lokalu mieszkalnego konsumentom, tak na rynku pierwotnym, jak i wtórnym.

Przy takim stanie rzeczy jedna z podstawowych zasad prawa – Zasada wiarygodności ksiąg wieczystych, która zakłada, że stan prawny nieruchomości ujawniony w księdze wieczystej jest zgodny z rzeczywistym stanem prawnym – niestety traci swój fundamentalny charakter.

Artykuł powstał przy współpracy Grupa Inwest i PZFD

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 81396aa6f1

Wspólne konto emerytalne męża i żony

FOT. ADOBESTOCK

Marian Piłka

PO zaproponowała wzrost wdowich emerytur. Zamiast takich rozwiązań w obliczu katastrofy demograficznej powinniśmy raczej wdrażać mechanizmy pomagające przełamać kryzys rodziny

Katastrofa demograficzna będzie miała także katastrofalne skutki dla systemu emerytalnego. Po prostu na zwiększającą się armię emerytów nie będzie komu pracować. Dziś sytuację sytemu emerytalnego ratuje imigracja zarobkowa przede wszystkim Ukraińców, a także stosunkowo wysoki wzrost płac, od których jest odprowadzana składka na ZUS. Są to atuty przejściowe. Wcześniej czy później przeminą. Jeżeli Europa Zachodnia otworzy szerzej drzwi do pracy Ukraińcom, to większość z nich wyjedzie z Polski. Nie można także liczyć na trwałość koniunktury gospodarczej – choć w najbliższych latach przewidywany jest stosunkowo wysoki wzrost gospodarczy, to katastrofa demograficzna będzie miała także katastrofalny wpływ na szanse rozwojowe naszego kraju. Po prostu doświadczenie historyczne wskazuje, że boom demograficzny zawsze wyprzedza boom ekonomiczny. I odwrotnie, kryzys demograficzny także wyprzedza zawsze kryzys ekonomiczny. Zmniejszanie się populacji prowadzi do ograniczenia rynku wewnętrznego, co prowadzi do spadku produkcji, wycofywania kapitału z kraju, zamykania przedsiębiorstw, a tym samym wzrostu bezrobocia, wzrostu emigracji oraz najpierw zahamowania rozwoju, a potem – permanentnej recesji. Gospodarka, która traci konsumentów, prowadzi do biedy. Jak wskazują prognozy GUS, przyszłe emerytury będą miały głodowy charakter.

Sytuację pogarsza także polityka, która kieruje się nie rozwojem kraju, lecz przede wszystkim względami wyborczymi. Ponieważ emeryci są coraz większą i coraz bardziej liczącą się grupą wyborczą, stali się adresatami polityki poszczególnych partii politycznych. Politycy starają się kierować w stronę emerytów coraz większy strumień pieniędzy po to, aby pozyskać i utrzymać ich polityczne poparcie. Koncentracja na potrzebach ekonomicznych tej grupy wyborców powoduje, że ograniczane są środki, które powinny być przede wszystkim skierowane na cele rozwojowe. I to nie tylko na rozwój nauki i innowacyjności, co zapewniłoby dłuższy okres rozwoju oraz w dłuższej perspektywie ograniczyłoby negatywne skutki społeczne katastrofy demograficznej. Wyborcy na ogół nie myślą w kategoriach długiego trwania, a tym bardziej nie myślą tak politycy zainteresowani nie dobrem, kraju, a przede wszystkim wyborczym zwycięstwem tu i teraz.

ZAOSTRZANIE PROBLEMÓW

Dlatego wszystkie społeczeństwa biologicznie stare prowadzą politykę,

eprasa.pl 81396aa6f1

która tylko zaostrza w dłuższej perspektywie czasowej problemy wynikające z katastrofy demograficznej. To jest znane i zbadane zjawisko. Na przykład stan Floryda, znany z faktu, że jest terenem osiedlania się amerykańskich emerytów, prowadzi politykę nie tylko zdecydowanego zaspokajania potrzeb ekonomicznych, społecznych czy rozrywkowych tej grupy społecznej, lecz także prowadzi tę politykę kosztem rodzin z dziećmi. Ogranicza się nakłady np. na szkolnictwo czy tereny rekreacyjne dla dzieci. USA mogą sobie pozwolić na taką politykę, bo są krajem bardzo bogatym i uzupełniającym braki siły roboczej stosunkowo dużą imigracją. Ale i ten bogaty kraj zaczyna już doświadczać narastającego kryzysu i w dłuższej perspektywie taka polityka najbardziej wyraziście uderza w szanse rozwojowe Stanów Zjednoczonych.

WALKA O STARSZY ELEKTORAT

W Polsce walkę o elektorat emerytalny, korzystając z dobrej koniunktury, zainicjował PiS – proponując 13. i 14. emeryturę i bardzo korzystne rewaloryzacje. Te propozycje jak dotąd zapewniły tej partii władzę. I dlatego jej konkurencja, Platforma Obywatelska, postanowiła włączyć się w walkę o poparcie elektoratu emerytalnego. Jako że ta partia ma charakter imitacyjny i mało innowacyjny, zgłosiła projekt tzw. wdowiej emerytury. Wychodzi on z prawidłowego odczytania rzeczywistości – że po śmierci jednego współmałżonka, najczęściej męża, bo kobiety żyją statystycznie dłużej, następuje pauperyzacja wdowy, ewentualnie wdowca. Jedna emerytura często nie jest w stanie bowiem utrzymać gospodarstwa jednoosobowego płacącego podobnie jak przed śmiercią współmałżonka. Te same opłaty stałe rozkładają się bowiem nie na dwie, a na jedną i to najczęściej niższą emeryturę. Dlatego, idąc po najmniejszej linii oporu, zaproponowano podwyższenie wdowiej emerytury o 25 proc. emerytury zmarłego współmałżonka. Takie rozwiązanie oczywiście wzmocniłoby ekonomicznie wdowi budżet. Natomiast jego słabością jest to, że jego skutki ograniczają się tylko do wydatkowania pieniędzy, bez wpływu na zachowania społeczne, które mogą ograniczyć przyczyny kryzysu demograficznego.

A zasadniczą przyczyną obecnej katastrofy demograficznej jest kryzys polskiej rodziny, jej niestabilność i wynikająca m.in. z tego mała dzietność. W związku z powyższym wszelkie działania finansowe podejmowane w tym zakresie powinny być powiązane z działaniami mającymi na celu przezwyciężenie kryzysu rodziny. Bieda emerytalna wdów związana jest z wieloma czynnikami, które powodują, że ich emerytury są znacząco niższe niż emerytury mężczyzn. Aby temu zaradzić, należałoby raczej wprowadzić nowe rozwiązania, które wychodzą ze stanowiska wspólnoty majątkowej męża i żony i składki wpływają na wspólne konto, z którego następnie są wypłacane emerytury. Takie rozwiązanie uwspólnotowienia małżeńskich emerytur z pewnością byłoby odpowiedzią na pauperyzację po śmierci współmałżonka. Oprócz efektu socjalnego, który jest także ważny, koncepcja wspólnej emerytury byłaby odpowiedzią na niestety częste zjawisko w naszym kraju lekkomyślnych rozwodów. Jak wskazują badania, a potwierdzają to także rozwiązania prawne przyjęte w Niemczech i Norwegii, wprowadzenie pewnych utrudnień, które dawały czas na refleksję, przyczyniło się do obniżenia poziomu rozwodów. Także wspólna emerytura jest koncepcją wzmacniającą małżeństwo i jego stabilność. Według badań stabilność małżeństwa ma wpływ także na dzietność.

Dlatego wprowadzenie wspólnej emerytury powinno się przyczynić nie tylko do poprawy ekonomicznej sytuacji wdów, lecz także przyczyniłoby się do ograniczenia patologii rozwodowej i być może mniejszego bądź większego wzrostu urodzeń, co w długiej perspektywie czasowej osłabiałoby negatywne zarówno społeczne, jak i ekonomiczne skutki katastrofy demograficznej. Biorąc pod uwagę, że rywalizacja nabiera tempa i PiS gotów jest przejmować pomysły PO, jak np. koncepcję „500+" na pierwsze dziecko, zgłoszoną po sukcesie pierwotnego PiS-owskiego projektu, warto, aby przejmując ten pomysł, rząd go tak zmodyfikował, aby służył nie tylko emerytom, lecz także rozwojowi demograficznemu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, publicystą, byłym posłem.

REKLAMA

FOREINTRADE sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie informuje, iż podnośnik 2 TONY Kraft&Dele Professional model KD380, DF812, kod EAN 5901638110763 nie spełnia wymagań określonych w rozporządzeniu ministra gospodarki z dnia 21 października 2008 r. w sprawie zasadniczych wymagań dla maszyn, z uwagi na to, iż wyrób nie spełnia wymagań w zakresie wytrzymałości na obciążenie, gdyż stwierdzono trwałe odkształcenie konstrukcji wyrobu i jej uszkodzenie, co stanowi zagrożenie dla zdrowia użytkowników. Ogłoszenie publikuje się w związku z prowadzonym postępowaniem przed Prezesem Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów.

eprasa.pl 81396aa6f1

Byłem okupantem

Siły Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, 1968 r.

FOT. MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

Agresja armii Układu Warszawskiego położyła kres niepodległościowym dążeniom Czechów i Słowaków. W zdławieniu Praskiej Wiosny uczestniczyło również Ludowe Wojsko Polskie.

O tym właśnie traktują wspomnienia Pawła Szuszczyńskiego pt. „Przepraszam Czechów i Słowaków". Chociaż od opisywanych zdarzeń minęło przeszło półwiecze, autor pieczołowicie zapamiętał nawet detale. A że podaje je potoczystym językiem, obficie dekorując osobliwościami i anegdotą, toteż opowieść czyta się doskonale.

Stosunek ludności czeskiej do żołnierzy polskich cechowała co najmniej nieufność. Chociaż potomkowie legendarnego Czecha z dwojga złego woleli nasze wojska niż sowieckie, o NRD-owskich nie wspominając, to jednak wyrażali uzasadniony żal do sąsiadów, że stłumili ich wolnościowe aspiracje.

Autor nie ukrywa, że on także miał moralnego kaca. Zresztą gros jego podkomendnych również. Nie przekonała ich hałaśliwa akcja propagandowa uzasadniająca militarną interwencję. Powszechnie zdawano sobie sprawę, że najechano Czechosłowację z woli Moskwy. Decyzje zapadły na Kremlu, a dowodzących wówczas LWP gen. Wojciecha Jaruzelskiego i Floriana Siwickiego nie stać było, aby – jak uczyniła to Rumunia – sprzeciwić się Sowietom.

Paweł Szuszczyński dla redakcji „Do Rzeczy" przywołał swe wspomnienia sprzed 53 lat:

Historia, w którą zostałem wplątany latem 1968 r., ciąży na moim życiu do dziś. Byłem wówczas młodym, w pełni zaangażowanym oficerem w stopniu porucznika, niecały rok po ukończeniu Oficerskiej Szkoły Wojsk Inżynieryjnych we Wrocławiu. Nie miałem żadnego doświadczenia, by zastanawiać się nad sensem haniebnego ataku na Czechosłowację, ukrytego w ćwiczeniach Układu Warszawskiego pod kryptonimem Operacja Dunaj. Uczyniłem to świadomie, w myśl złożonej przysięgi, która między innymi zobowiązywała mnie do obrony socjalistycznej wspólnoty, ramię w ramię z pozostałymi armiami Układu Warszawskiego. Za pokój i bezpieczeństwo Ojczyzny byłem w stanie oddać życie.

W tragicznym dla naszych południowych sąsiadów sierpniu 1968 r. przebywałem na urlopie (miodowy miesiąc). Nie interesowałem się tym, co się dzieje wokół. Spędzałem cudowne chwile z poślubioną kilka tygodni wcześniej małżonką. Najazd na Czechosłowację stanowił dla mnie duże zaskoczenie. Pozostała kadra mojej macierzystej jednostki nie była nim zdziwiona, gdyż prawie od miesiąca zajmowała rejony wyjściowe nad południową granicą Polski i przygotowywała się do jej przekroczenia.

Moja beztroska w tamtych dniach o mało co skończyłaby się dla mnie tragicznie. Nie reagując na otrzymywane telegramy „Wracaj, zalało mieszkanie. Józek", stałem się podejrzewanym o dezercję. Józek to imię mojego teścia, toteż jemu pozostawiłem problem zalanego locum. Jak się później okazało, było to także imię dowódcy jednostki wojskowej, w której służyłem, a zakamuflowana treść depeszy zobowiązywała mnie do natychmiastowego przerwania urlopu i zameldowania się w koszarach. Ponieważ nie zostałem wcześniej poinformowany przez przełożonych o sposobach ściągania kadry z wypoczynku, nie spieszyłem się z powrotem do garnizonu. Z tego powodu przez kilka dni – podejrzanego o dezercję, a nawet zdradę! – poszukiwano mnie w całej Polsce. Kiedy spóźniony o kilka dni dotarłem do jednostki, zostałem natychmiast przesłuchany przez oficerów Służby Kontrwywiadu. Po wyjaśnieniach zezwolono mi pełnić obowiązki.

Byłem dowódcą plutonu przygotowania i dowozu elementów mostowych. Podlegałem szefowi kompanii inżynieryjno-drogowej. Moim zadaniem było zabezpieczenie przejezdności dróg, po których przegrupowywały się siły pancerne i zmechanizowane mojej dywizji.

Po moim powrocie sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Napięcie podnosili oficerowie polityczni. Wykorzystując różnego rodzaju spotkania oraz zajęcia polityczne, akcentowali, iż konieczne jest wkroczenie do Czechosłowacji, by nie dopuścić tego kraju do przejścia na stronę Zachodu, a jeśli zajdzie potrzeba, to zarówno wojska Układu Warszawskiego, jak i armii Czechosłowackiej będą

eprasa.pl 81396aa6f1

używały broni. Typowa indoktrynacja nie tylko żołnierskich umysłów.

Oficerowie i podoficerowie przyjęli zadanie bardzo poważnie. Byliśmy wówczas gotowi, jako członkowie UW, oddać życie za pokój i socjalizm i nie mieliśmy żadnych wątpliwości co do potrzeby wkroczenia wojsk do Czechosłowacji. Traktowaliśmy to jako sojuszniczy obowiązek.

Operację „Dunaj” rozpoczęto w nocy z 20 na 21 sierpnia. Bez jakiegokolwiek oporu granicę czechosłowacką przekroczyło kilkanaście dywizji wojsk UW – w tym trzy polskie. Sprzęt bojowy dobrze sprawdził się podczas przegrupowania.

Jeszcze przed granicą przeżyłem szokujące zdarzenie. Szef pułku saperów, dla którego przygotowywaliśmy drogę – a był to doświadczony oficer, uczestniczący jeszcze w drugiej wojnie światowej – na oczach generała, dowódcy dywizji, pistoletem wymusił na mnie pozostawienia na drodze mojego plutonu, nakazując mi holowanie uszkodzonego wozu dowodzenia dowódcy pułku zmechanizowanego. Nie chciałem wykonać tego polecenia, ale lufa skierowana w moją stronę przekonała mnie, że nie mam innego wyjścia, tym bardziej że nie reagował generał.

NIECHCIANA „POMOC”

Do Czechosłowacji wjechaliśmy kilka minut przed północą 20 sierpnia. Wszędzie panowała ciemność i wszechogarniająca cisza, potęgująca hałas silników czołgów i transporterów opancerzonych. Czechosłowacka Armia Ludowa nie interesowała się tym, że na ich terytorium poruszają się obce wojska. Po nastaniu świtu i przejazdu przez miejscowości obserwowaliśmy, jak jej żołnierze, na terenie swoich koszarów, grali w piłkę. Jedynie na ogrodzeniu powiesili banery z treścią: „Nie potrzebujemy waszej pomocy”, „Wracajcie do Warszawy”. Patrząc na ich obojętność, pomyśleliśmy, iż gdyby sojusznicy najechali Polskę, nasi wojacy z pewnością nie siedzieliby bezczynnie.

W drugim dniu przegrupowania do jednostki dotarła informacja, że czechosłowacka Dywizja Powietrzno-Desantowa ruszyła w pole z zadaniem przeciwstawiania się okupantom. Wzbudziło to w nas strach, lecz do starcia na szczęście nie doszło.

PAWEŁ SZUSZCZYŃSKI
„PRZEPRASZAM CZECHÓW I SŁOWAKÓW”
IPN 2020

Przeciwna najazdowi była miejscowa ludność. Rozdawano odręcznie wykonane ulotki z treściami krytykującymi najazd i nawołującymi do jego zaprzestania. W treściach przeważały hasła antysocjalistyczne. Okupację nazywano też zdradą socjalistycznych zasad i współpracy, a w grafice ulotek stawiano znak równości pomiędzy „sierpem i młotem” a „swastyką”. Czesi i Słowacy zaczęli zamalowywać znaki drogowe lub je przestawiać, aby wprowadzić w błąd agresorów. Wielokrotnie osiągnęli swój zamiar, kierując nasze pododdziały w niewłaściwym kierunku.

Po pięciu dniach i przejechaniu ponad 200 km moja jednostka zajęła rejon pod miejscowością Lubna. Tam rozstawiono namioty, urządzono żołnierską kuchnię i inne niezbędne obiekty polowe. Na początku warunki życia były trudne. Doskwierały zimne noce. Kilkudniowe opady deszczu pogarszały sytuację, bo żołnierzy rozmieszczono na rżysku, a rozmokła gleba bardzo utrudniała poruszanie się po terenie. Brak bieżącej wody uniemożliwiał utrzymanie podstawowej higieny. Przez kilka dni wojsko się nie myło, stąd jego obraz był mało budujący. Co prawda wykorzystywaliśmy napotkane strumienie lub stawy, by się „ochlapać”, lecz brakowało prysznica i ciepłej wody do golenia.

W pierwszych dniach okupacji każda kompania przygotowywała posiłki we własnych zakresie, otrzymując artykuły spożywcze od służby kwatermistrzowskiej. Potem zorganizowano kuchnię polową. Krążyły niesprawdzone informacje, że w związku z okupacją miejscowi zatruli studnie i żywność, co spowodowało, iż wydano zakaz konsumpcji czechosłowackich produktów, a nawet wody! W rzeczywistości nie doszło do jakichkolwiek zatruć polskich żołnierzy.

Zadania, które wówczas wykonywałem, dysponując swoim plutonem, polegały na ochronie obszaru stacjonowania, patrolowaniu okolicy i jej zabezpieczaniu przed „nieproszonymi gośćmi” oraz pracach zgodnych ze specjalnościami moich podkomendnych. Zbudowaliśmy sieć elektryczną i elektrownię siłową zapewniającą oświetlenie najważniejszym obiektom polowym jednostki. Urządziliśmy także plac zmechanizowanej obróbki elementów mostowych, w którym wykonywaliśmy różne roboty niezbędne do funkcjonowania zgrupowania, m.in. „wychodek” dla dowódcy dywizji...

Inne pododdziały ochraniały czechosłowackie magazyny uzbrojenia, amunicji i materiałów wybuchowych, blokując ich wykorzystywanie przez armię czechosłowacką. Znajdowaliśmy się w ciągłej gotowości bojowej. Ale zdarzyły się też chwile wytchnienia. Na przykład gdy przybyły do nas z koncertem Filipinki.

W czasie realizacji różnych zadań – ale także w niewyjaśnionych okolicznościach – w dywizji życie straciło kilkunastu żołnierzy. Większość z nich miała stopnie oficerskie.

Po 65 dniach okupacji Czechosłowacji otrzymaliśmy rozkaz wycofania się do Polski. Nikt nie krył z tego powodu radości. Mój oddział potrzebował dwu dni na zebranie manatków i dotarcie do macierzystego garnizonu. Operacja pod kryptonimem Dunaj zakończyła się dla mnie 23 października, defiladą na rynku w Brzegu. Były przemówienia, podziękowania, kwiaty i łzy.

BOLESNE WSPOMNIENIA

Mijają już 53 lata, a w moim umyśle wciąż tkwią tamte chwile obciążające sumienie. Z jednej strony tłumaczę sobie, że z pełnym oddaniem wykonałem rozkazy i nie mam się czego wstydzić. Z drugiej zaś nie mogę się pozbyć myśli, że okupacja Czechosłowacji była haniebnym naruszeniem suwerenności naszego sąsiada. Tak nie wolno czynić, tak postępują fałszywi przyjaciele.

Pół wieku od tamtych zdarzeń nadal nie mogę się wyzbyć psychicznego ciężaru spowodowanego udziałem w okupacji Czechosłowacji. Historii się nie cofnie, ale można i trzeba z niej wyciągać wnioski. Niekiedy są one bolesne. Zdaję sobie bowiem sprawę z faktu, że z poświęceniem czyniłem kiedyś coś, co nie przynosi chwały.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

wysłuchał Tomasz Zbigniew Zapert

dr hab. Paweł Szuszczyński – pułkownik w stanie spoczynku, swój udział w agresji na Czechosłowację w 1968 r. szczegółowo opisał w książce wspomnieniowej pt. „Przepraszam Czechów i Słowaków (65 dni operacji »Dunaj«)”, wyd. IPN.

eprasa.pl 81396aa6f1

Jak żyć, cezarze?

Łukasz Czarnecki

Mówiąc o starożytnym Rzymie, rzadko myślimy o ludziach z samego dołu drabiny społecznej, a przecież to oni stanowili większość mieszkańców imperium

W chwili swej największej świetności Rzym liczył 1 mln mieszkańców, stanowił tym samym najludniejsze miasto ówczesnego świata. Olbrzymi odsetek mieszkańców stolicy imperium wiódł egzystencję wśród nędzy porównywalnej do panującej w latynoamerykańskich fawelach.

Przeciętny rzymski proletariusz mieszkał zazwyczaj w jednej z licznych kamienic czynszowych. Budowle te oferowały różnoraki standard. Lepiej sytuowane rodziny cieszyć się mogły warunkami całkiem znośnymi, większość gnieździła się jednak w ciasnych, ciemnych i śmierdzących norach, których właściciele co prawda nigdy nie zapominali o regularnym ściąganiu czynszu, lecz w kwestii remontów wynajmowanych budynków tak skrupulatni już nie byli.

Chociaż starożytne rzymskie miasto zaopatrzone było w system kanalizacyjny dostarczający wodę i usuwający nieczystości, mieszkańcy czynszówek nie mieli zazwyczaj okazji zaznać jego dobrodziejstw. Większość kamieniczników nie decydowała się na podpięcie domów do miejskiej sieci wodociągowej. Obawiali się przede wszystkim brzydkich zapachów dobiegających z rur odprowadzających ścieki z toalet. Inny problem stanowili niechciani goście wdzierający się do mieszkań przez rury – robaki lub szczury.

Lokatorzy swoje potrzeby fizjologiczne załatwiać musieli zatem do nocników, których zawartość wynosili potem na zewnątrz i wlewali do dołów kloacznych lub wiader. Cuchnący ładunek z miejskich podworców zbierał później tzw. stercorarius. Ten, znajdujący się na samym dnie drabiny społecznej robotnik, nocami przemierzał ulice swym wozem i opróżniał wychodki. Zebrane fekalia sprzedawał później rolnikom lub folusznikom. Ci ostatni wykorzystywali bowiem ludzki mocz jako środek czyszczący, służący im do prania powierzanych ich pieczy zabrudzonych ubrań.

Jeśli ktoś życzył sobie wyższego standardu w załatwianiu potrzeb fizjologicznych, to mógł się udać do publicznej toalety. Takich przybytków było w Wiecznym Mieście aż 144. Użytkownicy siadali na specjalnych sedesach zamontowanych nad kanałem z bieżącą wodą. Klienci siedzieli jeden obok drugiego bez żadnych zapewniających choć minimum intymności przegród. Całością zarządzał niewolny „klozetowy", który dbał o czystość i zaopatrzenie w gąbki służące Rzymianom jako papier toaletowy.

PALI SIĘ, PALI (A NERON GRA)!

Powszechną grozę w zatłoczonych rzymskich slumsach wzbudzał żywioł ognia. Największy i najsłynniejszy pożar Rzymu miał miejsce w roku 64 n.e. O jego wywołanie oskarżano potem Nerona, który rzekomo miał grać na lirze i śpiewać pieśń o upadku Troi, obserwując miasto pożerane przez rozszalałe płomienie. Abstrahując od tego, ile prawdy jest w przekazanej nam przez starożytnych historyków legendzie, Rzymowi do stanięcia w ogniu nie był potrzebny szalony cesarz. Pożary nad Tybrem wybuchały regularnie, niosąc śmierć i zniszczenie.

Pożoga najczęściej miała swe źródło właśnie w dzielnicach zamieszkanych przez najuboższych. Powód był prosty – czynszówki nie miały kominów ani pieców, ich mieszkańcy, by się ogrzać lub coś ugotować, rozpalali po prostu otwarty ogień i przy nim siadali.

W I w. p.n.e. w ostatnich latach istnienia republiki świetny interes w branży „pożarniczej" zrobił Marek Licyniusz Krassus, bezwzględny biznesmen i polityk, członek tzw. pierwszego triumwiratu utworzonego przez niego wraz z Juliuszem Cezarem i Pompejuszem Wielkim. Sformował prywatny oddział złożonej z niewolników straży pożarnej. Jego agenci przemierzali miasto, szukając płonących kamienic. Gdy taką znaleźli, w imieniu swego szefa składali właścicielowi propozycję odkupienia nieruchomości. Jako że ta w trakcie dobijania targu obracała się w popiół, negocjowana cena błyskawicznie pikowała. W końcu nieszczęsna ofiara „łowców kamienic" sprzedawała budynek za grosze, a wtedy do akcji wkraczało strażackie komando Krassusa, gasząc pożogę. Teraz zostawało już tylko zrobić remont i nowy właściciel mógł wynajmować mieszkania.

W czasach cesarstwa rząd postanowił wypowiedzieć walkę ciągłym pożarom. Oktawian August sformował liczącą 6 tys. ludzi formację tzw. vigiles, czyli strażników. Wcielono do niej zakupionych i wyzwolonych niewolników. Propozycja, jaką

eprasa.pl 81396aa6f1

To nie walki gladiatorów, ale wyścigi rydwanów były najpopularniejszą rozrywką mieszkańców Rzymu FOT. ADOBE STOCK

dostali, była nie do odrzucenia – sześć lat służby, a potem w nagrodę rzymskie obywatelstwo. Zadaniem vigilów była przede wszystkim walka z pożarami, z czasem doszły też działania o charakterze policyjnym. Na rozkaz Augusta w każdej z rzymskich dzielnic wzniesiono koszary strażników, a ich funkcjonowanie opłacono dzięki nadzwyczajnemu podatkowi. Pomysł przyjął się w praktyce, a starożytny Rzym za jednym zamachem zyskał strażaków i policjantów.

WRZUCIĆ COŚ NA ZĄB

W lokalach biednych plebejuszy często nie było kuchni. Jak sobie radzili? Jeśli w okolicy była piekarnia, żona proletariusza mogła do niej się udać i ugotować w niej obiad. Niektórzy piekarze udostępniali (zapewne za skromną opłatą) swoje piece sąsiadom.

Inne rozwiązanie stanowiły garkuchnie i bary szybkiej obsługi. Tak, tak, już w czasach Juliusza Cezara w najlepsze funkcjonowały mikrointeresy gastronomiczne, przypominające nasze budki z kebabami. Określano je mianem propinae lub thermopili. Zjeść można było w nich gorącą kaszę, gotowaną soczewicę, kiełbaski z rusztu, pieczone kurczęta. Bary służyły nie tylko jako miejsca, w których można było zjeść – kwitło w nich także życie towarzyskie klas niższych – spotykano się tu na plotki lub grano przy brudnych stolikach w kości.

CHLEBA, OLIWY, WINA!

Podstawowym pożywieniem rzymskiego proletariatu był chleb. Ówczesne bochenki ważyły ok. 1 kg i szacuje się, że przeciętny Rzymianin z klas niższych zjadał ok. trzech czwartych tej wagi dziennie. Rzymskie władze, chcąc odegnać widmo niepokojów społecznych, gwarantowały masom łatwy dostęp do pieczywa. Jedna piąta mieszkańców Rzymu, czyli ok. 200 tys., pobierała państwowe subsydium w postaci darmowego chleba, do którego odbioru uprawniały specjalne żetony. Pozostali też nie mieli powodów do narzekań, bo ceny zboża utrzymywano za pomocą ręcznego sterowania na bardzo niskim poziomie.

Starożytne Wieczne Miasto było nienasyconym monstrum. Dostarczaniem jego mieszkańcom odpowiednich ilości zboża zajmowały się całe flotylle transportowców przemierzających Morze Śródziemne. W trakcie sezonu żeglugowego (zimą z reguły zawieszano rejsy) dobijały do portu w Ostii, wioząc na swych pokładach ładunek cenniejszy niż złoto. Kluczowa była tu rola Egiptu, stanowiącego spichlerz cesarstwa i – jako tak ważny strategicznie element układanki – będącego pod specjalnym nadzorem samego imperatora.

Szacuje się, że w przeciętnym roku do Ostii zawijało 1,8 tys. transportowców wyładowanych podstawowymi dobrami potrzebnymi do funkcjonowania stolicy imperium. Samych worków zboża przywoziły one 4,7 mln. Jeszcze bardziej do wyobraźni przemawiają statystyki dotyczące oliwy (20 mln litrów) wykorzystywanej zarówno jako pokarm, jak i w higienie osobistej, czy ukochanego napoju starożytnych, czyli wina (100 mln litrów rocznie). O całe to zaopatrzenie dbał sztab urzędników, rozładunkiem zaś zajmowało się 3 tys. dokerów. Tych ostatnich zawsze było zbyt mało jak na potrzeby wykonywanej przez nich pracy. Dlatego też w sezonie żeglugowym zajęcie w Ostii znajdowały tłumy niewykwalifikowanych robotników pochodzących ze slumsów.

CHLEB JUŻ JEST, CZAS NA IGRZYSKA!

Skoro wiemy już, skąd ubodzy Rzymianie brali jadło, zajmijmy się pokrótce kwestią tego, gdzie szukali rozrywki. Na początek obalmy pewien mit – głównym sposobem spędzenia wolnego czasu przez lud Wiecznego Miasta wcale nie były walki gladiatorów. Te ostatnie odbywały się dość rzadko i tylko przy znaczących okazjach, a wstęp na nie był odpłatny, więc nie każdego było stać na bilet. Zwłaszcza jeśli do gry włączały się znane nam także z Polski z czasów ustroju słusznie minionego tzw. koniki. Potrafiły one przed walką, w której brał udział szczególnie znany gladiator, wykupywać całe rzędy w amfiteatrze, a potem odsprzedawać kibicom spragnionym widoku ulubieńca miejscówki po cenie niekiedy nawet pięciokrotnie wyższej.

W przeciwieństwie do bojów gladiatorów odbywające się w Circus Maximus wyścigi rydwanów były dla widowni darmowe. Gonitwa potrafiła zgromadzić publikę liczącą nawet 250 tys. widzów, czyli jedną czwartą populacji stolicy imperium! To właśnie wyścigi były ukochaną rozrywką mieszkańców starożytnego Rzymu. Był to sport niezwykle niebezpieczny i brutalny, a widowiskowa śmierć na torze wyścigowym nie należała do rzadkości. Woźnicami zostawali przeto niewolnicy albo inni nędzarze, dla których niepewna sława i o wiele bardziej prawdopodobna drastyczna śmierć stanowiły i tak lepszą perspektywę niż to, co czekało ich w codziennym życiu.

Okazji do podziwiana szalonych mężczyzn w pędzących rydwanach kibice mieli bez liku – w ciągu roku w Circus Maximus gonitwy odbywały się łącznie przez 80 dni. Ekscytujący się wyczynami woźniców biedacy z czynszówek stawiali ostatnie sestercje u bukmacherów, zakładając się o wyniki wyścigów. Niektórzy zaś tracili głowy do tego stopnia, że wysupławszy oszczędności, udawali się do samozwańczych czarnoksiężników, prosząc ich o rzucenie klątwy na zawodników przeciwnych drużyn.

Starożytny Rzym to nie tylko Kapitol, piękne marmurowe posągi i akwedukty. Prawdziwą twarz metropolii można było zobaczyć, idąc ulicami biegnącymi pomiędzy odrapanymi, sypiącymi się i wiecznie zagrożonymi pożarem czynszówkami, w których tłoczyła się przeważająca większość stołecznej populacji – ludzie, o których milczą podręczniki historii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 81396aa6f1

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Tragedia Mińska

Wydawnictwo LTW poszło za ciosem! W ramach nowego wydania dzieł Sergiusza Piaseckiego wypuściło na rynek moje ulubione dzieło tego pisarza – trylogię mińską. Czyli: „Jabłuszko", „Spojrzę ja w okno" i „Nikt nie da nam zbawienia".

Akcja tej pasjonującej opowieści toczy się w latach 1918–1919 w Mińsku. Jej bohaterami są przedstawiciele tamtejszego kryminalnego półświatka. Niesamowite przygody i dramaty tych ludzi rozgrywają się na pasjonującym tle historycznym.

Imperium Romanowów załamało się z hukiem i los Mińska jest niepewny. Do kogo będzie należało miasto? Do odradzającej się Rzeczypospolitej? Czy do straszliwej, krwawej Sowdepii. Mińscy Polacy marzą o tym, aby znaleźć się w granicach Polski. Myśl o tym, że mogliby żyć w bolszewickim „raju", napawa ich przerażeniem. Dlatego, gdy do miasta zbliżają się polskie wojska, chwytają za broń…

Niestety – jak wiadomo – historia ta skończyła się tragicznie. Mimo że Wojsko Polskie po bitwie niemeńskiej wyzwoliło Mińsk, polscy delegaci wysłani na rokowania w Rydze oddali miasto Sowietom. Polskie oddziały – ku przerażeniu mieszkańców – wycofały się, a zamiast nich przyszli czerwoni komisarze. W kolejnych latach Sowieci dokonali straszliwych mordów na tamtejszych Polakach. Szczątki ofiar spoczywają w Kuropatach.

„Bohater opowieści, Aleksander Baran, to postać autentyczna – pisał Piasecki. – Pochodził z Wilna. Został rzeczywiście rozstrzelany latem 1919 r. na Komarówce. Meliny, złodzieje – są przeważnie autentyczni. Przygody w 50 proc. rzeczywiste. Jest tam sporo fantazji, lecz nie ma nic z próżni. Wszystko powstało z czegoś, co przeżyłem w więzieniach lub na wolności".

Z wielką przyjemnością wróciłem po latach do tych książek.

Przy okazji chciałbym złożyć najlepsze życzenia prowadzonemu przez Państwo Jastrzębskich wydawnictwu LTW, które obchodzi właśnie swoje 25. urodziny. Wydali Państwo książki, które odegrały olbrzymią rolę w moim życiu. Powieści Piaseckiego i Floriana Czarnyszewicza, wspomnienia Michała K. Pawlikowskiego, reportaże Franciszka Wysłoucha… Dziękuję Państwu bardzo! Sto lat! ©℗

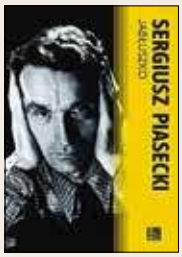

★★★★★★

SERGIUSZ PIASECKI „JABŁUSZKO" LTW

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Najmłodszy zamek Europy

Cesarską rezydencję w Poznaniu wybudowano tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej i zgodnie z megalomanią dynastii Hohenzollernów musiała imponować rozmiarami. Na inwestycję wydano 5 mln marek (ok. 28 mln euro), a zamek miał się stać symbolem niemieckiej dominacji w Wielkopolsce.

Powierzchnia gmachu głównego liczyła ponad 25 tys. mkw., najwyższa wieża miała wysokość 75 m, a tron cesarski ważył aż 3,5 tony. Chociaż budowla powstała w stylu neoromańskim, który rzekomo najbardziej odpowiadał germańskiej duszy, to nie unikano eklektyzmu. Kaplica otrzymała wystrój bizantyjski, podobnie jak monumentalna sala tronowa, a na Dziedzińcu Różanym zlokalizowano Fontannę Lwów wzorowaną na arabskiej konstrukcji z Alhambry. Na elewacji można też było odnaleźć elementy nawiązujące do baśni braci Grimm. Należą do nich płaskorzeźba przedstawiająca Czerwonego Kapturka i Wilka oraz dwie kolumny z postaciami Jasia i Małgosi podtrzymującymi jeden z balkonów.

20 sierpnia 1910 r. Wilhelm II dokonał uroczystego otwarcia zamku, ale w późniejszych latach odwiedził go tylko dwukrotnie. Po odzyskaniu niepodległości w budowli przygotowano apartamenty dla prezydenta Rzeczypospolitej, a z gmachu korzystał też Uniwersytet Poznański. W podziemiach zorganizowano natomiast specjalny kurs, w którym brali udział polscy kryptolodzy, którzy następnie złamali kody niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma.

Podczas drugiej wojny światowej Niemcy przebudowali wnętrza w stylu neoklasycznego totalitaryzmu. Zamek miał stać się jedną z rezydencji Adolfa Hitlera, a przygotowany dla niego gabinet był identyczny z pomieszczeniem w kancelarii Rzeszy. Salę tronową przebudowano na potrzeby wieców partyjnych, a na jednym z balkonów zamontowano ogrzewanie, by Führer przypadkiem nie przeziębił się podczas wygłaszania przemówień. Jednak Hitler prawdopodobnie nigdy nie odwiedził gmachu, co nie zmienia faktu, że w czasach PRL planowano go zburzyć, uważając za symbol niemieckiego faszyzmu. Ostatecznie poprzestano na usunięciu nazistowskich symboli, ale zachowano gabinet Hitlera, dzięki czemu filmowcy mogli wzorować się na jego wystroju w swoich produkcjach. Dodano też wiele socrealistycznych elementów, które zachowały się do dzisiaj i wzbudzają mocno mieszane uczucia, nawet jeżeli w budowli mieści się obecnie wiele instytucji kulturalnych, a w dawnej sali tronowej działa kino o nazwie Pałacowe. Inna sprawa, że poznańska rezydencja jest rzeczywiście najmłodszym zamkiem w Europie, gdyż do tej kategorii nie można zaliczyć powstających obecnie gdzieniegdzie budowli różnego rodzaju nowobogackich. ©℗

eprasa.pl 81396aa6f1

Zadbaj w wakacje o swoje zdrowie. Z PZU zrobisz to za darmo

FOT. MATERIAŁY PRASOWE PZU

Choroba nie poczeka, dlatego tak ważne jest, by nie odwlekać leczenia. Problem w tym, że przez pandemię przestaliśmy wykonywać badania profilaktyczne, które teraz są ważniejsze niż kiedykolwiek. Z pomocą przychodzi największy polski ubezpieczyciel, który uruchomił akcję bezpłatnych badań dla Polaków. Kto i gdzie może z nich skorzystać?

Jak pokazują badania, słabo dbamy o swoje zdrowie. Co czwarty Polak nie wie, czy dla osób w jego wieku są zalecane jakieś badania profilaktyczne, co dziesiąty Polak nie planuje ich wykonywać – wynika z sondażu, który przeprowadził w listopadzie 2019 roku instytut badawczy ARC Rynek i Opinia. Sytuacja staje się jeszcze bardziej poważna w obliczu pandemii, kiedy wielu z nas podupadło na zdrowiu. Wpływ na to mają nie tylko powikłania po przejściu samego COVID-19, lecz także zmniejszona dostępność do świadczeń medycznych w czasie, gdy służba zdrowia była zajęta walką z koronawirusem.

Lekarze z całej Polski alarmują, że coraz częściej zgłaszają się do nich pacjenci z niezdiagnozowanymi wcześniej chorobami. Kolejną grupą pacjentów są ci, którzy w czasie pandemii zaniedbali monitorowanie i leczenie swoich rozpoznanych wcześniej chorób. Dlatego Grupa PZU, która od początku wspiera Polaków w walce z koronawirusem, ruszyła z akcją badań profilaktycznych.

PZU OFERUJE BEZPŁATNE BADANIA I RATUJE ŻYCIE

Teraz, żeby się przebadać, nie potrzebujesz skierowania ani pieniędzy. W ramach akcji „Droga do zdrowia z PZU" można bowiem bezpłatnie wykonać EKG, spirometrię i USG płuc, zmierzyć poziom cukru, stężenie cholesterolu i ciśnienie krwi, a następnie skonsultować wyniki z internistą, a w przypadku spirometrii i USG płuc – z pulmonologiem. Ale to nie wszystko! Istnieje również możliwość sprawdzenia zmian skórnych i skorzystania z porad dermatologa. Zainteresowani mogą wykonać analizę składu ciała podczas konsultacji z dietetykiem.

Ogromnym sukcesem cieszyła się czerwcowa akcja pilotażowa, podczas której mobilne gabinety PZU zawitały do sześciu miast w południowo-wschodniej Polsce – Zamościa, Rzeszowa, Stalowej Woli, Hrubieszowa, Świdnika i Lublina, pokonując łącznie 3,5 tys. km. W tym czasie dzięki szybkiej reakcji lekarzy sześciu pacjentom dosłownie uratowano życie! Ich stan był na tyle poważny, że trzeba było wezwać karetkę i odwieźć ich do szpitala. Grupa PZU nie spoczęła jednak na laurach i kontynuuje badania w czasie wakacji.

– Akcję Droga do Zdrowia z PZU rozpoczęliśmy, aby pomóc Polakom w walce z długotrwałymi następstwami zarówno zachorowań na COVID-19, jak i przerwy w regularnych badaniach i konsultacjach lekarskich. Po miesiącu pilotażu widzimy, że dobrze odczytaliśmy potrzeby w tym zakresie. W naszych mobilnych strefach zdrowia w ciągu czerwcowych weekendów wykonaliśmy prawie 3 tys. badań i konsultacji. Sukces akcji bardzo nas ucieszył i zmotywował do jej kontynuowania w okresie wakacyjnym – wyjaśnia dr hab. Beata Kozłowska-Chyła, prezes PZU.

W WAKACJE NIE BIERZ URLOPU OD DBANIA O ZDROWIE

W lipcu i sierpniu mobilne strefy zdrowia zawitały do kolejnych miast, przede wszystkim w regiony, gdzie Polacy spędzają wakacje. Wakacyjna edycja „Drogi do Zdrowia z PZU" rozpoczęła się w Giżycku. Kolejnymi miastami turystycznymi, w których mieszańcy i urlopowicze mogli odwiedzić gabinety medyczne, były: Kołobrzeg, Brusy, Augustów, Polańczyk oraz Zakopane. Do końca wakacji ubezpieczyciel odwiedzi jeszcze Szklarską Porębę. Badania będzie można wykonać w godz. 9.00–19.00 przy Dworcu PKP Szklarska Poręba Górna.

W sumie od czerwca do połowy sierpnia mobilne strefy zdrowia PZU dotarły do 12 miast. W ramach akcji „Droga do Zdrowia z PZU" przeprowadzono ok. 5,2 tys. badań (z tego podczas edycji wakacyjnej blisko 2,2 tys.). Grupa PZU przypomniała Polakom, że należy dbać o zdrowie już teraz, a nie odkładać tak ważnej sprawy na przyszłość. Wykonując badania, można wykryć wiele chorób, których leczenie na wczesnym etapie jest dużo skuteczniejsze i może uratować życie.

Autor: Anna Wójcik

eprasa.pl 81396aa6f1

Witold Repetowicz

Emirat

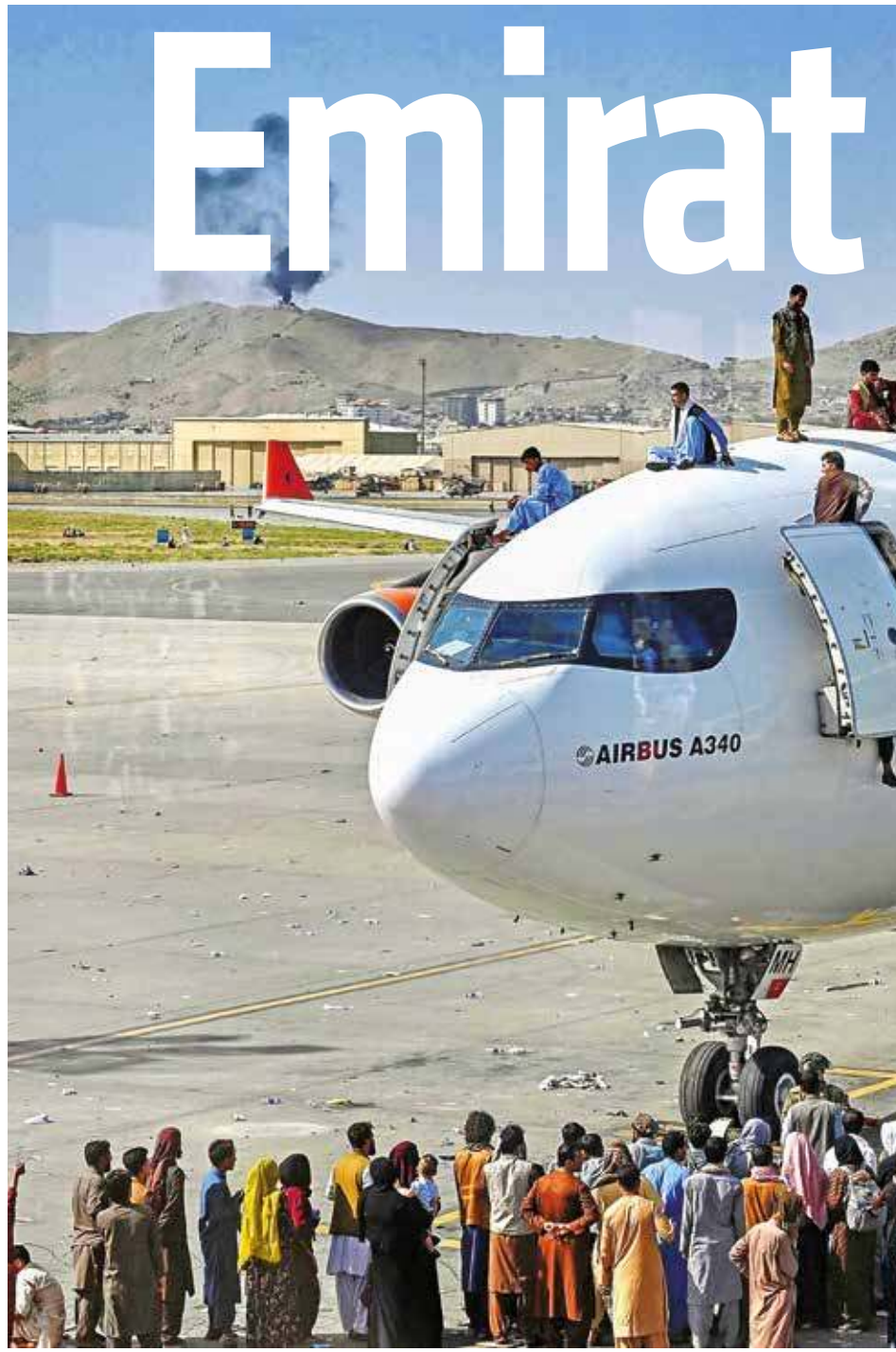

Budowany przez 20 lat „nowy" Afganistan rozsypał się jak domek z kart w ciągu kilku dni. Rządy talibów cofną ten kraj cywilizacyjnie o kilkaset lat

Zajęcie Kabulu przez talibów wyglądało tym razem inaczej niż to, które miało miejsce 25 lat temu. We wrześniu 1996 r. po raz pierwszy zajęli oni afgańską stolicę po tym, jak wycofali się z niej siły Ahmeda Szacha Masuda i wspierany przez nie prezydent Burhanuddin Rabbani. Były komunistyczny przywódca Afganistanu Mohammad Nadżibullah, przebywający od upadku swojego reżimu w kabulskim przedstawicielstwie ONZ, popełnił wówczas fatalny dla siebie błąd, odrzucając propozycję Masuda, by ewakuować się z miasta razem z nim. Nadżibullah podejrzewał, że to podstęp, który ma go wywabić z bezpiecznego, jak mniemał, schronienia przed mudżahedinami Masuda pragnącymi go osądzić. Talibowie z marszu wtargnęli do przedstawicielstwa ONZ, nie zważając na to, że była to placówka dyplomatyczna, wywlekli z niego Nadżibullaha, wykastrowali, po długich torturach zabili, a nagie zwłoki przywiązali do ciężarówki i ciągnęli przez miasto.

Obecne przejęcie władzy przez talibów różni się również od tego, jak wyglądało wprowadzanie nowych porządków przez Państwo Islamskie, gdy to zdobyło Mosul w czerwcu 2014 r. Wówczas świat obiegły obrazki zachodnich dziennikarzy przebranych w pomarańczowe kombinezony, a następnie ich okrutnych egzekucji poprzez dekapitację. Potem ISIS zaczęło organizować targi niewolnic seksualnych oraz burzyć historyczne budowle i zabytkowe obiekty uznawane przez nich za nieislamskie. W tej kwestii wzorowali się zresztą właśnie na talibach, którzy splądrowali kabulskie muzeum starożytności, a w marcu 2001 r. zniszczyli wpisane na listę UNESCO gigantyczne posągi Buddy w Bamiyan, strzelając do nich z artylerii.

NOWA TAKTYKA

Talibowie nie zmienili jednak swojej ideologii, a jedynie taktykę. Wyciągnęli wnioski zarówno z własnych błędów, jak i tych, które doprowadziły do klęski „kalifatu" w Iraku i Syrii. Podstawową różnicą między nimi a ISIS jest jednak to, że Państwo Islamskie odrzucało cały system międzynarodowy i nie było zainteresowane uznaniem czy stosunkami dyplomatycznymi z innymi państwami, kierując się dychotomicznym podziałem świata na dar al-islam, czyli kalifat, oraz dar al-harb, wrogi świat wojny. Talibowie zawsze chcieli funkcjonować w ramach systemu międzynarodowego, a w 1996 r. USA były bliskie ich uznania. Ostatecznie do tego nie doszło, a barbarzyństwo ich rządów spowodowało, że ówczesny Islamski Emirat Afganistanu uznały tylko trzy państwa: Pakistan, Arabia Saudyjska oraz Zjednoczone Emiraty Arabskie.

Różnica między rokiem 1996 a 2021 jest jednak również taka, że wówczas talibowie mieli konkurencyjny ośrodek władzy. Rabbani bowiem nigdy nie złożył

eprasa.pl 81396aa6f1

talibów

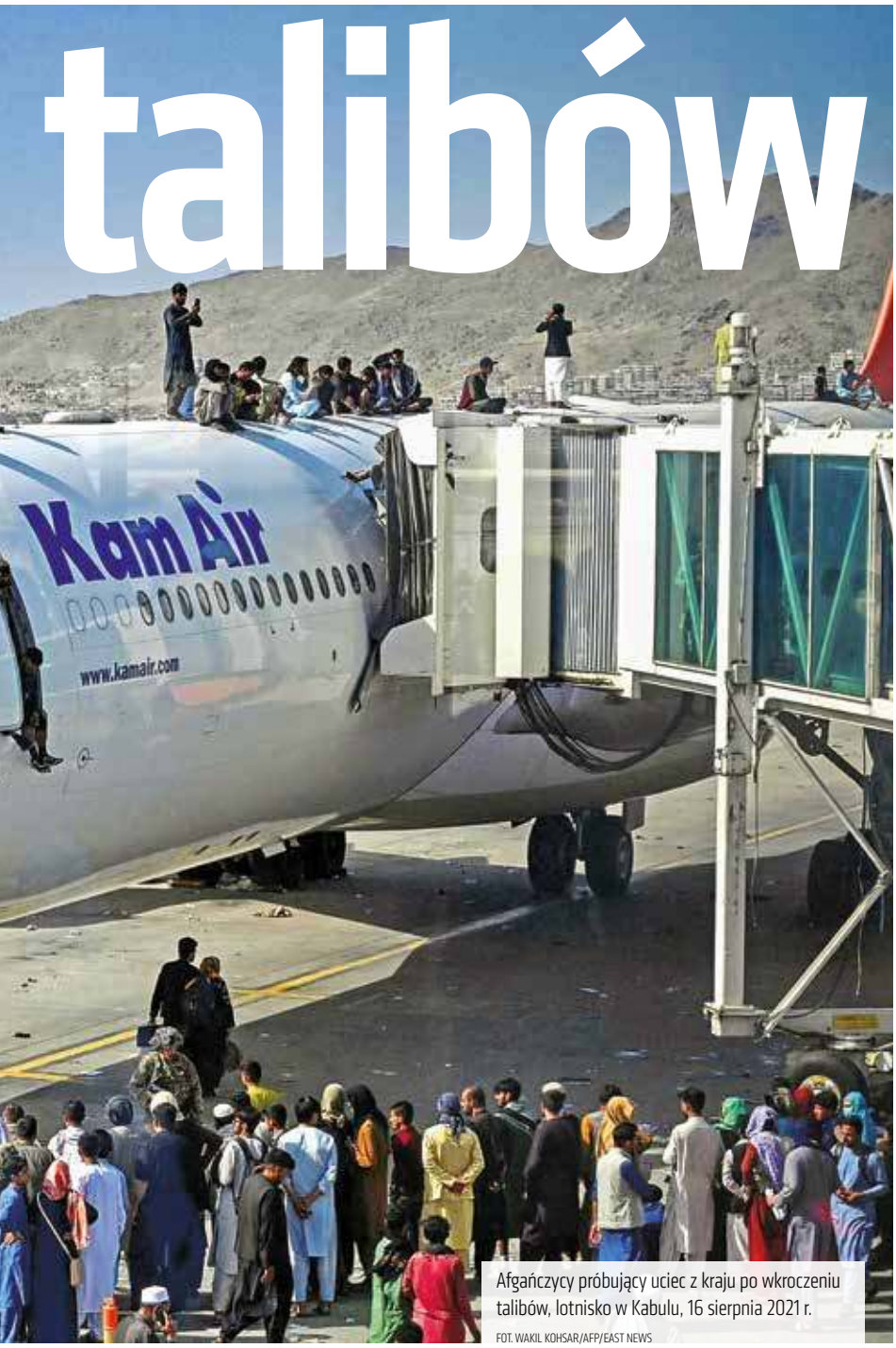

Afgańczycy próbujący uciec z kraju po wkroczeniu talibów, lotnisko w Kabulu, 16 sierpnia 2021 r.

FOT. WAKIL KOHSAR/AFP/EAST NEWS

rezygnacji i jego rząd dalej cieszył się uznaniem międzynarodowym, w tym ze strony Polski, a w Warszawie nieprzerwanie działała ambasada Afganistanu. Talibowie nigdy też nie zdołali opanować całego kraju. Kluczowe miasto Mazar-i Szarif, które teraz zostało oddane praktycznie bez walki, wpadło w ich ręce dopiero w 1998 r., a w dolinie Pandższiru z talibami cały czas walczyły oddziały Masuda.

Tymczasem 15 sierpnia tego roku państwo, na którego czele stał Aszraf Ghani, noszące nazwę Islamskie Państwo Afganistanu, praktycznie przestało istnieć, a zastąpił je Islamski Emirat Afganistanu. Nazwy niby podobne, ale w rzeczywistości mamy do czynienia z zupełnie innym państwem. Prezydent Ghani złożył rezygnację i opuścił Afganistan. Scena, gdy wsiadał do samolotu, przypominała tę z Teheranu w 1979 r., gdy opuszczał kraj szach Mohammad Reza Pahlawi. Dwa tygodnie później do Iranu przybył nowy lider kraju – ajatollah Ruhollah Chomeini. Lidera talibów Hibatullaha Akhundzady też nie ma wciąż w Afganistanie, znajduje się prawdopodobnie w Pakistanie, a wielu jego najbliższych ludzi ze ścisłego kierownictwa talibów, w tym mułła Baradar, przebywa w katarskiej Dosze. To, czy ich powrót będzie równie triumfalny i symboliczny jak ten Chomeiniego, jest raczej kwestią drugorzędną. Najważniejszym zadaniem jest dla nich teraz sprawne przejęcie instytucji państwa oraz zapewnienie sobie uznania międzynarodowego.

Upokarzający wyjazd Ghaniego z Kabulu doszczętnie zniszczył resztki jego reputacji wśród Afgańczyków. Talibowie nie próbowali go zatrzymać, bo nie chcą rujnować sobie wizerunku barbarzyńskim spektaklem egzekucji głowy obalonego państwa. Zresztą Nadżibullah po latach doczekał się rehabilitacji w pamięci wielu Afgańczyków, zwłaszcza tych bardziej wykształconych. Ghani zachował życie, ale na zawsze stracił reputację, a jego rezygnacja zwiększa prawdopodobieństwo międzynarodowego uznania nowego państwa afgańskiego i braku alternatywnego ośrodka władzy. Wprawdzie opór w Pandższirze zapowiadają syn Masuda, a także wiceprezydent Amrullah Saleh, ale obecnie sens utrzymania uznania międzynarodowego dla obalonych władz jest niewielki, zwłaszcza że talibowie nie ustają w zapewnieniach, iż świat nie musi się obawiać nowego państwa: Islamskiego Emiratu Afganistanu.

Amerykanie zapowiadali, że nie uznają rządów talibów, jeśli ci przejmą władzę w Kabulu siłą. Do tego jednak przecież nie doszło – dowództwo talibów nakazało swoim oddziałom zatrzymanie się u wrót miasta do czasu pokojowego przekazania kontroli nad nim. I tak się właśnie stało. Nie zaatakowali również przedstawicielstw dyplomatycznych innych państw. Wręcz przeciwnie, gdy dokonywana była paniczna ewakuacja większości placówek, w tym przede wszystkim ambasady USA, talibowie wezwali dyplomatów do pozostania w Kabulu, deklarując, że zapewnią bezpieczeństwo wszystkim cudzoziemcom. Amerykanie zapewne mieli jednak również i w tym wypadku skojarzenia z sytuacją w Teheranie w 1979 r., gdzie doszło do okupacji ambasady i wzięcia dyplomatów jako zakładników, więc nie chcieli ryzykować.

eprasa.pl 81396aa6f1

Dantejskie sceny na lotnisku nie były więc rezultatem faktycznego ataku talibów na wycofujących się Amerykanów. Ewakuacja miała charakter prewencyjny, ale obawy nie były bezpodstawne, gdyż bez względu na decyzje kierownictwa talibów jakieś grupy mogły się im nie podporządkować. W 1998 r. talibowie po wkroczeniu do Mazar-i Szarif zamordowali zresztą kilku irańskich dyplomatów. Nawet jeśli ryzyko było niewielkie, to władze USA nie mogły ryzykować, bo zapłaciłyby za to kolosalną cenę polityczną, przy której obecna krytyka scen rodem z Sajgonu jest niczym. Podobnie było zresztą z innymi państwami, które podjęły taką decyzję. Inaczej zachowały się natomiast m.in. Chiny i Rosja, które od dawna prowadzą własne negocjacje z talibami.

KTO UZNA TALIBÓW?

W zapewnienia talibów, że cudzoziemcom, a zwłaszcza dyplomatom, włos z głowy nie spadnie, można wierzyć, bo jest to w ich interesie. Mord na dyplomatach przekreśliłby ich szanse na uznanie międzynarodowe. Teraz piłka jest po drugiej stronie. Chiny z całą pewnością nawiążą stosunki dyplomatyczne z nowym państwem afgańskim. Zrobi to też Pakistan, który jest bliskim sojusznikiem Chin, a jednocześnie zawsze wspierał talibów. Znacznie większą ostrożność zachowują natomiast Rosja oraz Iran. Należy pamiętać, że Rosja, Iran, ale również Chiny życzyły USA i NATO klęski w Afganistanie, jednocześnie będąc beneficjentami obecności wojskowej Amerykanów i sojuszników w tym kraju. Miały bowiem złe doświadczenia z dżihadystami. Z drugiej strony Chiny mają ogromne plany inwestycyjne w Afganistanie i liczą, że dzięki relacjom z Pakistanem unikną problemów ze strony nowego emiratu. Deklaracje talibów to potwierdzają, ale otwarte pozostaje pytanie, czy bardziej radykalni sojusznicy będą posłuszni.

Otwartą kwestią jest też to, czy dojdzie do nawiązania stosunków dyplomatycznych między Islamskim Emiratem Afganistanu a USA i innymi państwami NATO, w tym z Polską. Wszystko jednak wskazuje na to, że talibowie tego chcą, a druga strona nie ma alternatywy. W obecnej sytuacji geopolitycznej Amerykanie nie mogą sobie pozwolić na odpuszczenie tak ważnego strategicznie miejsca jak Afganistan, kraju sąsiadującego zarówno z Chinami, jak i z Iranem

Można się spodziewać, że tysiące Afgańczyków wciąż będą chciały uciec z kraju i dostać się do Europy

oraz rosyjską strefą wpływów w postradzieckich republikach: Tadżykistanem, Uzbekistanem i Turkmenistanem. Nie mając w Kabulu przedstawicielstwa, wyłączyliby się z gry. W tym kontekście można też zrozumieć, dlaczego USA nie bombardowało odnoszących coraz to większe sukcesy talibów, czym opóźniłoby ich marsz i zapewniło sobie więcej czasu na spokojne wycofanie. Przekreśliłoby to perspektywy uregulowania relacji z talibami, a los Kabulu i tak byłby przesądzony. W dodatku w czasie ewakuacji nie zginął żaden Amerykanin (ani żaden inny cudzoziemiec), a gdyby USA zdecydowały się na walki z talibami, to mogłyby ponieść takie straty, bo talibowie nie mieliby nic do stracenia.

Powodem inwazji na Afganistan w 2001 r. było zagrożenie terrorystyczne, które zmaterializowało się 11 września atakiem na WTC w Nowym Jorku. W porozumieniu podpisanym w Dosze talibowie zobowiązali się do zerwania stosunków z Al-Kaidą i innymi ugrupowaniami terrorystycznymi. Choć cały czas podtrzymują, że dotrzymają tej deklaracji, to tu można już mieć wątpliwości. Talibowie nie zerwali bowiem swoich związków z Al-Kaidą oraz innymi ugrupowaniami terrorystycznymi, a jeśli będą chcieli to zrobić, to może dojść do nowego konfliktu. A czeka ich wiele wyzwań, np. co zrobić z handlem narkotykami, na którym zarabiali i oni, i wielu sprzymierzonych z nimi watażków. Będą pod presją, by to ukrócić, zwłaszcza że ich twórca, Mułła Omar, zakazywał tej praktyki. Tyle że ci, którzy na tym stracą, znów mogą okazać zbrojnie swoje niezadowolenie. Na razie talibowie wyrzynają tylko konkurencję spod znaku Państwa Islamskiego, bo po niej nikt na świecie nie zapłacze.

Panika, która wybuchła w Kabulu, również nie była spowodowana atakami talibów, którzy – tak jak deklarowali – w sposób pokojowy przejęli kontrolę nad miastem. Zapowiedzieli, że nie będzie żadnego odwetu, żadnych egzekucji, grabieży, wtargnięć do czyichś domów itp., oraz że chcą, by wszyscy Afgańczycy zostali w kraju i razem podnieśli kraj z ruin. W wypowiedziach rzecznika talibów padały słowa o tolerancji, o tym, że rząd będzie reprezentował wszystkich Afgańczyków, a kobiety dalej będą mogły się uczyć, studiować i pracować. Obraz wyłaniający się z tych deklaracji jest piękny, jednak w tworzonym przez USA państwie afgańskim demokracja, delikatnie mówiąc, się nie przyjęła, a wolność religijna też budziła zasadnicze wątpliwości. Talibowie od czasu podpisania porozumienia w Dosze wiele rzeczy deklarowali, a zupełnie co innego robili. Na terenach wcześniej zdobytych już zakazali kobietom wracać do pracy czy do szkół i zaczęli je karać za chodzenie bez burki i bez męskiego towarzysza. Wątpliwe jest zatem, by zrezygnowali z tych zasad. Można się spodziewać, że powoli będą dokręcać śrubę, ale tak, by nie skomplikować sobie relacji międzynarodowych. A potem? Które państwo wyśle bombowce w reakcji na ukamienowanie jakiejś biedaczki, która nadal będzie chciała się kształcić?

ODWET BĘDZIE, ALE PÓŹNIEJ

Wątpliwe jest też dotrzymanie przez talibów ich obietnicy, że nie będzie odwetu. To również najprawdopodobniej zostanie tylko odłożone w czasie. Dlatego trudno się dziwić panice, która zapanowała w Kabulu, gdy wkraczali. Talibowie nie zablokowali drogi na lotnisko, a wylot wielu Afgańczyków uniemożliwili sami Amerykanie, blokując loty komercyjne do czasu zakończenia własnej ewakuacji. Z ich strony to rozsądne, jednak talibowie mogli się temu tylko przyglądać z ironicznym uśmieszkiem i komentować: „Zobaczcie, jak was urządzili Amerykanie, zostawili was na lodzie".

Można się spodziewać, że wciąż tysiące Afgańczyków będą chciały uciec z Afganistanu i dostać się do Europy, która w takiej sytuacji nie będzie miała żadnych argumentów, by ich nie przyjmować. Przecież państwa europejskie (w tym Polska) razem z USA wezwały talibów do umożliwienia opuszczenia kraju przez wszystkich Afgańczyków, którzy tego pragną, więc jak mogą teraz odmówić ich przyjęcia? Pod oświadczeniem tym nie podpisał się natomiast żaden sąsiad Afganistanu. Nie ma też podpisu Turcji, Rosji czy Białorusi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 81396aa6f1

WILDA CORNER

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

w Poznaniu

Grupa Inwest®

www.**grupainwest.pl** +48 **882 818 848**

eprasa.pl 81396aa6f1

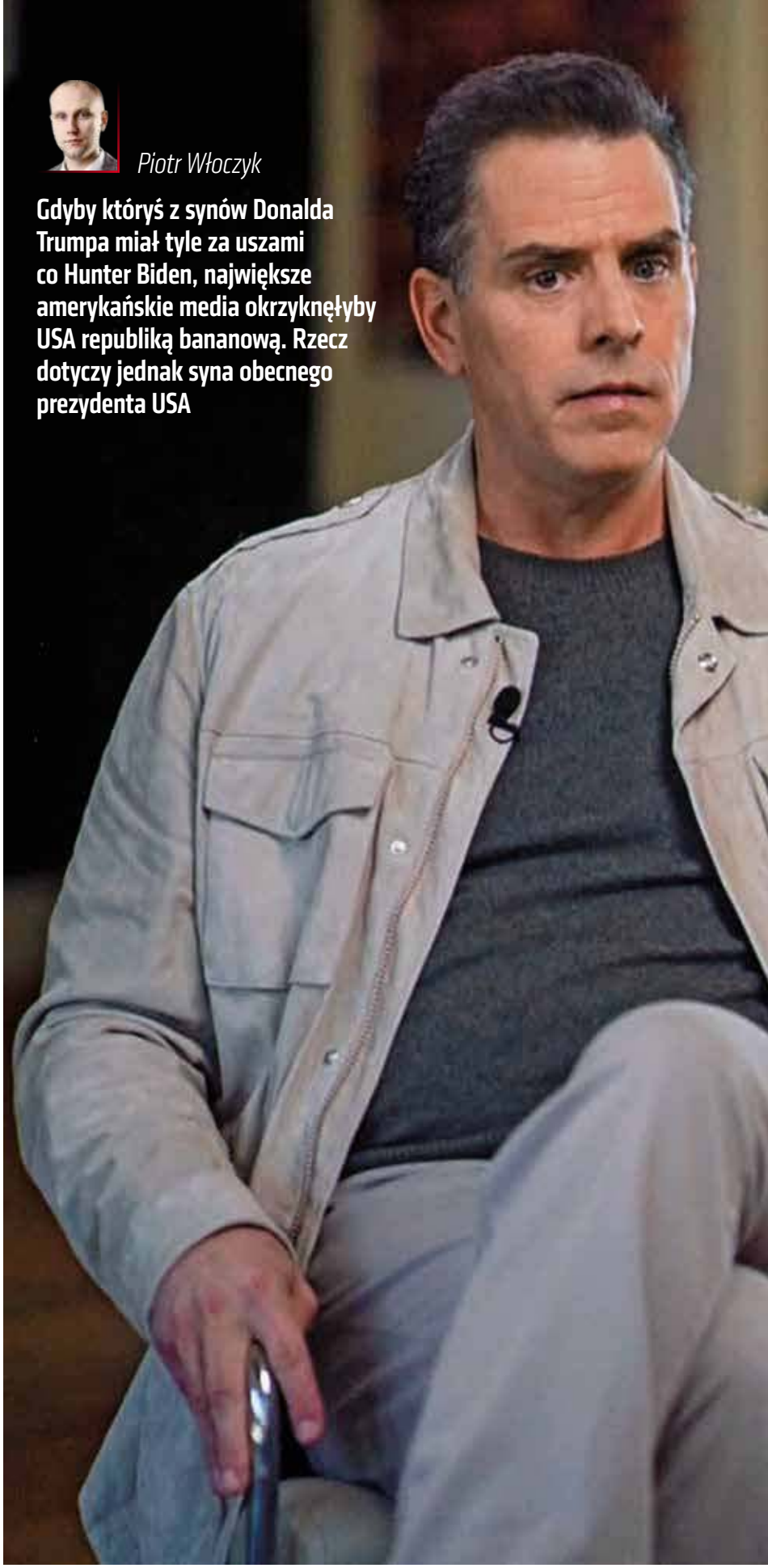

Piotr Włoczyk

Gdyby któryś z synów Donalda Trumpa miał tyle za uszami co Hunter Biden, największe amerykańskie media okrzyknęłyby USA republiką bananową. Rzecz dotyczy jednak syna obecnego prezydenta USA

Rosjanie mają nagranie, na którym uprawiam dziki, pierdo…y seks!" – przyznaje wprost Hunter Biden na nagraniu ze stycznia 2019 r. Filmik nie został jednak nagrany ukrytą kamerą przez rosyjskie służby specjalne. Ingerencja wroga nie była potrzebna. To syn amerykańskiego prezydenta sam uwieczniał swoje wyczyny z prostytutką. Jakby tego było mało, Biden junior był na tyle nierozgarnięty, by po wszystkim, leżąc na łóżku, opowiadać kobiecie skrajnie kompromitujące go historie sprzed roku. Szokujące nagranie opublikował w zeszłym tygodniu brytyjski tabloid „Daily Mail".

Syn Joe Bidena opowiadał prostytutce o swoich trwających 18 dni pijacko-narkotykowych rajdach po Las Vegas. Jak twierdził, ktoś ukradł mu wówczas laptopa pełnego materiałów porno oraz jego korespondencji biznesowej, która jasno pokazywała, jak wiele w jego spektakularnej karierze biznesowej było zasługą jego umiejętności, a ile znaczyło jego nazwisko i bardzo mocna więź z tatą. Biden junior przechwalał się w rozmowie z prostytutką, jak wydał „tonę pieniędzy", chodząc od jednego penthouse'u do drugiego. Według jego relacji za kradzieżą laptopa stali rosyjscy handlarze narkotyków, którzy musieli go wówczas odurzyć jakimś wyjątkowo silnym środkiem, bo – jak stanowczo podkreślał – jemu samemu nie zdarza się przecież nigdy „odpaść" w czasie najbardziej nawet szalonej imprezy. Prostytutka zadała mu wówczas oczywiste pytanie: Czy nie obawia się, że Rosjanie mogą chcieć go szantażować? „Tak, w pewnym sensie tak" – odpowiedział Hunter Biden, dodając zaraz, że przecież jego ojciec niedługo stanie do wyborów prezydenckich...

Wydaje się jednak, że najwięcej na temat charakteru syna Joe Bidena mówi fragment nagrania, na którym ubolewa, że jeżeli jego „produkcje filmowe" dostaną się w ręce przemysłu pornograficznego, to ktoś na tym zarobi mnóstwo pieniędzy, a on sam nie będzie miał z tego ani grosza.

MILIONY ZE WSCHODU

Hunter Biden już od kilku lat zapewnia konserwatywnym mediom w USA masę ciekawego materiału. Ten 51-letni prawnik, który przedstawia się jako rekin biznesu, zasłynął przede wszystkim dzięki swojej pracy dla Burismy, gigantyczne-

FOT. CBS SUNDAY MORNING/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 81396aa6f1

Hunter poluje na dolary

go holdingu energetycznego będącego własnością Mykoły Złoczewskiego. To ukraiński oligarcha, który pełnił ministerialne funkcje w czasach prezydentury Wiktora Janukowycza. Znany jest z bardzo bliskich powiązań z Rosją.

Syn Bidena zaskakująco szczerze przyznał w październiku 2019 r. w wywiadzie dla telewizji ABC News, że gdyby nie jego nazwisko, prawdopodobnie nie dostałby pracy w zarządzie Burismy. Stanowisko to wiązało się rzecz jasna z wynagrodzeniem rzędu miliona dolarów rocznie. Hunter Biden dostał pracę w firmie Mykoły Złoczewskiego w 2014 r., gdy jego ojciec był wiceprezydentem USA i osobiście zajmował się relacjami z Ukrainą.

George Kent, dyplomata pełniący w latach 2015–2018 funkcję zastępcy amerykańskiego ambasadora w Kijowie, twierdził podczas przesłuchania przed Kongresem, że ostrzegał swoich przełożonych o problematycznej posadzie syna wiceprezydenta, która „mogła sprawiać wrażenie konfliktu interesów".

Sprawa nabrała rumieńców, gdy Burismę wziął na celownik Wiktor Szokin, prokurator generalny Ukrainy. Szokin, sam oskarżany o łapownictwo, miał się dopatrywać w działalności Burismy nieczystych interesów. Na początku 2016 r. Biden senior zaczął naciskać na ukraińskie władze, by wymieniły prokuratora generalnego, grożąc, że w przeciwnym wypadku USA wstrzymają pomoc dla Ukrainy.

„Powiedziałem: jeżeli w ciągu sześciu godzin wasz prokurator generalny nie zostanie odwołany, to nie otrzymacie pieniędzy. I ten sukinsyn został odwołany" – chwalił się później Biden w rozmowie z „Głosem Ameryki". Przeciwnicy Joe Bidena dostali jednak dzięki temu do ręki niebagatelną amunicję polityczną. Ponieważ równocześnie Hunter wyciskał z Burismy kokosy, łatwo było sformułować zarzut, że interwencja wiceprezydenta USA miała związek z interesami, które prowadził jego syn.

Nie ulega wątpliwości, że kierownictwo firmy Złoczewskiego było bardzo zadowolone z usług Amerykanina. W czasie ostatniej kampanii wyborczej tabloid „The New York Post" ujawnił e-mail, w którym jeden z bossów Burismy dziękował Hunterowi za zaproszenie w celu poznania jego ojca. Wiadomości na temat kompromitujących e-maili Bidena juniora z okresu pracy w ukraińskim gigancie energetycznym (w 2019 r. zdecydował się on nie przedłużać kontraktu) miały jednak pewien problem z dotarciem do amerykańskich wyborców – Facebook i Twitter solidarnie postanowiły blokować artykuły na ten temat, stwierdzając, że takie treści gwałcą ich politykę prywatności.

Burisma to dla Huntera Bidena niejedyne źródło zarobku na obszarze postsowieckim. Jak ujawnili republikańscy senatorowie, syn obecnego prezydenta USA otrzymał 3,5 mln dol. od najbogatszej Rosjanki, wdowy po merze Moskwy – Juriju Łużkowie. Pieniądze te były zapłatą za bliżej niesprecyzowane „konsultacje".

Młody Biden nie gardzi też pieniędzmi z Chin. W 2017 r. „The New York Post" ujawnił, że Hunter Biden miał otrzymywać rocznie 10 mln dol. od jednego z chińskich miliarderów w zamian za przedstawianie odpowiednim osobom w Waszyngtonie. Takie wiadomości nie stanowiły jednak większego problemu dla największych amerykańskich mediów, podobnie jak fakt, że Joe Biden zabrał w 2013 r. Huntera na oficjalną wizytę do Chin, po której jego syn zyskał kolejny intratny kontrakt. W czasie tej wizyty Hunter poznał bankiera Jonathana Li, a już kilkanaście dni później zasiadł w radzie nadzorczej firmy kierowanej przez Li, która jest kontrolowana przez chińskie banki.

PISTOLET NA ŚMIETNIKU

Mimo wszystko śmiało można założyć, że dużo większym problemem od biznesów syna jest dla obecnego prezydenta USA jego życie prywatne. Ostatnie lata to pasmo coraz to bardziej żenujących doniesień na temat jego kolejnych alkoholowo-narkotykowych upadków.

W 2018 r., kupując broń, Hunter Biden ewidentnie skłamał, stwierdzając, że nie zażywa narkotyków i nie ma problemu z uzależnieniem. Tymczasem podanie nieprawdziwej informacji na ten temat jest przestępstwem. Jakby tego było mało, kilka tygodni później pewien żebrak natknął się podczas przeczesywania śmietnika na pistolet należący do Huntera Bidena.

Amerykańskie tabloidy nie posiadały się z radości, kiedy na jaw wyszedł romans Huntera z wdową po jego zmarłym w 2015 r. starszym bracie Beau. Sprawa stała się jeszcze głośniejsza, kiedy okazało się, że równolegle romansował z jej zamężną siostrą.

Doradcy rodziny Bidenów mają jednak talent do PR i postanowili dokonać niemożliwego – przekuć tę żenującą historię w piękną opowieść. Tak powstała książka „Same piękne rzeczy", reklamowana jako szczera opowieść Huntera o walce z przeciwnościami, uzależnieniem i życiu w cieniu wielkiego ojca. Największe media zapewniły Bidenowi juniorowi wyśmienitą promocję (w Polsce wywiad z nim wyemitował TVN) i ociepliły wizerunek jego ojca, ale w całej tej łzawej opowieści dziwnym trafem zgubił się kluczowy wątek: na ile wyskoki Huntera Bidena i jego zamiłowanie do luksusu wykorzystały siły, które z taką determinacją próbowano powiązać z Donaldem Trumpem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 81396aa6f1

PIWO, PIWO ÜBER ALLES

Jak wiadomo, Niemcy pospieszyli z samolotami, by wywieźć z Afganistanu tych, którzy pomagali ich wojsku. Jednak było dla nich coś cenniejszego. Jak ujawnił „Berliner Zeitung", podczas gdy o formalności z wyjazdem Afgańczyków spierano się tygodniami, to natychmiast załatwiono wywiezienie... 22,5 tys. litrów piwa i wina. Trunki zabrano z powrotem do Europy, gdyż teraz w Afganistanie nie można ich rozprowadzać ze względów religijnych.

FOT. ADOBE STOCK

GENDER OD MAŁEGO

Hiszpańskie ministerstwo edukacji przygotowało nowy program nauczania. Jak informują tamtejsze dzienniki – edukacja seksualna będzie prowadzona już od żłobka. Nastawiona będzie na „przyjemność i poznawanie ciała u niemowląt". Mają też być „stymulujące zabawy eksploracyjne". Natomiast w podstawówce dodatek zyska nauczanie matematyki – będzie ono bowiem uwzględniać socjoemocjonalny model perspektywy gender. Dzieci mają się uczyć dodawania i odejmowania oraz jednocześnie zwalczać w sobie negatywne postawy i uprzedzenia dotyczące płci.

CZTEROLATKI ZMIENIĄ PŁEĆ

Rząd Szkockiej Partii Narodowej wydał oficjalne wytyczne dla tamtejszych szkół. Jak informuje Breitbart.com, w dokumencie znalazły się zapisy stwierdzające, że dziecko może ujawnić się jako osoba transpłciowa w każdym wieku. Zatem uczniowie, którzy chcą zmienić swoją „tożsamość płciową", powinni otrzymywać w szkołach wsparcie w tym zakresie. Dotyczyć to ma wszystkich uczniów, od najwcześniejszego wieku – czyli czterech czy pięciu lat.

MINISTER DOBRY NA WSZYSTKO

W Grecji pożary zniszczyły dziesiątki hektarów lasów, domostwa, firmy. Ludzie są na rząd wściekli, bo słabo radził sobie z opanowaniem sytuacji. Rząd wymyślił więc, jak ludzi udobruchać. Premier Grecji Kyriakos Mitsotakis powołał w ubiegłym tygodniu nowego ministra – będzie to członek gabinetu odpowiedzialny za odbudowę po klęsce żywiołowej.

ZBYT KATASTROFICZNY KLIMAT

Naukowcy uznali, że w mediach za bardzo epatuje się klimatyczną katastrofą. W czasopiśmie „Nature" przestrzegli przed przedstawianiem sprawy tak, jakby katastrofa była nieunikniona. Ich zdaniem takie stawianie sprawy szkodzi „tworzeniu polityki klimatycznej". Słusznie. Przecież gdyby wszystko na pewno już zmierzało do smutnego końca, to całą zieloną politykę państw należałoby uznać za bezwartościową. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Groźne myśli Bidena

Jest bardzo mało prawdopodobne, że talibowie zdobędą cały kraj" – tak przyszłość Afganistanu oceniał jeszcze kilka tygodni temu prezydent Ameryki Joe Biden. 15 sierpnia talibowie zakończyli główny etap blitzkriegu, przejmując większość miast w kraju, w tym Kabul, i zmuszając Amerykanów do wstydliwej powtórki z historii: ostatnich dyplomatów USA trzeba było ewakuować śmigłowcami, tak jak w Sajgonie w 1975 r.

Już tydzień temu pisałem o wielkim błędzie Ameryki, która – nie próbując zawalczyć o utrzymanie Afganistanu – zdradziła kolejnych sojuszników. Taki przekaz źle wróży amerykańskim interesom w Azji, na Bliskim Wschodzie czy w Afryce. Szybka klęska podważyła nie tylko wiarygodność Joe Bidena, lecz także służb wywiadowczych. Czy można ufać Ameryce, która tak osłabła, a do tego tak łatwo porzuca swoich sojuszników? Tak od dziś będą brzmieć argumenty wysłanników Moskwy i Pekinu w różne części świata.

Główny slogan nowej ekipy w Białym Domu – „Ameryka wróciła" – brzmi bardziej tragicznie niż komicznie. Pokazuje bowiem, jak groźna jest ignorancja prezydenta Bidena, który przez ostatnie cztery dekady często błędnie oceniał rzeczywistość i który kilka miesięcy temu stawiał Polskę i Węgry w jednym szeregu z Białorusią Łukaszenki. Jeszcze w czerwcu obecnego roku ambasada USA w Kabulu przypominała mieszkańcom kraju o „miesiącu dumy" LGBT, sprawiając wrażenie, że to główny priorytet USA. To pokazuje, jak oderwane od realiów są obecne władze USA.

Blitzkrieg talibów bez wątpienia doda wiary dżihadystom z Al-Kaidy, ISIS, a także islamskim bojownikom w Syrii i wewnątrz UE. Wielu terrorystów będzie chciało dotrzeć do Europy wraz z falą afgańskich uchodźców, która wkrótce uderzy m.in. w Litwę, Łotwę czy Polskę. ©℗

eprasa.pl 81396aa6f1

24,90
~~34,90~~ zł

Ks. Dariusz Oko

Lawendowa mafia

WYDAWNICTWO AA, 14×20, s. 288, miękka

Polonia Christiana

DO RZECZY

Wstrząsająca książka ks. Dariusza Oko, odsłaniająca tajemnice działalności lawendowej mafii w Kościele.

Książka o kulisach wojny polsko-bolszewickiej oraz Bitwie Warszawskiej, która w 1920 r. zadecydowała o losach Polski i świata.

19,90
~~29,90~~ zł

Dariusz Walusiak

Wojna i wiara. 1920

WYDAWNICTWO AA, 14×20, s. 208, miękka

eprasa.pl 81396aa6f1

FOT. ADOBE STOCK

Szwajcaria na celowniku

Jakub Wozinski

Prowadzone przez Szwajcarię negocjacje w sprawie umowy handlowej z Unią Europejską pokazują, że gdy zagrożona jest suwerenność, warto zwyczajnie odejść od negocjacyjnego stołu

Jeszcze kilkanaście lat temu Unia Europejska kreowana była na elitarny klub dla majętnych państw. Za sprawą kryzysu finansowego z 2008 r., kryzysu zadłużenia w strefie euro, a później także brexitu wizerunek ten został mocno zszargany. Jednocześnie unijne elity stały się w stosunku do państwo członkowskich (i nie tylko) jeszcze bardziej szorstkie i apodyktyczne. Doskonałym tego przykładem są ciągnące się od 13 lat negocjacje pomiędzy Brukselą a Szwajcarią w sprawie zawarcia umowy handlowej. Obecnie zasady handlu z Helwetami są regulowane przez aż 120 różnych porozumień dwustronnych, które tworzą odmienne warunki dla poszczególnych państw członkowskich i z pewnością nie ułatwiają życia eksporterom i importerom.

ODWAŻNA DECYZJA

Po raz pierwszy wstępne porozumienie między tworzącą się z wolna UE a Szwajcarią zawarto w 1972 r., a następnie aktualizowano je dwukrotnie, ostatni raz przed 17 laty. Od tego czasu zmieniło się wiele rzeczy, lecz obie strony nie mogą dojść do porozumienia. Licząca zaledwie 8,5 mln mieszkańców Szwajcaria jest czwartym po USA, Chinach i Wielkiej Brytanii największym partnerem handlowym krajów Unii, a niemal połowa całego szwajcarskiego eksportu kierowana jest do państw wspólnoty. Jednocześnie Szwajcarzy importują aż jedną trzecią wszystkich towarów z krajów Unii. Biorąc pod uwagę wszystkie te dane, trudno nie kryć zdumienia, że Szwajcarzy zdecydowali się jednostronnie przerwać dalsze rozmowy.

Bruksela naciskała stanowczo na Berno w sprawie konieczności wypracowania porozumienia co najmniej od 2008 r. Rozmowy na temat podpisania Ramowej Umowy Instytucjonalnej (IFA) trwały długo, a już w 2018 r. Unia uznała, że wszystkie kwestie zostały ustalone i wystarczy jedynie złożyć stosowne podpisy. Szwajcarzy nie chcieli być jednak ponaglani i długo zwlekali, aż wreszcie w maju zerwali rozmowy.

W akcie odwetu Bruksela oficjalnie odcięła Szwajcarię od swojego programu badawczego i innowacyjnego „Horyzont Europa", który posiada największy budżet na świecie (95 mld euro). Formalnie uczestnictwo Szwajcarii w programie było traktowane w negocjacjach jako zupełnie osobna kwestia, ale – jak widać

eprasa.pl 81396aa6f1

– Unia nie ma żadnych skrupułów, aby naruszać ustalone zasady gry.

KARA DLA POPULISTÓW

Szwajcarski spór z Brukselą dotyczy tak naprawdę wielu różnych kwestii. Czasami wskazuje się nawet na to, że Berno zostało ukarane nie tylko za zerwanie rozmów w sprawie umowy handlowej, lecz także m.in. za podjętą niedawno decyzję o zakupie 36 myśliwców F-35A od amerykańskiego koncernu Lockheed-Martin i tym samym rezygnację z zakupu jednostek produkowanych przez koncerny francuskie i niemieckie.

W gruncie rzeczy o gładką współpracę między oboma partnerami z pewnością trudno, gdyż w Szwajcarii u władzy jest wciąż populistyczno-prawicowa Ludowa Partia Szwajcarii (SVP). Politycy tej partii przedstawiają swoją decyzję jako „zwycięstwo szwajcarskiej samodeterminacji" i akcentują mocno fakt, że podpisanie umowy IFA oznaczałoby de facto zrzeczenie się części suwerenności na rzecz Unii.

Szwajcarzy największego zagrożenia dla swojej niepodległości i niezależności dopatrują się w przepisach regulujących przede wszystkim zasady pomocy publicznej, dostępu obywateli UE do szwajcarskiej opieki społecznej oraz ochrony wynagrodzeń za pracę. Unia żąda m.in., aby rynkowy system opieki społecznej Helwetów obejmował również obywateli państw członkowskich, którzy nie płacą na niego ani franka. Oprócz tego zmianie miałyby ulec także zasady uzyskiwania pozwoleń na prowadzenie działalności gospodarczej. Innymi słowy – Unia pod pretekstem uregulowania kwestii handlowych chciała tak naprawdę dostroić Szwajcarię do zasad panujących w całej Unii, pozbywając się tym samym konkurencji. W ciągu ostatniej dekady liczba Niemców, którzy wyprowadzili się ze swojej ojczyzny do Szwajcarii w poszukiwaniu normalniejszego życia, wzrosła niemal dwukrotnie i dziś żyje ich tam już na stałe blisko pół miliona.

Szwajcarzy w trakcie negocjacji nalegali m.in. na swobodny dostęp do unijnego rynku energetycznego i usług zdrowotnych, a także na utworzenie niezależnego trybunału, który osądzałby wszystkie spory i zarządzałby wypłatę ewentualnych rekompensat za naruszenie ustalonych zasad. Preferująca narzucanie swojego zdania Unia nie była jednak skłonna ustąpić i rozstrzygnięcie kwestii spornych chciała pozostawić Europejskiemu Trybunałowi Sprawiedliwości, którego wątpliwej obiektywności doświadcza ostatnio Polska. Jeszcze w kwietniu prezydent Federacji Szwajcarskiej Guy Parmelin udał się na rozmowy z Ursulą von der Leyen, ale nie przyniosły one żadnego skutku, gdyż przewodnicząca Komisji Europejskiej nie kryła irytacji tym, że Szwajcarzy tak długo namyślają się nad treścią umowy.

FINANSOWE ZASTRASZANIE

Obecnie Komisja Europejska nie zamierza wznowić rozmów dopóty, dopóki Szwajcaria nie zapłaci 1,2 mld euro zaległej składki na fundusz spójności. Nie uczyniła tego od 2012 r., choć miała to być cena za swobodny dostęp do unijnego rynku. Szwajcarzy twierdzą, że wina leży po stronie Komisji Europejskiej, która w 2019 r. zablokowała szwajcarskim platformom tradingowym dostęp do europejskich giełd. W odwecie Szwajcarzy zarządzili, że akcje renomowanych szwajcarskich koncernów nie mogą być przedmiotem obrotu na europejskich giełdach. Jak się jednak później okazało, szwajcarskie marki cieszą się na tyle dużym wzięciem, że wrogie działania Komisji Europejskiej nie przyniosły im żadnych większych strat. W tej perspektywie trudno się jednak dziwić, że Szwajcarzy nie chcą płacić za dostęp do unijnego rynku, skoro Unia Europejska jednostronnie go ogranicza.

Sposób, w jaki Bruksela pragnie zastraszyć majętną i dbającą o własne interesy Szwajcarię, może szokować

Sposób, w jaki Bruksela pragnie zastraszyć majętną i dbającą o własne interesy Szwajcarię, może szokować. Chwyty poniżej pasa stosuje się nawet wobec kraju, który nie należy do wspólnoty (jedynie do strefy Schengen), a dodatkowo posiada strategiczne znaczenie ze względu na swój system finansowy i silną walutę.

Najbardziej niekorzystną z punktu widzenia Szwajcarii okolicznością jest to, że jest ona ze wszystkich stron otoczona przez kraje członkowskie Unii. Wcześniej czy później będzie więc musiała zawrzeć pewien rodzaj kompromisu. Uniokraci najbardziej liczą na to, że antyimigrancki rząd w Szwajcarii w końcu upadnie i wówczas jego następca zgodzi się na podyktowane przez nich warunki.

SUWERENNOŚĆ PONAD SONDAŻE

Zachowanie polityków SVP zasługuje w tym kontekście na spore uznanie, gdyż – jak pokazują sondaże – większość obywateli wcale nie stoi po ich stronie. Wielu Szwajcarów bardzo obawia się grożącej ich krajowi izolacji, ograniczenia dostępu do unijnego rynku i kolejnych kroków odwetowych ze strony Brukseli. Mimo to rządzący Szwajcarią uznali, że zwyczajnie nie mogą ugiąć się pod dyktatem Brukseli.

W polskiej debacie na temat ewentualnego opuszczenia Unii Europejskiej dominuje najczęściej argument, że taki krok byłby szaleństwem głównie ze względu na konsekwencje gospodarcze. Kazus Szwajcarii czy też wcześniej Wielkiej Brytanii pokazuje jednak, że z Unią można grać twardo, a jednocześnie nie płacić za to wygórowanej ceny. Unijny Goliat wydaje się teoretycznie skazany na zwycięstwo w konfrontacji z pojedynczym krajem, ale w ostatecznym rozrachunku nawet średniej wielkości Szwajcaria ma po swojej stronie wystarczająco wiele argumentów, aby nie kapitulować.

W dłuższej perspektywie UE nie może po prostu iść na gospodarczą i handlową wojnę ze Szwajcarią, gdyż poszczególne kraje członkowskie sąsiadujące z nią zbyt wiele straciłyby na wprowadzanych ograniczeniach i dążyłyby do zmiany kursu. Wiele kantonów tego alpejskiego kraju tworzy tak naprawdę osobne gospodarcze jednostki z sąsiednimi regionami Niemiec, Francji czy też Włoch i mało komu zależałoby na ich destrukcji. Poza tym Szwajcaria to przecież nie tylko światowa potęga farmaceutyczna, bankowa czy też w zakresie produkcji zegarków, lecz także wielki rynek zbytu i kraj, w którym żyje najwięcej milionerów na świecie.

Konflikt szwajcarsko-unijny pokazuje niestety, że Unia Europejska przestała już dbać o dobre maniery i bezceremonialnie dąży do zawładnięcia całą przestrzenią gospodarczą na kontynencie bez względu na koszty wizerunkowe. Wypada jedynie trzymać kciuki za Szwajcarów, gdyż od ich oporu zależy w dużym stopniu to, jak bardzo Bruksela rozzuchwali się w stosunku do krajów posiadających zdecydowanie mniej gospodarczych argumentów po swojej stronie, takich jak choćby Polska.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 81396aa6f1

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Niskie podatki i Gowin z PSL

Po Pawle Kukizie, którego całkiem niedawna przygoda z PSL skończyła się dużo szybciej, niż zapewne na początku przypuszczał (choć przecież już wiążąc się z tym ugrupowaniem, miał za sobą nazwanie PSL „zorganizowaną grupą przestępczą", za co przegrał w sądzie i przeprosił), teraz Jarosław Gowin zdradził, że „nowy obóz centroprawicy" zamierza budować m.in. wespół z PSL. „Będę współuczestniczył w tworzeniu nowego obozu centroprawicy – oświadczył po opuszczeniu Zjednoczonej Prawicy w wywiadzie dla »Rzeczpospolitej«. – Uważam, że obóz pomiędzy PiS a PO jest potrzebny Polsce. Taki obóz polityczny będzie łączył przywiązanie do tradycyjnych i chrześcijańskich wartości z naciskiem na niskie podatki i prywatną przedsiębiorczość. Z Koalicją Polską i PSL łączy nas dużo i taka współpraca jest jak najbardziej naturalna".

Nie wiem, czy Jarosław Gowin (a przed nim Paweł Kukiz?) zdaje się nie dostrzegać, że PSL w żadnym razie nie jest tożsame z jego obecnym, robiącym wrażenie sympatycznego człowieka, prezesem Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem (warto dodać – z zawodu lekarzem, a nie rolnikiem), a nawet wręcz przeciwnie. To znaczy W.K.K. w istocie kompletnie do PSL nie pasuje albo pasuje doń jak pięść do nosa i jest w PSL czymś na kształt kwiatka do kożucha. Albowiem PSL było, jest i nic nie wskazuje na to, by kiedykolwiek miało przestać być, udającym partię polityczną związkiem zawodowym rolników. I współpraca z nim, owszem, jest możliwa, wszelako wyłącznie pod absolutnie koniecznym warunkiem co najmniej milczącego zaaprobowania tego, że polscy rolnicy żyją w Polsce w raju podatkowo-składkowym, na który składają się – i, rzecz jasna, mają się dalej grzecznie składać – wszyscy pozostali podatnicy. Nie jest to więc w żadnym wypadku raj, do którego PSL chciałby wpuścić pozostałych Polaków – wszystkim, wzorem rolników, którzy PIT nie płacą, likwidując obowiązek uiszczania podatku od dochodów osobistych, do czego zresztą nieraz zachęcałem, bo to rozwiązanie jak najbardziej możliwe do zrealizowania.

Nie sądzę też, by PSL było szczególnie skłonne wszystkim Polakom zafundować obniżenie do „rolniczego" poziomu wysokości składek na ochronę zdrowia i emerytalnej. Dla porządku przypomnijmy, że składka zdrowotna – w przypadku rolników prowadzących zwykłe gospodarstwo rolne – wynosi 1 zł od każdego pełnego hektara przeliczeniowego miesięcznie (czyli od 50 ha – 50 zł), natomiast składka emerytalna właścicieli gospodarstw o powierzchni do 50 ha wynosi 429 zł raz na kwartał, a jeśli prowadzą pozarolniczą działalność gospodarczą – to 732 zł raz na kwartał.

Jeśli jednak ktoś, mimo wszystko, chce walczyć wespół z PSL o niższe podatki dla nierolników, to oczywiście życzę powodzenia, bo czemu nie. Ale sukcesu nie wróżę. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Głosował, ale się nie cieszył

My nie zmieniliśmy naszych poglądów. To partia Jarosława Kaczyńskiego obraca się plecami do wartości i programu, z którym szliśmy do wyborów. Dziś PiS realizuje w sprawach gospodarczych rozwiązania, które bliższe są radykalnej lewicy, a nie konserwatystom" – napisał w liście do członków swojego ugrupowania Jarosław Gowin. W zasadzie trudno się z tą diagnozą nie zgodzić, choć trudno też złośliwie nie zauważyć, jak zaostrza się większości polityków widzenie niedawnych partnerów politycznych, gdy sami znajdą się za burtą.

Trzeba oddać Gowinowi sprawiedliwość: wyznaczył sobie jakąś granicę i ostatecznie jej nie przekroczył

Za Gowinem ciągnąć się będzie zawsze scena z „Ucha prezesa", gdy tłumaczy się pani Basi, jak to, co prawda, głosował za ustawami sądowymi, ale się nie cieszył. Ten przytyk autora serialu Roberta Górskiego z 2017 r. pod adresem ówczesnego wicepremiera i ministra nauki z dzisiejszej perspektywy wydaje się trochę uzasadniony, a trochę jednak nie. Gowin niemal od początku przyjmował pozycję realisty, który idzie na bardzo daleko idące kompromisy, żeby – jak twierdził – coś jednak w końcu obronić ze swoich wartości. Pamiętam, jak na pewnym spotkaniu z udziałem lidera wtedy jeszcze Polski Razem cytowałem piosenkę Jacka Kaczmarskiego „Marsz intelektualistów":

Jestem postacią na wskroś tragiczną
Najtrudniejszegom dokonał wyboru:
Między obozem dla nieprawomyślnych
A honorami i łaską dworu.

Dziś myślę, że była to jednak z mojej strony mocna przesada. Trudno porównywać wicepremiera demokratycznego rządu i kompromisy, na które się zdecydował, z konformizmem ekipy intelektualistów w rodzaju Wiesława Górnickiego czy Mieczysława Rakowskiego, którzy wsparli ekipę Jaruzelskiego. Szczególnie że Gowin kilka razy się jednak postawił i to trzeba mu oddać. Zrobił to w sprawie zniesienia limitu 30-krotności, a więc uratował wysokość składek na ZUS, płaconych przez lepiej zarabiających. W ubiegłym roku zaś zdecydowanie sprzeciwił się majowemu terminowi wyborów prezydenckich i postawił na swoim za cenę chwilowego odejścia z rządu.

Czy Gowin jest charyzmatycznym liderem, za którym ludzie pójdą w ogień? W żadnym razie. Czy wiele razy głosował, ale się nie cieszył? Jak najbardziej. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość: wyznaczył sobie jakąś granicę i niezależnie od tego, że jego wyrzucenie z rządu było – jak to zwykle bywa – skutkiem wielu zachodzących łącznie czynników, tej granicy ostatecznie nie przekroczył. To byłby o jeden kompromis za daleko. Warto to docenić. ©℗

eprasa.pl 81396aa6f1

XXX Forum Ekonomiczne

7 – 9 WRZEŚNIA 2021, KARPACZ

FORUM EKONOMICZNE

EUROPA W POSZUKIWANIU PRZYWÓDZTWA

DOLNY ŚLĄSK

Organizowana od 30 lat najważniejsza konferencja w Europie Środkowo-Wschodniej

Liderzy polityki i biznesu z Europy, Azji i USA wśród gości Forum Ekonomicznego

Ponad 200 debat – makroekonomia, biznes i zarządzanie, energetyka, innowacje

Hotel Gołębiewski w Karpaczu – nowe miejsce spotkań elit gospodarczych i politycznych. Ponad 3000 gości

Znajdź nas na Facebooku!

www.forum-ekonomiczne.pl

kontakt: forum@isw.org.pl

eprasa.pl 81396aa6f1

Łukasz Zboralski

Opasani sportem

Elektroniczne sportowe opaski i zegarki mogą pomagać w zdrowszym życiu. Jednak nie dlatego, że motywują do uprawniania sportu – bo tu ich rola jest niewielka – ale raczej dzięki danym, które mogą wykorzystać lekarze

Podczas tegorocznych wakacji dziecko mojego znajomego zgubiło w Adriatyku opaskę monitorującą sportowe dokonania. Nurkował przy wodnym placu zabaw. Opaski nie znalazł, ale wyłowił… sportowy zegarek należący do kogoś innego. Gdy szukaliśmy w nim informacji o właścicielu, przejrzeliśmy zapisane tam aktywności sportowe. Okazało się, że ostatnią zarejestrowaną był króciutki bieg w lutym. To wszystko. Stan sportowego smartwatcha nie wskazywał, by tkwił on na dnie słonego morza pół roku. Zresztą nie udałoby mu się przeleżeć tam tak długo, bo tak, jak nad polskim morzem zgubionych fantów szukają wyspecjalizowane grupy z wykrywaczami metali, tak nad Adriatykiem grupa nurków z pobliskiego centrum codziennie opływa takie tereny i ma przy sobie woreczki na tego rodzaju znaleziska.

Patrząc na drogi zegarek z rozbudowanymi funkcjami do sportowych pomiarów, którego ktoś najwyraźniej wcale do sportu nie używał; patrząc na własny nadgarstek z takim urządzeniem i na opaski monitorujące wysiłek na rękach znajomych – zacząłem się zastanawiać, czy te urządzenia motywują ludzi do podejmowania wysiłku fizycznego i dbania o własne zdrowie, czy też są jedynie kolejnymi gadżetami i erzacem sportowego życia.

Odpowiedź na to pytanie okazała się szalenie trudna, choć urządzenia te są na rynku od ponad dekady, a przez pięć ostatnich lat jest na nie prawdziwy boom.

CO O NAS WIEDZĄ?

Danych ze sportowych opasek i zegarków w sieci są już nieprzebrane ilości. Głównie dlatego, że nadal tkwimy mocno w sieciach społecznościowych i tam udostępniamy swoje wyczyny, także sportowe. Smartwatche mają to niejako „w zestawie" – właściwie skłaniają do automatycznego udostępniania swoich osiągnięć, jeśli nie na Facebooku, to we własnych sieciach społecznościowych, które tworzy się w oparciu o wyspecjalizowane aplikacje, takie jak najpopularniejsza obecnie Strava.

FOT. ADOBE STOCK

Takie informacje pozwalają dziś już nawet na prowadzenie polityki transportowej w miastach. Analitycy zbierają np. dane o tym, jakie trasy i gdzie wybierają rowerzyści – i na tej podstawie zastanawiają się nad rozbudową dróg rowerowych. Możliwe są nawet drobiazgowe analizy, takie jak wykonane w 2020 r. w Wielkiej Brytanii badanie dotyczące tego, jak infrastruktura może przełamywać niechęć do jazdy rowerem w deszczu (na podstawie danych użytkowników Strava w Glasgow), czy badanie z lutego tego roku z Ottawy dotyczące punktów ryzyka na drodze dla rowerzystów w oparciu o trasy ujawniane w internetowych aplikacjach.

Mało tego – badacze są już nawet w stanie określać, kiedy kobiety mają menstruację. To dobrze widać w ich zachowaniach treningowych udostępnianych w sieci (dowiedli tego badacze z St Mary's University w Twickenham w analizie opublikowanej pod koniec ubiegłego roku w „British Journal of Sports Medicine").

Tymczasem analiz dotyczących ludzkich zachowań i motywacji w związku

eprasa.pl 81396aa6f1

z elektronicznymi monitorami aktywności sportowych jest jak na lekarstwo. To w pewnym stopniu zrozumiałe. Trzeba by sięgać bardzo głęboko, nie tylko do ujawnianych danych, by sprawdzić, czy tego rodzaju urządzenia kupują ludzie już uprawiający sport czy tacy, którzy chcą dopiero się zmusić do większego wysiłku. I znów – trzeba by rozdzielać

dane dotyczące częstotliwości i osiągnięć sportowych przed zakupem i po zakupie urządzenia u osób wcześniej prowadzących sportowy tryb życia i u tych, którzy raczej siedzieli na kanapie.

CZY ELEKTRONICZNY TRENER DZIAŁA?

Wiemy co nieco o tych, którzy rejestrują swoją aktywność, np. biegową. Z danych użytkowników Strava z Ameryki Północnej, Ameryki Południowej, Europy i Azji wynika, że dla ponad 80 proc. biegaczy główną motywacją jest zdrowie fizyczne. Reszta – ale bierzmy pod uwagę, że dane obejmują pandemiczny rok 2020 – biegała głównie ze względu na zdrowie psychiczne. 22 proc. Brazylijczyków biegało w obawie o własne zdrowie psychiczne. 15 proc. biegających Japończyków twierdziło, że dzięki temu czują się mniej niespokojni i mniej przygnębieni. Wśród tych, którzy ruszają do biegu ze względu na psychikę, aż 30 proc. motywacji dotyczyło tego, by czuć się lepiej ze względu na lepszy wygląd swojego ciała. Tego rodzaju motywacja najczęściej występuje u Niemców (48 proc. tych, którzy biegają ze względu na lepsze samopoczucie).

Jednak czy urządzenie na nadgarstku staje się naszym motywatorem do zmiany stylu życia na zdrowszy? Odpowiedź jest taka: to zależy.

W 2016 r. ministerstwo zdrowia Singapuru przeprowadziło badanie na 800 osobach, by sprawdzić, czy noszenie opasek monitorujących aktywność i zachęcających do codziennego wykonania określonej liczby kroków ma wpływ na zdrowie. Badano to przez rok. Wnioski? Ludzie z opaskami rzadziej rezygnowali z podejmowania spacerów, ale badacze podsumowali to tak: „Nie zidentyfikowaliśmy dowodów na poprawę wyników zdrowotnych […], co budzi wątpliwości co do wartości tych urządzeń do promocji zdrowia".

Były też badania dotyczące utraty wagi u ludzi noszących tego typu urządzenia, przeprowadzone przez Uniwersytet w Pittsburghu („Effect of Wearable Technology Combined With a Lifestyle Intervention on Long-term Weight Loss"). Okazało się wówczas, że więcej schudli ci, którzy sportowych opasek monitorujących nie nosili. Badacze uznali, że zwłaszcza wśród dorosłych w wieku 25–40 lat nowoczesne technologie mogą nie mieć przewagi nad standardowymi podejściami do odchudzania.

U nastolatków nie jest lepiej. Z analiz prowadzonych przez australijski Institute for Physical Activity and Nutrition (IPAN) w Deakin University wynika, że nie ma wielu dowodów na to, iż smartbandy zwiększają poziom aktywności fizycznej wśród młodzieży. Zainteresowanie nastolatków takim urządzeniem spada po ok. dwóch tygodniach od początku użytkowania. Z kolei 25–50 proc. dorosłych przestaje używać takich urządzeń po ok. sześciu miesiącach od zakupu.

W jednym z szerszych badań Koreańczycy zajmujący się interakcjami między ludźmi i komputerami na Hankuk University of Foreign Studies postanowili sprawdzić, czy sportowe i fitnessowe opaski w ogóle mają wpływ na zmianę ludzkich zachowań. W pracy opublikowanej w ubiegłym roku doszli do wniosku, że wśród tych, którzy prowadzą sportowy tryb życia, zmiany są niezauważalne. Jedynym światełkiem w tunelu było odnotowanie faktu, że część ludzi z takimi opaskami zaczęła… regularnie chodzić. To niewiele. Choć przy trybie życia współczesnych ludzi może i całkiem dużo?

DROGA MEDYCZNA

Choć sportowe smartwatche i opaski nie pomagają w rzeczywistości zacząć zdrowszego życia tym, którzy go nie prowadzą, to mogą jednak przyczynić się do poprawy ludzkiej kondycji. Tyle że w zupełnie inny sposób, niż to sobie powszechnie wyobrażamy – nie jako motywatory do uprawniania sportu, lecz jako narzędzia kontroli. I są już na to dowody.

W styczniu tego roku medycy z Uniwersytetu Medycznego w Kaohsiung na Tajwanie opisali swój eksperyment z wykorzystaniem smartbandów u pacjentów wracających do zdrowia po mało inwazyjnych operacjach raka jelita grubego. Uniwersytet prowadzi program mobilizujący pacjentów do powrotu do zdrowia od pierwszego dnia po operacji. Smartbandy w tym pomogły. Zespoły chirurgiczne dzięki danym z opasek lepiej komunikowały się z rekonwalescentami i wzmacniały samokontrolę u pacjentów. Wracali oni do zdrowia w ciągu trzech dniu po zabiegu, czyli średnio o jeden dzień wcześniej niż pacjenci, którzy nie posiadali smartbandów.

W tym kontekście i przy starzejącej się populacji Europy smartbandy i smartwatche mogą też stać się pomocą w dbaniu o seniorów, którzy nierzadko żyją już w samotności. Monitorowanie funkcji ich organizmów (puls, ciśnienie, przemieszczanie się itd.) może pomóc szybko zareagować w razie problemów. Portugalczycy już zbadali, czy seniorzy akceptowaliby noszenie takich urządzeń. I poziom tej akceptacji okazał się wysoki („Usability of Smartbands by the Elderly Population in the Context of Ambient Assisted Living Applications", czerwiec 2021 r.), wydaje się więc, że ta droga jest otwarta.

A ten, kto zgubił w Adriatyku sportowy smartwatch? No cóż, prawdopodobnie dalej nie będzie uprawiał sportu…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 81396aa6f1

Potrzebujemy leków produkowanych w Polsce

Z Krzysztofem Kopciem, prezesem Polskiego Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego
rozmawia Katarzyna Pinkosz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 81396aa611

KATARZYNA PINKOSZ: Pandemia COVID-19 spowodowała, że bardzo dużo zaczęło się mówić nie tylko o bezpieczeństwie militarnym, lecz także lekowym. Wydawało się wcześniej niemożliwe, żeby w aptece czy szpitalu zabrakło leków dla pacjentów.

KRZYSZTOF KOPEĆ: Leki wydawały się oczywistością, zwłaszcza stosowane w chorobach przewlekłych. Przez wiele lat tak było; pojawiały się zawirowania na listach refundacyjnych, nie było jednak sytuacji, żeby brakowało leków w aptece czy w szpitalu. W Polsce nikt nie zdawał sobie sprawy, że może zabraknąć leków podstawowych, np. antybiotyków, paracetamolu czy metforminy: podstawowego leku w cukrzycy.

Zamykanie niektórych fabryk w Chinach, zamknięcie granic na początku pandemii – to pokazało, że sytuacja może się zmienić, że możemy nie kupić leku, który stosujemy od lat, albo że zabraknie ważnego leku w szpitalu?

Zobaczyliśmy, że uzależnienie się od dostaw z Azji może być problemem i może odbić się na dostępności leków dla pacjentów. W okresie epidemii na całym świecie wzrosło zapotrzebowanie na konkretne leki, np. na stosowane w leczeniu powikłań COVID-19 niektóre antybiotyki czy sterydy, stosowane w przebiegu tej choroby.

W codziennych raportach wszyscy mówili o liczbie pacjentów podłączonych do respiratorów, a nikt nie mówił, że po to, by byli do niego podłączeni, konieczne są leki anestezjologiczne, na które zapotrzebowanie ze strony szpitali wzrosło o kilkaset procent. Ktoś musiał im te leki dostarczać. Priorytetem dla polskich firm było to, żeby dostarczać leki na rynek krajowy. A część firm, oprócz tego, że sprzedawała leki, w tych najtrudniejszych momentach pandemii robiła też darowizny dla szpitali. Pandemia pokazała, że firmy produkujące w kraju są „poduszką powietrzną" na wypadek jakichkolwiek zawirowań. Chodzi nie tylko o polskie firmy, takie jak Polpharma, Adamed czy Polfa Tarchomin, lecz także międzynarodowe, które produkują w Polsce (m.in. Teva, Sandoz, Gedeon Richter czy Servier). Dostarczały swoje leki szpitalom, współpracowały z nimi.

Katarzyna Dubno, dyrektor ds. relacji zewnętrznych i ekonomiki zdrowia w firmie Adamed: Chcemy być traktowani jako partner w zapewnieniu bezpieczeństwa lekowego

Gdy zaczęła się pandemia, krajowi producenci leków postawili przed sobą cel, aby przede wszystkim zagwarantować ciągłość produkcji oraz żeby pacjenci w Polsce mieli pierwszeństwo, jeśli chodzi o dostawy leków. W innych krajach działo się podobnie: firmy produkujące w danym kraju najpierw gwarantowały dostawy na potrzeby rynku, na którym mają swoje fabryki. Myśleliśmy nie tylko o lekach przeciw COVID-19, lecz także przede wszystkim o tych, które dostarczamy milionom pacjentów z różnych grup terapeutycznych. Pacjenci z chorobami psychiatrycznymi, neurologicznymi, kardiologicznymi nie przestali przecież w czasie pandemii chorować. Część leków przekazywaliśmy szpitalom nieodpłatnie: np. ponad 5 tys. opakowań deksametazonu, sterydu wykorzystywanego m.in. w leczeniu COVID-19.

W trakcie kolejnych fal COVID obserwowaliśmy zwiększone zapotrzebowanie na niektóre antybiotyki i sterydy, stosowane w powikłaniach COVID-19. W przypadku azytromycyny zapotrzebowanie wzrosło nawet pięciokrotnie; połowa dostarczonego szpitalom leku pochodziła z naszej fabryki. W przypadku deksametazonu w tabletkach zapotrzebowanie wzrosło prawie dwukrotnie, nasz produkt zabezpieczył trzy czwarte krajowego zapotrzebowania. Chcąc zapewnić nieprzerwaną produkcję, koncentrowaliśmy się także na zagwarantowaniu bezpieczeństwa naszym współpracownikom. To był ogromny wysiłek organizacyjny, ale też koszty: środków ochrony, płynów dezynfekcyjnych, sterylizatorów powietrza, dezynfekowania pomieszczeń, testów dla pracowników. Nadal wiele z tych zabezpieczeń musi być utrzymanych.

Obecnie, biorąc pod uwagę kolejną falę pandemii, zwiększamy zapasy produkowanych przez nas leków, aby zabezpieczyć się przed problemami m.in. z dostępnością do substancji czynnych. To ogromny koszt, który ponosimy, aby mieć pewność, że naszych leków nie zabraknie w sytuacji kryzysowej. Jako branża chcielibyśmy, aby rząd włączył nas w dyskusję i przygotowania do kolejnych fal COVID w sposób proaktywny, a nie reaktywny. Chcielibyśmy współuczestniczyć w przygotowaniach do kryzysu, zanim on nastąpi, i być traktowani jak partner w zapewnieniu bezpieczeństwa lekowego Polski. Mamy swoje doświadczenia i obserwacje, a w trakcie poprzednich fal udowodniliśmy, że potrafimy stanąć na wysokości zadania, że można na nas liczyć.

Czy jako kraj dziś jesteśmy bezpieczni pod względem lekowym?

Dziesięć lat temu w Polsce było produkowanych ok. 50 proc. leków refundowanych w Polsce, obecnie to tylko ok. 30 proc. Aż dwie trzecie leków przyjmowanych na receptę i refundowanych są sprowadzane z zagranicy. Oczywiście można powiedzieć, że sprowadzamy leki taniej, jednak pandemia pokazała, że „taniej" nie oznacza „bezpieczniej". Firmy produkujące w kraju robiły, co mogły, by dostarczyć leki pacjentom i szpitalom. Gdyby nie było krajowych producentów, tak by nie było.

W żadnym kraju nie ma jednak sytuacji, żeby wszystkie leki były produkowane na miejscu.

To prawda, uważamy jednak, że powinno być odwrotnie: dwie trzecie leków, które stosują polscy pacjenci, powinny być produkowane w Polsce, a jedna trzecia sprowadzana z zagranicy. Jeśli chodzi o leki innowacyjne, chronione patentami, to większość z nich jest sprowadzana z Europy Zachodniej lub USA. Leki podstawowe, generyczne, z powodzeniem mogą być produkowane w Polsce.

Leki innowacyjne są potrzebne, jednak większość pacjentów na co dzień

Dziesięć lat temu w Polsce było produkowanych ok. 50 proc. leków refundowanych w Polsce; obecnie to tylko ok. 30 proc. Aż dwie trzecie leków przyjmowanych na receptę i refundowanych są sprowadzane z zagranicy

eprasa.pl 81396aa6f1

leczy się właśnie lekami podstawowymi – na cukrzycę, hipercholesterolemię, nadciśnienie. Do tej pory te leki były traktowane po macoszemu, wydawało się, że nigdy ich nie zabraknie. Pandemia pokazała, że one są ważne, są podstawą bezpieczeństwa.

Postulujecie, by wyłonić Partnerów Bezpieczeństwa Lekowego. Kto powinien nimi zostać?

Bezpieczeństwo lekowe jest możliwe, jeśli większość leków podstawowych będzie produkowana w Polsce. Firmy będą to robić tylko wtedy, gdy będą mieć stabilność i przewidywalność działalności gospodarczej. Największy nacisk chcemy kłaść właśnie na stabilność. Moim zdaniem dwie rzeczy powinny definiować Partnera Bezpieczeństwa Lekowego. Pierwsza: dana firma powinna produkować w naszym kraju 25 proc. sprzedawanych w Polsce swoich leków refundowanych. Druga kwestia: taki producent powinien wytwarzać 100 mln dawek rocznie, czyli musi tu mieć dużą fabrykę. Nie musi to być tylko produkcja leków na receptę, mogą to być także leki OTC – wydawane bez recepty, jednak w razie kryzysu istnieje możliwość przestawienia się na produkcję konkretnych leków. Stanowi to zaplecze dla bezpieczeństwa.

Jakie korzyści powinien mieć Partner Bezpieczeństwa Lekowego?

Nie chcemy większych wydatków z budżetu państwa, nasza propozycja obejmuje pięć punktów. Pierwszy: Partner Bezpieczeństwa Lekowego może mieć ustalane warunki cenowe swoich leków refundowanych na bazie ustawy na poziomie cen progowych (a mówi ona m.in., że pierwszy odpowiednik musi zaproponować cenę niższą minimum o 25 proc.). Czyli: od partnera ministerstwo oczekuje mniejszej redukcji ceny niż od innych producentów. Druga rzecz: gdy mamy przedłużenie decyzji refundacyjnej, to cena może pozostać ta sama. Trzecia: zwolnienie z paybacku, który podcina skrzydła każdemu modelowi rozwoju. W pandemii zwiększyła się np. sprzedaż azytromycyny czy deksametazonu o kilkaset procent; gdyby stosowany był payback, to doszlibyśmy do absurdalnej sytuacji, że firma, która zachowała się odpowiedzialnie i dostarczyła leki, musiałaby nadwyżkę z tego tytułu oddać do budżetu. Czwarta kwestia: chcielibyśmy, żeby decyzje o refundacji obowiązywały pięć lat (a nie trzy, jak to jest obecnie). Firma partner miałaby gwarancję stabilności, ale również ministerstwo miałoby pewność, że leki zostaną dostarczone. Piąta kwestia: w przypadku kilku leków innowacyjnych minister w pierwszej kolejności rozpatrywałby lek Partnera, a po drugie mógłby stosować w stosunku do niego wyższy poziom QALY, by objąć go refundacją. To byłaby korzyść dla firmy, która ma innowacyjne leki i chciałaby je wprowadzać do Polski.

Chcielibyśmy zamrozić trend spadkowy i spowodować, że produkcja leków w Polsce będzie rosła. Ten mechanizm wydaje nam się dobry, gdyż już obecne przepisy ustawy refundacyjnej biorą pod uwagę działalność inwestycyjną w Polsce. Poprawiłoby to sytuację, ponieważ byłaby przewidywalność – zarówno dla producenta, jak i dla ministerstwa.

Sebastian Szymanek, dyrektor generalny Polpharma: Takie podejście uratowało życie wielu pacjentów

Z bezpieczeństwem lekowym jest trochę jak ze zdrowiem: dopóki je mamy, dopóty o nim nie myślimy. W trakcie pandemii głośne były sytuacje braku tlenu dla szpitali, spirytusu do środków odkażających, maseczek i innych środków ochronnych, szczepionek. Z pełną odpowiedzialnością mogę jednak powiedzieć, że nieraz było blisko, żeby zabrakło leków. Na początku pandemii pojawiły się opóźnienia w dostawach różnych materiałów produkcyjnych, w tym substancji czynnych, wiele krajów wprowadzało ograniczenia eksportowe, na to nakładały się zamykanie granic i problemy z transportem. Staraliśmy się wyegzekwować jak najwięcej dostaw, wprowadziliśmy mechanizmy zapewniające ciągłość produkcji. Jako krajowi producenci podjęliśmy decyzję o ograniczeniu eksportu, gdyż dane wskazywały, że możemy mieć problem z zapewnieniem dostaw na polski rynek, który zawsze był dla nas priorytetowy.

Udało nam się ściągnąć do Polski i przekazać w formie darowizn setki tysięcy materiałów ochronnych (maseczki, rękawice, fartuchy, przyłbice itd.), najbardziej dumny jestem z decyzji zakupu w kwietniu 2020 r. 100 respiratorów. Udało nam się sprowadzić je do Polski w okresie, gdy nie udawało się to rządom wielu państw. W porozumieniu z Ministerstwem Zdrowia przekazaliśmy je do wskazywanych szpitali. Przed drugą falą postanowiliśmy się przygotować. Niewiadomą było dla nas, na jakie leki zapotrzebowanie może gwałtownie wzrosnąć. W tym celu zwróciliśmy się do lekarzy praktyków, próbując zrozumieć, czym będą leczyć powikłania związane z COVID. Dostaliśmy dużo wskazówek, na tej podstawie podjęliśmy decyzję o zrobieniu zapasów na wiele kategorii leków. To była trudna decyzja, bo zamroziliśmy ponad 100 mln zł bez gwarancji, że leki zostaną zużyte. Dodatkowo porozumieliśmy się z naszymi związkami zawodowymi, że w przypadku ryzyka braku konkretnych leków będziemy mogli zmieniać cykl produkcyjny (na 24-godzinny przez siedem dni w tygodniu). Takie podejście uratowało życie wielu pacjentów.

W czasie drugiej i trzeciej fali ogólne zapotrzebowanie na leki spadło (mniej wizyt w POZ i u specjalistów, mniej planowych zabiegów operacyjnych), jednak w okresie szczytu zachorowań zapotrzebowanie na niektóre produkty wzrosło o kilkaset procent (np. na wybrane antybiotyki, stosowane w powikłaniach zapalenia płuc, leki stosowane w wentylacji mechanicznej). Dzięki temu, że zrobiliśmy zapasy, było czym leczyć pacjentów. Współpracujemy też przy realizacji narodowego programu szczepień. Każdy wie, skąd mamy szczepionki, ale mało kto pamięta, że to Polpharma dostarcza sól fizjologiczną, niezbędną do ich użycia. Zapewniliśmy również odpowiednią dostępność adrenaliny, która jest podstawowym lekiem przeciwwstrząsowym. Nie było sytuacji, kiedy nie można było otworzyć punktu szczepień z powodu braku adrenaliny.
Problem polega na tym, że od 2012 r. leki refundowane tanieją, a przez ten czas wzrosły ceny energii, koszty pracy, ceny materiałów. Zbliżamy się do niebezpiecznej granicy opłacalności produkcji w Polsce. Posiadanie silnych krajowych producentów daje dwie podstawowe korzyści. Pierwsza: Polska jest dla nich zawsze priorytetem. I druga: lokalna produkcja daje większą elastyczność produkcji. Jesienna fala COVID jest pewna, jednak zapewne z mniejszą liczbą hospitalizacji. Wiemy, jakie leki będą potrzebne pacjentom. Jesteśmy na to przygotowani.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 81396aa6f1

TEST „DO RZECZY": INTELIGENTNY RYŻOWAR XIAOMI MI

Dobra jakość wykonania, nowoczesne wzornictwo oraz prostota obsługi i czyszczenia – to największe zalety inteligentnego ryżowaru.

W tej rubryce pisałem już m.in. o smartfonach, smartwatchach, inteligentnych żarówkach, gniazdkach elektrycznych czy inteligentnych kamerach do monitorowania domu czy domofonach typu smart. Ale inteligentny ryżowar? Tego jeszcze nie było.

Xiaomi Mi Induction Heating Rice Cooker to ładne białe urządzenie o mocy 1130 W, w którym można gotować ryż oraz oczywiście np. wołowinę z warzywami. To sprzęt dla ludzi, którzy nie sądzą, że ryż to jedna z najbardziej banalnych rzeczy do ugotowania w kuchni, i wierzą, że potrzebują nowoczesnego pomocnika, aby ryż był perfekcyjnie ugotowany, soczysty i jak najlepiej nadawał się np. do sushi.

Jak na urządzenie typu smart przystało, ryżowarem można sterować ręcznie za pomocą przejrzystego panelu LED na urządzeniu lub poprzez aplikację Xiaomi Home, co pozwala np. na rozpoczęcie przygotowań do romantycznej kolacji jeszcze przed wyjściem z pracy. Oczywiście wymaga to porannego przygotowania wszystkich składników, bo teraz wszystko niby takie mądre, ale ryżu samo nie wsypie i wodą też nie zaleje. W razie korków nic nie wystygnie, wystarczy zaznaczyć opcję automatycznego utrzymywania ciepłego dania. Obsługa aplikacji jest banalnie łatwa, choć wymaga znajomości podstaw angielskiego, bo w menu po polsku jest tylko informacja, że urządzenie to „garnek do gotowania ryżu". Na ekranie smartfona można podglądać, jak w środku rośnie temperatura, a także sprawdzić, czy danie jest już gotowe.

Do wyboru jest kilka programów, w tym ryż, szybki ryż (wówczas ryż gotowy jest w 40 min) czy congee, czyli tradycyjny kleik ryżowy gotowany tradycyjnie nawet przez kilka godzin (ryżowar potrzebuje na tę potrawę ok. 90 minut). Według producenta płyta izolacyjna na górze misy pozwala osiągnąć temperaturę na poziomie nawet 360 st. C.

Po wybraniu programu gotowania na parze inteligentnego ryżowaru można również używać jako tradycyjnego parowaru i przygotowywać za jego pomocą różne inne posiłki, niekoniecznie z ryżem w roli głównej: od pierożków czy kurczaka z warzywami poprzez leczo, różnego rodzaju zupy, jajka, aż do krewetek. Ania Mucha i inne gwiazdy kina, które świetnie znają się na owocach morza, będą więc mogły wreszcie porządnie przygotować sobie np. ostrygi na parze po kantońsku bez marnowania na nie kilkuset złotych za porcję. W komplecie znajdują się specjalne łyżki do ryżu i do owsianki. A w aplikacji przepis na jogurt oraz ciastko.

Wady? Po pierwsze, brakuje papierowej instrukcji obsługi chociaż z podstawowymi przepisami. To sprawia, że wiele potraw trzeba wyłączać, bazując na instynkcie kucharza, a nie na inteligencji urządzenia. Po drugie, aplikacja nie tylko nie jest przetłumaczona na polski, lecz także nawet w wersji angielskiej nie oferuje zbyt wielu możliwości, a szkoda, bo łatwo można by ją rozbudować choćby o przepisy właśnie. Po trzecie wreszcie, testowany szybkowar to urządzenie dla osób z dużą kuchnią. Samo w sobie jest co prawda stosunkowo niewielkie (30 x 25,1 x 20 cm), ale trzeba znaleźć na nie miejsce na blacie obok ekspresu, czajnika etc.

Stosunek ceny do jakości i możliwości wydaje się mimo wszystko dość atrakcyjny. Inteligentny ryżowar kosztuje 429 zł. ©℗

Jacek Przybylski

NOWY CYFROWY PIES

Xiaomi CyberDog to inteligentny czworonożny robot, który bez castingu powinien dostać rolę w każdym filmie SF. Na głowie cyberpsa Chińczycy zamontowali zestaw kamer, sześciu mikrofonów i czujników, które pozwalają robotowi sprawnie się poruszać i unikać przeszkód. Gadżet jest też uzbrojony w czujniki dotykowe. Urządzenie może na wydaną komendę biegać (z prędkością do 11,5 km/h), skakać, pochylać się do przodu, stawać na tylnych łapach, turlać się, a nawet... zrobić salto w tył. Robotopies może też przenosić lekkie przedmioty – jego maksymalny udźwig wynosi na razie tylko 3 kg. Komendy można mu wydawać przez smartfona, za pośrednictwem pilota lub głosowo. Mózgiem cyberdoga jest superkomputer NVIDIA Jetson Xavier NX wspierany przez pamięć SSD o pojemności 128 GB. Cena: ok. 6 tys. zł.

SMARTFON DLA BAKTERIOFOBÓW

Pandemia COVID-19 rozbudziła w wielu osobach strach przed wirusami i bakteriami. I marketingowcy potrafią to wykorzystać. Ulefone Armor 12 5G na pierwszy rzut oka wygląda jak zwykły wzmocniony smartfon. Jego wodoodporna obudowa została pokryta antybakteryjną powłoką z jonami srebra, która hamuje rozwój różnego rodzaju drobnoustrojów, w tym dość popularnej na powierzchniach używanych smartfonów bakterii E. coli. Nowa powłoka może być przydatna, bo już od dekady naukowcy ostrzegają, że statystyczny smartfon jest kilkukrotnie gęściej pokryty zarazkami niż publiczna toaleta. Smartfon z pojemną baterią i w miarę przyzwoitymi podzespołami został wyceniony na równowartość 1,1 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 81396aa6f1

Jacek Komuda

Potęga i upadek Janowca

FOT. ADOBE STOCK

Zamek w Janowcu nad Wisłą to po Krzyżtoporze, Krasiczynie i Podhorcach jeden z pomników dawnej chwały I Rzeczypospolitej, której tak bardzo nam dziś brakuje

W przeciwieństwie do opisywanych wcześniej zamków śląskich i małopolskich zamek w Janowcu nie ma korzeni w średniowieczu. Powstał na początku XVI stulecia, wzniesiony przez dwóch sławnych Firlejów – Mikołaja, kasztelana i hetmana wielkiego koronnego, oraz jego syna Piotra, kasztelana chełmskiego, który brał udział w bitwie pod Orszą w 1514 r. Budowa Janowca rozpoczęła się we wsi zwanej Syrokomla, którą wspomniani Firlejowie nabyli od Janowskich, na wysokiej wiślanej skarpie. Daty rozpoczęcia prac są sprzeczne i historycy zamku podają je w przedziale od 1507 lub 1526 r. do 1537 r., co znaczy, że budowę zakończono już po śmierci kasztelana Mikołaja. W miejscu, w którym powstał zamek zadziwiający i dziś ogromem, wznosił się wcześniej obronny dwór Janowskich, dziś jednak trudno nawet domyślać się jego zarysów.

Janowiec był od początku jednym z najnowocześniejszych zamków wzniesionych w systemie bastejowym. Czym różnił się od wcześniejszych? Ano tym, że dostosowano go do obrony z użyciem artylerii. Przede wszystkim budując basteje – czyli niskie, półkoliste, wysunięte przed mur baszty przystosowane do prowadzenia ognia z dział; flankując z boków nacierających wrogów. Janowiec, jak uważa Jerzy Żurawski, „był dziełem prekursorskim w Polsce początku XVI w. i musiał mieć wpływ na powstające kilkadziesiąt lat później liczne zamki tego typu na południowo-wschodnich kresach".

Pierwotny Janowiec składał się z budynku bramy z basteją, przedbramia, wielkiej bastei północno-wschodniej, baszty i dwóch wież. Ot, wielki plac ogrodzony murem, pusty w środku. Wszystkie dzieła obronne połączone były kurtynami, czyli nowoczesnymi murami z systemem strzelnic. Wewnętrzny dziedziniec na czas wojny miał stawać się obozowiskiem – tutaj mogli znaleźć schronienie poddani z okolicznych włości Firlejów. To była podstawa, do której dobudowywano kolejne obiekty, już za czasów Piotra Firleja i jego następców – przede wszystkim Andrzeja kasztelana lubelskiego i starosty sandomierskiego. Przede wszystkim w części południowo-wschodniej dobudowano renesansowy pałac z attykami, łącząc go z basztą i wieżą mieszkalną, gdyż w fortecy brakowało po prostu wielkopańskiej rezydencji. Rozbudową dokonaną w latach 1565–1579 kierował Santi Gucci Fiorentino, wybitny włoski architekt i rzeźbiarz, który dodatkowo przegrodził dziedziniec zamku na pół, dodając ścianę z piętrowymi krużgankami.

POD WŁADZĄ TARŁÓW I LUBOMIRSKICH

Na początku XVII w. Janowiec trafił pod władzę rodu Tarłów herbu Topór. I wówczas Jan Karol Tarło, kasztelan wiślicki, starosta olsztyński i zwoleński, praktycznie wyburzył część twierdzy, dokonując przebudowy, której efekty możemy podziwiać dzisiaj. Dzięki niej zamek stał się monumentalną rezydencją magnacką, która sprawia niezwykłe wrażenie, nawet pozostając w stanie częściowej ruiny. Na miejscu pałacu Firlejów wzniesiono większy, dwupiętrowy, dodano do niego cylindryczne wieże. Dobudowano także kolejne skrzydła – dom północny i czteropiętrowe skrzydło wschodnie z gankami. W ten sposób zabudowano też wielką basteję. Praktycznie Janowiec przestał wówczas pełnić funkcje obronne, stając się rezydencją – symbolem splendoru i bogactwa rodu Tarłów.

W 1654 r. dawna twierdza przeszła w ręce Jana Sebastiana Lubomirskiego, przyszłego hetmana i rokoszanina, a jednocześnie bohatera czasów „Potopu" i późniejszych wojen z Moskwą. Lubomirski otrzymał ją razem z ręką Barbary, córki Jana Karola Tarły, jednak pochłonię-

eprasa.pl 81396aa6f1

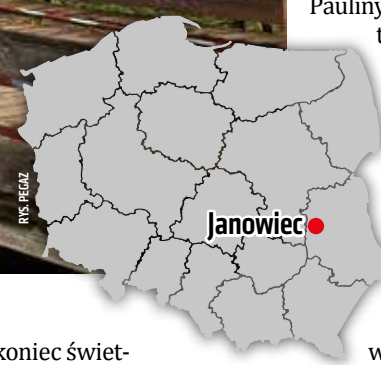

RYS. PEGAZ

ty wojnami i polityką niewiele przejmował się zamkiem, który został oczywiście ograbiony i spalony przez Szwedów. Jednak kolejni właściciele – jak np. Jerzy Dominik Lubomirski, wojewoda krakowski – dokonali nie tylko jego odnowienia, lecz także wzbogacili go o nowe budowle. Rozebrano wieżę na północy i zbudowano dom dla czeladzi, a na Małym Dziedzińcu – nad studnią – wyjątkową kaplicę, gdzie na parterze mieściły się kołowroty do czerpania wody, a na piętrze – właściwe pomieszczenie sakralne.

Janowiec zmienił swoje oblicze na rokokowe za czasów Antoniego Benedykta Lubomirskiego, marszałka wielkiego koronnego, który powiększył zamek, zabudowując praktycznie całą wolną przestrzeń wokół dawnych murów. Jednocześnie wprowadzono dekoracje malarskie i sztukatorskie, przebudowano okna, zmieniając barokowy pałac w piękną, XVIII-wieczną rezydencję.

I to był już koniec świetności Janowa, który po śmierci Antoniego Benedykta przeszedł w ręce jego syna Jerzego Marcina Lubomirskiego, awanturnika, konfederata, przywódcy zbrojnej bandy, skandalisty i – jak sądzono – biseksualisty. Nowy właściciel okazał się mistrzem w trwonieniu majątku rodziców. W 1783 r. sprzedał Mikołajowi Piaskowskiemu zamek w Janowcu lub przegrał go w karty. Był to jeszcze gorszy człowiek, bo wróg Konstytucji 3 maja i zajadły targowiczanin. Od tego czasu zaczęła się kompletna dewastacja zamku.

PRYWATNY ZAMEK W PRL

Jest rzeczą znamienną, że upadek I Rzeczypospolitej pod koniec XVIII w. oznaczał jednocześnie wyrok dla licznych pałaców i zamków, których nie były już w stanie utrzymywać zubożałe rody magnackie, z trudem odnajdujące się w nowej, porozbiorowej rzeczywistości. To właśnie ich zaniedbania, w połączeniu z wojnami i grabieżami, a nie mityczni Szwedzi stali się przyczyną ruiny wielu podobnych budowli. Piaskowski nie miał pieniędzy na utrzymywanie Janowca, po jego śmierci w 1803 r. kolejni panowie na włości, Osławscy, tym bardziej nie podołali tym trudom. Do naturalnej dewastacji doszły zniszczenia w czasie wojen napoleońskich, dlatego nowi właściciele sprzedali wszystkie elementy architektoniczne i wyposażenia, takie jak kominki, posadzki, rzeźby, i przenieśli się do innych siedzib. W połowie XIX w. nad zamkiem nie było już dachów, a pozostałości traktowano jako kamieniołom – burzono ściany i gmachy, aby uzyskać obrobiony budulec.

W czasach II Rzeczypospolitej Janowiec był już tylko ruiną. W latach 20. kolejni już właściciele – Ćwirko-Godyccy – rozparcelowali majątek, sprzedając ruiny Zieleniewskim. W 1931 r. znalazł się jednak prawdziwy pasjonat Leon Kozłowski, który za 5 tys. zł (tyle kosztował wówczas samochód) kupił Janowiec od Pauliny Zieleniewskiej w celu odbudowy tego niezwykłego miejsca. Niestety, okazało się to zadaniem ponad jego siły. Jedyne, co się udało, to powstrzymanie rozgrabiania i rozbiórki murów. Kozłowski był szlachetnym człowiekiem, odtworzył dwa pomieszczenia w baszcie, jednak pełnej odbudowy nie był w stanie dokonać. Janowiec był bowiem zamkiem wiele większym niż opisywane wcześniej, zrekonstruowane Bobolice i wymagał gigantycznych sił i środków. Na szczęście w stanie zabezpieczonej, zakonserwowanej ruiny przetrwał drugą wojnę światową.

W 1945 r. okazało się niespodziewanie, że zamek wraz z parkiem mają zbyt małą powierzchnię, aby podlegać reformie rolnej z 1944 r., i pozostały w rękach Kozłowskiego, który stał się jednym z nielicznych właścicieli prywatnych zamków w PRL. Ostatecznie w 1975 r. Skarb Państwa odkupił ruiny z przeznaczeniem na muzeum. Do 1987 r. zabezpieczono większość murów i odgruzowano część pomieszczeń. Podjęto też próby odbudowy domu północnego, zachodniego skrzydła i wszystkich zabudowań południowych do parteru, czego jednak nie udało się ukończyć. Janowiec pozostaje aż do dziś w stanie częściowej odbudowy jako obiekt Muzeum Nadwiślańskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 81396aa6f1

MISTRZYNI ŚWIATA ZDRADZA SPOSÓB NA LUKIER KRÓLEWSKI

Podstawą idealnego lukru królewskiego są najwyższej jakości składniki. Cukier puder musi być jak najdrobniej mielony, bo tylko taki zagwarantuje nam komfort pracy i nie będzie blokował końcówki w naszym rożku z lukrem. Dodatkowo warto przesiać cukier puder przez drobne sitko. Jeśli użyjemy świeżego białka, to jajka muszą zostać wcześniej spasteryzowane. Ja dla pewności, aby pozbyć się wszelkich drobinek, przelewam jeszcze białko przez sitko.

Lukru nie wolno napowietrzyć. Jeśli użyjemy rózgi i będziemy ucierać na zbyt wysokich obrotach, to otrzymamy bezę, która po wyschnięciu będzie się okruszać z naszych pierniczków. Należy użyć płaskiego mieszadła i ucierać lukier na najniższych obrotach miksera. Z podanych proporcji otrzymamy lukier o normalnej konsystencji.

Gotowy lukier przechowuj do pięciu dni w lodówce przykryty lekko wilgotną ściereczką i owinięty szczelnie folią spożywczą.

Lukier ze świeżym białkiem

- Przygotuj: 455 g cukru pudru, 90 g świeżych białek i 5–7 kropli soku z cytryny.
- Białko i cukier puder umieść w misie miksera.
- Ucieraj na najniższych obrotach przez 10 min.
- Pod koniec ucierania dodaj kilka kropli soku z cytryny.

Lukier z białkiem w proszku

- Przygotuj: 425 g cukru pudru, 15 g białka w proszku, 75 g wody, 5–7 kropli soku z cytryny.
- 15 g białka w proszku i 100 g cukru pudru wymieszaj rózgą w misie miksera.
- Dodaj wodę i wymieszaj do połączenia.
- Do misy dodaj resztę cukru pudru.
- Ucieraj na najniższych obrotach przez 10 min.
- Pod koniec ucierania dodaj kilka kropli soku z cytryny. ©℗

oprac. raw

Jowita Woszczyńska – od siedmiu lat cukiernik dekorator w Cukierni Sowa. Laureatka wielu prestiżowych cukierniczych konkursów, w tym zdobywczyni złotego medalu w Mistrzostwach Świata w Dekoracji Tortów w Mediolanie. Autorka książki „Sugar Fairy Tales".

Tym tortem Jowita Woszczyńska zdobyła mistrzostwo Polski Expo Sweet 2019 FOT. EZO ONEIR

FOT. EZO ONEIR

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Twoja opinia się liczy

Znajomy spędził kilka dni w hotelu w leśnym rezerwacie, po czym napisał opinię. Poskarżył się, że obsługa nie nosi maseczek ani nie pilnuje, żeby nosili je goście, wi-fi często nie działa, ściany są słabo wyciszone, tak że słychać rozmowę w pokoju obok, na płatnym parkingu nie ma miejsc. I jeszcze coś o pościeli. „Opinia Państwa w naszym odczuciu zakrawa na kalumnie, poprosimy o udowodnienie jej" – odpisał hotel.

Rozumiem to niezadowolenie, był powód, ale nie bardzo rozumiem, jak można udowodnić, że obsługa była bez masek, a prześcieradła na podwójnym łóżku ułożono w poprzek, wskutek czego stale się zsuwały... Monitoring w sypialni? Wiedząc o takiej instalacji, żaden gość nie trafiłby już chyba do tego miejsca…

Ale żarty na bok. Wszyscy wiemy, jak ważne są internetowe recenzje. Jadąc na wakacje, kupując sprzęt AGD, rzucamy się po radę do sieci. Mając nadzieję, że znajdziemy tam rzeczywiste opinie klientów. Okazuje się, że niekoniecznie.

Instytut Ochrony Praw Konsumentów, który uważam za pożyteczną i dobrze działającą instytucję, szacuje, że nawet połowa opinii o produktach w Internecie może być fałszywa. Według UOKiK można kupić m.in. opinie Google, polubienia, komentarze i widzów transmisji na Facebooku, lajki na Instagramie, subskrypcje na YouTube, opinie na GoWork, Oferteo, TripAdvisor, komentarze w serwisie ZnanyLekarz.pl.

FOT. ADOBE STOCK

Wystarczy wpisać do wyszukiwarki odpowiednie zapytanie, by wyświetliły się strony z ofertami firm, które zajmują się płatnym opiniowaniem, np. pakiet 10 opinii Google kosztuje nieco ponad 200 zł, a 75 – prawie 1,6 tys. zł.

Jeśli opinia o hotelu czy restauracji mija się z prawdą, pół biedy. Gorzej, jeśli to opinia o lekarzu. „Nawet połowa opinii użytkowników o produktach i firmach może być napisana odpłatnie. Nie używam tutaj określenia »fałszywa«, bo to problematyczne. Co to znaczy, że opinia jest fałszywa? Jeśli właściciel restauracji wystawi opinię swojej restauracji, to czy jest to opinia fałszywa? Albo czy opinie opłacone, które nie wprowadzają nikogo w błąd, są oszustwem?" – powiedział miesięcznikowi „Press" Karol Kotowski, CEO agencji marketingowej Content Organica.

UOKiK deklaruje, że zbada „przedsiębiorców świadczących usługi związane z opiniami i komentarzami na stronach internetowych". Mam nadzieję, że zbada, ale nie sądzę, żeby po tej kontroli nagle w sieci pojawiły się tylko rzeczywiste opinie. Nie takie sztuczki zna marketing. ©℗

eprasa.pl 81396aa6f1

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

1449 twarzy sanitaryzmu

Podejrzenia krążą wśród koronasceptyków. Podejrzewają oni, że w natłoku sejmowej bieżączki politycznej umknie narodowi procedowanie „druku 1449", które ma być przykryte tefałenami i mieniem bezspadkowym. Wiadomo – liść najlepiej schować w lesie. Może to i przesada z tymi obawami, ja już jednak wolę dmuchać na zimne. Coś, co kiedyś nam się wydawało absurdalne, dziś już bywa normą, tak jak fakt, obecnie powszechnie tolerowany, że aby pójść do lekarza, to trzeba być… zdrowym. I to lekarzowi udowodnić.

Dokument jest obszerny, i ciągnąc powyższe porównanie – las jest mocno gęsty. My spróbujemy jednak znaleźć w nim co ciekawsze drzewa sanitaryzmu. Po pierwsze, prawie 300 stron, po drugie – chaos, czyli nie jest to tekst jednolity ustawy z 2008 r. po zmianach, tylko odwołania do zmienianych przepisów, dodajmy – nie tylko tej ustawy. Co ciekawe i budzące niepokój, w ustawie bądź co bądź „o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi" pełno odniesień do… psychiatrii, ze szczególnym uwzględnieniem izolacji dla psychicznych. Do tego gotowe wzory formularzy wywiadów lekarskich i skierowań na przymusowe leczenie psychiatryczne.

Szczepionki awansowały o jeden stopień do wpisania na listę „zalecanych", a stąd już tylko krok do listy obowiązkowych, z pełnymi tego konsekwencjami

Konstrukcje okoliczności kwalifikujących do przymusowego leczenia psychiatrycznego i izolacji wyglądają niepokojąco w świetle pandemii i szczepień. Ofiarą takiego przymusu może stać się każdy, wobec kogo zostaną powzięte podejrzenia (sic!), że swoim zachowaniem może bezpośrednio narazić na utratę zdrowia i życia innych. Ale także i siebie. Jeśli się poczyta, co się wypisuje ostatnio o „seryjnych mordercach", czyli osobach, które nie chcą się zaszczepić, to wyraźnie widać, że mogą się kwalifikować i że dla ich dobra można ich przed samymi sobą i otoczeniem wyizolować.

Teraz kwestia kwarantanny. Wystarczą tylko podejrzenia, że możesz być zakażony, i inspektor ma prawo skierować cię na kwarantannę z terminem do 30 dni, chyba że w jej trakcie udowodnisz testem, że jesteś zdrów. Po 30 dniach cię wypuszczą bez testu, nie tak jak w zeszłym roku, kiedy z izolacji zwalniał jedynie negatywny test, a rekordzista przeżył w kwarantannie ponad 90 dni. Teraz – jakie mogą być źródła powzięcia podejrzenia, żeś chory: wystarczy tylko, że przebywałeś w regionie, który został oceniony jako groźny, szczególnie przez występowanie wariantów wirusa (tu ukłon w stronę delt).

Ruszyło się w kierunku obowiązkowego szczepienia. Szczepionki awansowały o jeden stopień do wpisania na listę „zalecanych", a stąd już tylko krok do listy obowiązkowych, z pełnymi tego konsekwencjami. Jakie warunki mają być spełnione, by zaszła okoliczność przymusu? Są dwie, jedną już mamy, czyli stan zagrożenia epidemicznego, druga to wpisanie na listę szczepionki, czyli podpis ministra kwalifikujący na listę szczepień obowiązkowych. Przymus może być realizowany lokalnie w zależności od sytuacji w danym regionie. Również decyzją administracyjną, z wojewodą włącznie.

Dziwna rzecz się ujawniła „przypadkiem". W art. 33a ust. 1 pkt 2 mówi się o tym, że inspektor sanitarny może wystąpić do lekarza o przedłużenie danemu pacjentowi „hospitalizacji, izolacji lub izolacji domowej". Ciekawe, co to jest ta izolacja inna niż szpitalna i domowa? Będą jakieś specjalne izolatoria? To znaczy – już są, np. w Pomorskiem, ale nie są (jeszcze) obiektem przymusowych zsyłek. Teraz będą mogły być.

Projekt ustawy wprowadza wyczekiwany Fundusz Kompensacyjny płacący odszkodowania pacjentom, którzy mieli niepożądane odczyny poszczepienne w przeciągu trzech lat od zaszczepienia. Ale, co szokujące, rekompensaty, nawet przy występowaniu objawów, nie będą wypłacane… zakażonym pozytywnym testem. To właśnie pokazuje bezsensowność takich remediów, kiedy głównym kwalifikatorem do procedur są testy, które już nawet WHO przestało traktować jako miarodajny standard wykrywania koronawirusa.

Dokument procedowany przez Sejm ma wszelkie znamiona ustalenia stanu prawnego zezwalającego na sanitaryzm, a sprawy dotyczące osobniczych wolności oddaje w ręce decyzji inspektorów sanitarnych. Czy władza z tego skorzysta? Na razie nie wiadomo. Wiadomo tylko, że czyści sobie prawne przedpole, by móc to uczynić, kiedy zechce. Bez zbędnych debat. ©℗

eprasa.pl 81396aa6f1

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Jesień ante portas

Przeczytałem gdzieś bardzo celne zdanie, że sierpień to taka niedziela roku. Faktycznie – czerwiec to piątek i trzeba zacząć weekend z przytupem, lipiec to sobota, kiedy można jeszcze szaleć, a sierpień… No cóż, niby lato, ale wieczory już chłodne. Niby wakacje, ale jesień za progiem. Niby sezon urlopowy, ale praca i szkoła czają się tuż-tuż. Ta perspektywa czyni z sierpnia czas schyłkowy i melancholijny.

Przede mną jeszcze krótki, rodzinny wypad na Mazury. W ostatnim tygodniu wakacji. Na wywczasy nie mogę narzekać. Co sobie popodróżowałem, to moje. Ale zaskakująco niewiele zrealizowałem z pozostałych planów. Mieliśmy na działce przeprowadzić solidną renowację – zamiast rozpadającej się powoli kuchni rodem z lat 80. ubiegłego wieku planowaliśmy wstawić coś równie rustykalnego, a przy tym bardziej funkcjonalnego. Snuliśmy także mocarstwowe wizje instalacji w domku pralki oraz zmywarki (za tą ostatnią ja lobbuję najmocniej, bo na daczy to ja zmywam naczynia) i nawet zgromadziliśmy wymagane fundusze. Ale – nie udało się. W wielkim slalomie między wypoczynkiem a obowiązkami tę bramkę akurat ominęliśmy.

Nieco lepiej poszło nam w domu. Podczas wyjazdu naszego syna na obóz pozbyliśmy się jego starego łóżka, w którym coraz bardziej wyglądał jak Guliwer w Krainie Liliputów. Udało się nam nawet zakupić nowe wyrko, zmontować je (ja, broń Boże, przy tym palcem nie kiwnąłem – mam swoje zasady) i oddać do użytku. Natomiast pozostałych zamiarów jakoś nam się nie udało zrealizować. Od trzech lat wybieramy się na bulwary nadwiślańskie, żeby się tam zalkoholizować w jakimś miłym towarzystwie. I znowu się nie udało. Liczne wycieczki rowerowe jakoś tak zredukowały się do jednej. Mieliśmy także przetestować kilka nowych knajp, ale też nie wyszło. Planowaliśmy oczywiście – pod nieobecność naszych podopiecznych – być trochę niegrzeczni, ale to też średnio nam wyszło. Ot, wkręciliśmy się w jakiś średni serial i strawiliśmy nań parę wieczorów. A książki gromadzone na czas wakacji nadal są zgromadzone. Może jeszcze na tych Mazurach przypuścimy jakiś czytelniczy atak, ale osiągnięte cele na pewno będą gorsze od zakładanych.

Już któryś raz pod koniec sierpnia nachodzi mnie ciut smutna myśl, że mogliśmy z lata – na które tak czekaliśmy, za którym tak tęskniliśmy – wycisnąć znacznie więcej. Ale niezliczona liczba drobiazgów, która pęta nas na co dzień, niestety nie robi sobie wakacji w wakacje. Trudno jednak zwalać całą winę na codzienność. To także efekt braku naszej determinacji, lenistwa i wybierania najprostszych rozwiązań (patrz: serial na Netflixie zamiast bogatego życia towarzyskiego i spotkań z dawno niewidzianymi znajomymi).

Dość często człowiek ma wrażenie, że życie przecieka mu przez palce. Ale w sierpniu przecieka jakoś bardziej. ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Co ja wiem o miłości…

Małgośka, mówią mi, miłość nie wyklucza! I cytują wywiad ze znanym gejem, który zwierza się w „GW": „Nie wierzę, że zapłatą za miłość jest piekło. Biskupi wierzą w innego Boga, moim zdaniem niechrześcijańskiego. Episkopat powinien uderzyć się w piersi i prosić o wybaczenie. Pycha idzie przed upadkiem". Piasek dixit. Czasy mamy takie, że nas, katolików, bez przerwy pouczają, czym jest miłość. Czasem prawiąc świeckie kazania, a czasem paradując środkiem miast w skąpych majtach. A ja odmawiam takiej definicji miłości, gdzie tylko impulsy, „motyle w brzuchu" i techniki orgazmu dla 10 płci. Zabierzcie łapy od słowa „miłość". Nie mylcie z zauroczeniem i podnietami. Bo ja akurat sporo wiem o miłości, ale jeśli mnie zmuszacie, to o niej opowiem.

Odmawiam takiej definicji miłości, gdzie tylko impulsy i „motyle w brzuchu"

Pozornie to małżeństwo, jakich wiele, choć mało jest par, które poznały się w wieku siedmiu lat: on ją ciągnął w szkole za warkocze, więc ona skarżyła na niego, a on „groził jej", że się z nią ożeni. Los zetknął ich po latach na studiach. Biorą ślub, a ludzie mówią, że wyjątkowo piękna i dobrana z nich para. W 33. roku życia pęka mu tętniak mózgu, zrozpaczona żona ratuje go na oczach ich paroletniej córki. Przyjeżdża karetka, ale lekarz każe szykować garnitur do trumny. Kobieta odmawia i mówi, że to Bóg jest Panem życia i śmierci. Walczy jak lwica, żeby nie umierał na oddziale gruźliczym w ich mieście. Jest końcówka stanu wojennego, nigdy nie należeli do partii, nie mają znajomości, ale udaje jej się przewieźć męża 200 km na stosach pierzyn do Szpitala w Warszawie. Nie odchodzi od jego łóżka, a jeśli już, to tylko po to, by leżeć krzyżem w kościele i błagać o cud. Lekarze są zdumieni: trzy skomplikowane operacje mózgu i dzieje się cud za cudem, pomimo zakażenia gronkowcem. Pacjent zadziwia wolą życia wbrew wszystkiemu, żona pacjenta zadziwia wolą walki o niego. Nic z delikatnych naczyń nie zostało uszkodzone, ale po powrocie do domu uczą się żyć od nowa, chronić delikatną głowę bez jednej kości. Nie wolno mu wrócić do zawodu inżyniera, ale nie załamuje się, szuka sposobów, aby pomóc żonie utrzymać rodzinę. Bierze dłuto do ręki i okazuje się, że z lipowego drewna umie wyczarować wszystko – od dewocjonaliów do mebli. Przyjmuje coraz więcej zamówień, zakłada firmę, w końcu trzeba wykształcić córki: starsza będzie w przyszłości leczyć dzieci w Ameryce, młodsza zostanie dziennikarką „Do Rzeczy".

W 50. rocznicę ślubu Moim Kochanym Rodzicom (którzy czytają ten tygodnik od lat) dziękuję, że pokazali mi, czym jest Miłość Prawdziwa. ©℗

eprasa.pl 81396aa6f1

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Przypomnienie niepodległości

ANDRZEJ NOWAK

Mnożą się napomnienia, listy, groźby, skierowane do władz Rzeczypospolitej, wybranych w wolny sposób przez obywateli. Nadawcami są ci, którzy chcą decydować za nas. Nie chcą przekonywać, tylko rozkazywać, szantażować, grozić, zastraszać. Pojawiają się już nawet nakazy adresowane do lokalnych samorządów – ponad głową, można powiedzieć, państwa polskiego, jakby Polski już nie było – w których władze zewnętrzne żądają poddania się głoszonej przez siebie ideologii, grożąc sankcjami (najczęściej finansowymi) za niepodporządkowanie się. Znajdują te rozkazy wiernych, często biernych, a niemal zawsze miernych duchem wykonawców w naszym kraju. Niespecjalnie chce im się walczyć w demokratycznych wyborach o przekonanie współobywateli do swoich programów. Wybierają „zagranicę" – i są przez nią wybierani jako narzędzie imperialnego wpływu.

To nie jest historia całkiem nowa. Przejawia się w rozmaitych formach, odkąd Anonim zwany Gallem zapisał słowa, które miały być odpowiedzią na to wyzwanie: „Kraj [...] pod tym zwłaszcza względem zasługuje na wywyższenie nad inne, że choć otoczony przez tyle ludów chrześcijańskich i pogańskich i wielokrotnie napadany przez wszystkie naraz i każdy z osobna, nigdy przecież nie został przez nikogo ujarzmiony w zupełności". Mocniej w wyobraźnię polityczną kolejnych pokoleń wpisał postawę niepodległej dumy Lechitów, piszący swoje dzieło sto lat po Gallu, mistrz Wincenty nazwany Kadłubkiem. Nie tylko poprzez szczególnie popularną opowieść o Wandzie, odrzucającej podległość „lemańskiemu" (czyli niemieckiemu) księciu, lecz także przez całe ustawienie narracji jego kroniki: od mitycznych opowieści o nieposkromionym narodzie Lechitów, który stawia opór imperialnym zakusom Aleksandra Macedońskiego i Juliusza Cezara, aż do współczesnych autorowi przykładów walki o suwerenność Królestwa Polskiego.

To, co pierwotnie miało służyć poczuciu suwerenności samej władzy: księcia czy króla i jego drużyny, stopniowo przekształciło się w przygodzie historycznej Polaków w świadomość wyjątkowo licznego w skali ówczesnej Europy narodu politycznego – szlachty. Sednem jej wolności było prawo swobodnego wyboru swoich władców: bez ingerencji sił zewnętrznych. W myśleniu i praktykowaniu tej idei przez szlachecki naród najważniejsza była jednak interpretacja, która uwypuklała nie kwestie niepodległości wobec dominacji czynników zewnętrznych, ale wolności obywateli w swoim państwie. Jako potencjalne zagrożenie identyfikowany był raczej wróg wewnętrzny, kojarzony z każdą próbą umocnienia władzy wykonawczej.

Pojęcie niepodległości odnowiło swoje znaczenie dopiero wtedy, kiedy wolność magnackiej elity w Rzeczypospolitej już od dłuższego czasu znalazła się pod faktyczną „opieką" potężnych sąsiadów. W momencie bezkrólewia w 1733 r., po z górą czterech wiekach nieprzerwanej od czasów Łokietka suwerennej egzystencji Królestwa Polskiego, obywatele tego wciąż istniejącego państwa usłyszeli od ościennych mocarstw, że tym razem nie mogą wybrać już takiego króla, jakiego chcą, ale muszą takiego, jakiego chcą sąsiedzi. Wybierać króla „pod muszkietami cudzoziemskimi" obywatele nie chcieli. W odpowiedzi na instrukcję carycy z Petersburga i cesarza z Wiednia, by przyjąć bezwarunkowo ich kandydata, wezwał prymas-interrex Teodor Potocki, „żebyśmy się za nos wodzić nie dali y pokazali, że Gens Libera Sumus nemini servimus unquam [narodem wolnym jesteśmy, który nigdy nikomu nie jest niewolnikiem]". Pod pozorem obrony polskiej wolności wkroczyły wtedy korpusy interwencyjne sąsiadów. „Zagranica" postawiła w ten sposób na swoim. I znalazła się grupka takich, którzy dali się tej „argumentacji" pozyskać, sławiąc taką szczególną obronę republikańskiej wolności...

Wtedy właśnie odnowił w polskim wokabularzu politycznym słowo „niepodległość" ks. Stanisław Konarski. Przyszły twórca nowoczesnego szkolnictwa Rzeczypospolitej oraz programu reform politycznych wydał w 1733 r. „Listy poufne czasu bezkrólewia". W nich zaś padły te słowa: „Rzeczpospolita jest najwyższą panią swych praw, niepodległą jakiejkolwiek władzy obcych monarchów. [...] Rzeczpospolita słusznie ma z boskiego prawa najwyższą władzę niepodległą nikomu i strzeże jej tak, jak wszystkie inne królestwa i cesarstwa. [...] Największą więc jest niegodziwością w jakimkolwiek królestwie i dobrze zorganizowanej rzeczypospolitej, żeby cudzoziemcy publicznie oskarżali obywateli i urzędy, a nawet samą rzeczpospolitą o pogardę praw, jakby chełpiąc się, że oni lepiej myślą o rzeczypospolitej niż jej właśni obywatele. [...] W każdej rzeczypospolitej należy mieć na pierwszym miejscu wzgląd na własną rację stanu, potem dopiero na cudzą. Godność i korzyści rzeczypospolitej nie powinny być podporządkowane obcym interesom. Najgorszy sposób przekonywania jest taki, który wzbudza strach, odpowiedni dla umysłów niewolniczych, nie zaś wolnych".

Trzeba te słowa dziś przypomnieć. ©℗

eprasa.pl 81396aa6f1

Leonid Biden

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSNIŃSKI

Wojciech Cejrowski korespondencja z USA

Na jesień lecę z powrotem do USA. W Polsce nie mam roboty – teatry pozamykane, czyli nie mam gdzie dawać występów. Propozycje, bym wypełniał salę na 50 proc. lub sprawdzał dokumentację medyczną widzów, są niewykonalne ekonomicznie, a poza tym nielegalne. Chyba że zlikwidują RODO i tajemnicę lekarską – wtedy, owszem, bileterka miałaby prawo przesłuchiwać i legitymować wchodzących.

W całej historii Rzeczypospolitej teatry były zakazane trzy razy: za cara, za Hitlera i za obecnej tyranii.

***

W drodze na lotnisko słuchałem w radiu „eksperta" od spraw wschodnich i drugiego od spraw zachodnich, obaj z doktoratami i obaj głupi, lub… pożyteczni idioci. Omawiali Afganistan. Przekonywali, że sytuacja zaskoczyła wszystkich, nawet samych talibów. Bzdury. Opowieści o zaskoczeniu to usprawiedliwienie. W sieci czytam, że kilka tygodni temu było spotkanie talibów z Komunistyczną Partią Chin, czyli… Chińczycy nie są zaskoczeni.

Żaden z „ekspertów" nie wpadł na pomysł, by postawić pytania: Ile Polska wydała na wojnę w Afganistanie? Ilu naszych zginęło? Ilu zostało inwalidami i CO POLSKA ZYSKAŁA w zamian za te ofiary i wydatki? „Realizacja zobowiązań sojuszniczych" to nie jest dobre wyjaśnienie, bo w NATO jesteśmy po coś, a nie tylko po to, by realizować zobowiązania. Nie czepiam się PiS – ta wojna trwała 20 lat, więc pytanie pasuje do każdej partii. I przypomnę, że posyłając nasze wojsko na tę wojnę, oni opowiadali narodowi o zniesieniu wiz do USA. Wizy zniósł dopiero Trump i nie „płacił" nam w ten sposób za Afganistan.

***

Czy Amerykanie są zaskoczeni sytuacją? Zależy którzy. Ekipa Bidena raczej tak. W popłochu wysłali go na wakacje, żeby nie musiał odpowiadać na pytania, bo gdy odpowiada na jakiekolwiek, to zawsze coś głupio chlapnie i potem rzecznik prezydenta, pani J. Psaki, musi robić wygibasy, aby odkręcić nieodkręcalne. Ona też zniknęła w kluczowym momencie, co wskazuje na to, że potrzebowali czasu, by się pozbierać i wymyślić, co gadać.

***

Przemyślałem to na spokojnie i wniosek mam taki:

Joe Biden nie jest ani pożytecznym idiotą, ani ekspertem w żadnej sprawie – jest pożytecznym nikim. Wygodnym dla aparatu demokratów ukrytego za fasadą Bidena, a przy okazji pożytecznym dla wrogów Ameryki typu Chiny, Rosja i taliban. I nie wyżywam się na tym biedaku – stwierdzam fakty.

Przez pół wieku kariery politycznej Biden nie dokonał niczego. Wielki Nikt. Miał za to wiele spektakularnych wpadek. W czasach przed Internetem wydawało mu się, że nikt go nie złapie na plagiacie przemówienia, które inny polityk wygłosił w Wielkiej Brytanii. Takich plagiatów w karierze Bidena było więcej.

Często też kłamał bezwstydnie. Wiele razy opowiadał o tym, jak to został aresztowany w Afryce Południowej, gdy chciał odwiedzić Mandelę. Osoby, które były tam wtedy z Bidenem, zdziwiły się bardzo, bo aresztowany nie był ani Biden, ani nikt inny z delegacji.

Biden chwalił się też, że uniwerek kończył z najwyższymi notami jako pierwszy w swoim roczniku. Nieprawda – studentem był słabym i da się to sprawdzić w dokumentach uczelni – Biden ukończył studia ledwo, ledwo.

No a do tego zboczeniec i na to jest masa filmów w sieci – jak obwąchuje włosy kobietom, przytula je, mimo że się opierają, całuje w usta w obecności ich mężów. Zboczony pryk i tyle. A do tego jest dumny z opowieści o tym, jak małe dzieci na basenie podchodziły i głaskały go po włoskach na nogach. Nawet jeżeli głaskały, to ja bym się tym nie chwalił, a dzieci odgonił.

Obecnie Biden ma potężną demencję widoczną codziennie – gubi się, nie wie, co robi, gdzie jest i ma kłopoty z zebraniem myśli nawet, gdy patrzy w przygotowane dla niego fiszki. Nie chodzi o „miał akurat gorszy dzień", bo u niego to zjawisko codzienne.

***

Pożyteczni idioci reprezentują cudze interesy, ale robią to samodzielnie – wykonują cudzą brudną robotę aktywnie i z ochotą, a jednocześnie wydaje im się, że działają we własnym interesie. Wśród pożytecznych idiotów mamy wielu aktorów-aktywistów. Swoją robotę wykonują z przekonaniem, nie trzeba nimi sterować, nie trzeba wydawać poleceń ani wskazywać kierunku (Stuhr Młody i Stary, Janda i cała ich banda). Pożyteczny idiota nie rozumie, co robi i jakie to będzie miało konsekwencje, ale angażuje się z emocją. A Wielki Brat (kimkolwiek akurat jest) cieszy się, że te głupki wspomagają jego działania, choć przecież za chwilę tych głupków się zniszczy (rzesze swoich pożytecznych idiotów miał Stalin, a potem wszyscy gnili w obozach śmierci).

***

Biden nie jest też marionetką. Administracja czy – inaczej – „głębokie państwo" nie musi pociągać za żadne sznurki. Oni go ignorują i wymijają, kręcą się dookoła niego, załatwiając swoje sprawy, a on nie rozumie, co się dzieje. Dają coś do podpisu i podpisuje do kamery. Jest cyborgiem, a nie marionetką. Biden stoi i kiwa się lekko w takt melodii, którą ktoś gra dookoła. Nie wykonuje poleceń ani rozkazów, nie realizuje żadnego własnego planu, nigdy go nie miał.

To sytuacja niepokojąca, gdy przywódca mocarstwa nie rządzi. Ale... były już takie okresy w historii świata, gdy władca był niepoczytalny, ale „rządził", lub gdy był niedysponowany lub nawet umarł, ale nadal „rządził".

Pamiętają Państwo Breżniewa (to za jego czasów rozpoczęła się poprzednia, czyli sowiecka, wojna w Afganistanie) – istniały już guziki atomowe, więc znamy sytuację, gdy ktoś trzyma rękę na guziku i steruje mocarstwem, ale nie jest to wcale ten oficjalny przywódca typu Breżniew czy Biden. To sytuacja niepokojąca, ale nie nowa.

Biden jest Breżniewem naszych czasów. ©℗

eprasa.pl 81396aa6f1

Gala 10-lecia

Gazety Polskiej Codziennie

w Telewizji Republika

sobota 28 sierpnia

19:00

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl 81396aa6f1

PARTNER STRATEGICZNY ORLEN

PARTNER GŁÓWNY PZU

PARTNERZY KGHM POLSKA MIEDŹ

Grupa Inwest HM Inwest S.A.

eprasa.pl 81396aa6f1